

Jerzy Edigey



Zdjęcie z profilu



lesiojot

Jerzy Edigey

Zdjęcie z profilu

WYDAWNICTWO „ŚLĄSK”

„Zdjęcie z profilu” nie jest literaturą faktu. Miasta Bradomsk nie ma przecież na mapie. Także jakakolwiek zbieżność imion i nazwisk jest najzupełniej przypadkowa. Co jednak nie znaczy, żeby opisywane w powieści wydarzenia nie miały miejsca w rzeczywistości.

Autor

I Niespokojny klient

Na wiszącym w korytarzu zegarze, wskazówki ustawiły się równo dziesięć po piątej. Wzdłuż korytarza na krzesłach siedziało kilkunastu klientów. Z drzwi prowadzących do dalszych pomieszczeń Zespołu Adwokackiego coraz to wychodzili ludzie. Oni już załatwili z adwokatami swoje sprawy. Wysoki, lekko łysawy mężczyzna, stary woźny pięćdziesiątego czwartego zespołu stale wprowadzał nowe osoby do małych gabinetów, gdzie za biurkiem były jedynie dwa miejsca, jedno dla adwokata, drugie dla człowieka, który nękany różnymi życiowymi kłopotami szukał tutaj ratunku.

Tylko boks, bo to małe pomieszczenie oddzielone płytą paździerzową od dwu sąsiednich, chyba nie zasługiwało na nazwę gabinetu, w którym zwykle pracował popularny warszawski adwokat Mieczysław Ruszyński, był jeszcze nie zajęty. Dziwne, gdyż adwokaci są zazwyczaj bardzo punktualni. Wiedzą, że spóźnienie się na sprawę czy choćby na spotkanie z klientem może mieć bardzo nieprzyjemne i kosztowne skutki.

Wreszcie drzwi z klatki schodowej nagle się otworzyły i na korytarz wszedł, a raczej wpadł mężczyzna korpulentnej postury, o okrągłej twarzy, z bystrymi siwymi oczyma i prawie białymi włosami nad wysokim czołem pooranym kilkoma zmarszczkami. Przebiegł korytarzem prawie nie odpowiadając na ukłony klientów i znikł w przeznaczonym dla niego pomieszczeniu. Był zadyszany, bo jak zwykle, kiedy się nieco spóźniał do zespołu, nie miał cierpliwości czekać na udającą żółwia windę, i nie zważając na te sześćdziesiąt z okładem lat pędził schodami na piąte piętro.

Teraz Miecio, tak go bowiem nazywali przyjaciele i koledzy, pośpiesznie zdejmował płaszcz, otwierał szuflady biurka i wyjmował z nich szare teczki tych akt adwokackich, które, jak przypuszczał, będą mu dzisiaj potrzebne.

Doświadczony woźny o nic nie pytał. Przyniósł i postawił na biurku syfon wody sodowej i parę szklanek. Adwokat napełnił jedną z nich i haustem wypił.

— No — powiedział — teraz mi lepiej. Nie mogłem znaleźć taksówki i od Alei Jerozolimskich prawie biegłem.

— Pan mecenas dzisiaj nie autem?

Miecio znacząco machnął ręką.

— Umówiłem się w „Szanghaju”.

— Z tą rudą? — Franciszek był dość spoufalcony z mecenasem. Razem pracowali w zespole przeszło dwadzieścia pięć lat i stary woźny dobrze znał gusta słynnego adwokata. Szczególnie to, że ulubionym lokalem Miecia była „chińska” restauracja „Szanghaj”. A co do „rudych”, o tej słabostce mecenasa wiedzieli wszyscy przyjaciele. A miałby nie wiedzieć stary, doświadczony i nie w ciemną bitą woźny?

— Nie — machinalnie odpowiedział adwokat — nie ruda, ale blondynka. Ale jaka? Bomba! — W tym momencie Miecio spostrzegł, że powiedział zbyt wiele, więc dodał: — To klientka. Ma bardzo skomplikowaną sprawę. Dlatego wolałem z nią rozmawiać w bardziej spokojnym pomieszczeniu niż w tym... A kto tu do mnie?

— Jest już pani, ta z pawilonów. Czeka pan doktor. Ale mamy także — wyjaśnił pan Franciszek — jednego dziwnego gościa. Przyszedł do zespołu przed jedenastą. Tłumaczyłem mu, że pan mecenas przyjmuje od piątej do siódmej po południu. A on na to „dobrze, poczekam”. I siedzi tu cały czas.

— Może jakiś gość z prowincji?

— Raczej nie! Nie ma nawet teczki i jest bez płaszcza. Siedzi kamieniem na korytarzu i prawie nie wyjmuje papierosa z ust. Wypalił co najmniej ze dwie paczki. Musiałem dwa razy wietrzyć na korytarzu, bo tam aż ciemno od dymu. Taki jakiś dziwny. Chyba ma fiola. Pewnie zwiął z Pruszkowa. I stale spogląda na drzwi wejściowe. Sześć godzin czeka na pana mecenasa i nawet nie zszedł na dół, żeby sobie kupić coś do jedzenia. A jak zapala kolejnego papierosa, to ręce tak mu latają, że aż się boją, aby sobie nosa nie przypalił.

— Niech pan go tu daje. Zobaczmy co to za sprawa i co to za

tajemniczy gość.

— Ale — uprzedzał woźny — niech pan mecenas będzie z nim ostrożny. To na pewno wariat. Jak dostanie szau, to i czterech ludzi nie da mu rady. Wiem dobrze, bo u nas na Brzeskiej mieszka taki jeden. Już go z pięć razy brali do czubków. Ale co z tego? Potrzymają trochę, niby to podleczą i znowu na wolności aż do następnego razu. Ja na wszelki wypadek będę siedział niedaleko drzwi koło telefonu.

Mieczysław Ruszyński zareagował śmiechem na te ostrzeżenia pocziwego pana Franciszka.

Za chwilę do małego pomieszczenia wkroczył tajemniczy klient. Był to człowiek mniej więcej w wieku adwokata. Może parę lat młodszy. Wysoki szatyn o pociągłej twarzy, regularnych rysach i niebieskich oczach, Starał się panować nad sobą, ale widać było, że jest skrajnie zdenerwowany. Nie tylko ręce, ale nawet podbródek mu drżał.

Jestem adwokat Ruszyński. Pan chciał ze mną rozmawiać? Czym mogę panu służyć? Proszę, niech pan siada.

— Nazywam się Stanisław Wróblewski — nieznajomy zajął wskazane mu miejsce naprzeciwko adwokata i odruchowo odwrócił głowę w stronę drzwi, za którymi usłyszał jakieś kroki. Dopiero teraz adwokat zauważył, że tego przystojnego mężczyznę szpeci ciemnoczerwone znamię na prawym policzku, powyżej szczęki. Znamię to miało wyraźny kształt, jak gdyby po tym policzku pełzła gąsienica zabarwiona purpurą.

— Jestem Stanisław Wróblewski — powtórzył klient — mogę na to przysiąc. Na własną głowę, na życie żony i moich dzieci. Zawsze byłem Stanisławem Wróblewskim. Od urodzenia i będę nim aż do śmierci. Stanisławem Wróblewskim, inżynierem pracującym w Biurze Projektów w Warszawie, przy ulicy Tamka — wymawiając te słowa, nieznajomy zapalał się coraz bardziej.

Adwokat bez słowa napełnił szklankę wodą z syfonu i podsunął swojemu gościowi.

— Proszę, niech pan wypije i uspokoi się. Proszę mi wszystko opowiedzieć od początku.

— Jestem Stanisław Wróblewski...

— Rozumiem. Proszę wypić.

— Pan myśli, że jestem wariatem?

— Ależ skądże znowu. Po prostu widzę, że pan jest zde-nerwowany i lepiej będzie, jeżeli naszą rozmowę przeprowadzimy w spokoju. Dlatego zależy mi na tym, aby pan się opanował.

— Kiedy to takie trudne — Wróblewski trzęsącą się ręką podniósł szklankę do ust. Kiedy pił, zęby parę razy uderzyły o szkło.

Adwokat nie przerywał milczenia.

— Pan to zna? — Wróblewski wyjął z kieszeni książkę i podał mecenasowi.

— Nie nie znam — wyjaśnił Ruszyński — wprawdzie sam spędziłem prawie cztery lata w różnych hitlerowskich obozach koncentracyjnych, ale nie w Oświęcimiu, więc „Przeżyłem piekło i Oświęcim” mniej mnie interesowało niż wspomnienia ludzi z innych obozów. Mam tę książkę w domu, ale jeszcze jej nie przeczytałem.

— Niech pan mecenas otworzy książkę na osiemdziesiątej szóstej stronie.

Adwokat przekartkował trzymane w rękę wydawnictwo.

Na wskazanej stronie znalazł fotografię. Za dużym biurkiem siedział profilem jakiś gestapowiec w czapce z trupią główką i odznakami Hauptsturmführera. Na biurku leżał wielki pejcz. Przed biurkiem stał więzień, a za nim dwaj gestapowcy z podobnymi pejczami w rękach. Tej groźnej scenie patronował pan z wąsikiem, na portrecie zawieszonym na ścianie. Pod zdjęciem krótki napis informował „Richard Baumvogell, kat Bradomska”.

Na prawym policzku gestapowca widać było wyraźnie znamię w postaci gąsienicy. A poza tym, pomimo upływu co najmniej trzydziestu paru lat, podobieństwo zdjęcia z osobą siedzącą naprzeciwko adwokata Ruszyńskiego, było wprost uderzające.

— To pan?

— Przysięgam, że to nie ja! Przysięgam na wszystko co mam najświętszego. Dzisiaj rano, kiedy wszedłem do biura, uderzyło mnie, że zawsze tak życzliwi mi koledzy, tym razem wyraźnie

mnie unikali i nawet nie witali się ze mną. Jak gdybym był duchem. A na swoim stole projektowym znalazłem tę książkę otwartą na stronie z fotografią.

Ruszyński ponownie przyjrzał się uważnie reprodukowanemu zdjęciu. Bez słowa zwrócił książkę Stanisławowi Wróblewskiemu. Adwokat raczej nie miał wątpliwości, kto przed nim siedzi.

— Tak od razu przyszedł pan do mnie?

— Nie. Kiedy obejrzałem tę książkę otwartą na fotografii gestapowca, naturalnie, od razu dostrzegłem duże podobieństwo pomiędzy zdjęciem i mną. Ale potraktowałem to jako po prostu głupi żart któregoś z młodszych kolegów. A że wszyscy w mojej pracowni, jestem jej kierownikiem, wpatrywali się we mnie, powiedziałem głośno i możliwie najspokojniejszym tonem: „Rzeczywiście, facet jest do mnie podobny”. Zamknąłem książkę, położyłem ją na skraju stołu i jak gdyby nigdy nic, wziąłem się za swoją robotę. Pozostali koledzy i koleżanki, chcąc nie chcąc, musieli zrobić to samo.

— Pan był lubiany przez kolegów i zwierzchników?

— Raczej tylko przez zwierzchników. Biuro projektowe to dość dziwna instytucja. Można tam się objąć i jednocześnie doskonale zarabiać na różnych chałturach. Kosztem pracy innych kolegów z pracowni. Ja to ukróciłem, co naturalnie nie podobało się części personelu. Kiedy potem bardzo pilnowałem punktualności i rzetelności w pracy, znowu naraziłem się innym. Naturalnie byli w moim zespole i doskonali pracownicy, którzy trzymali moją stronę. Dyrekcja przedsiębiorstwa wiedziała, że na mnie zawsze można liczyć. Moja pracownia otrzymywała z reguły najtrudniejsze zlecenia.

— Co było dalej? — adwokat uważał, że należy pozwolić klientowi, żeby się wygadał.

— Dzień upłynął raczej spokojnie, chociaż wyraźnie cały zespół jakby mnie bojkotował. Ludzie starali się do mnie nie odzywać. Nazajutrz książka znowu leżała otwarta na moim stole. Niektórzy z moich pracowników zaczęli się odzywać po niemiecku. Naturalnie tylko ci, którzy choć trochę znali ten język.

— Do pana?

— Jeszcze nie do mnie. Pomiędzy sobą, ale tak głośno, żebym i ja słyszał. Jak się wkrótce przekonałem, było to tylko preludium. Na trzeci dzień zostałem wezwany do dyrektora. Tam również na biurku znajdowało się dzieło Józefa Barańskiego „Przeżyłem piekło i Oświęcim”. Muszę przyznać, że dyrektor był bardzo zmieszany prowadząc tę rozmowę. Zakomunikował mi jednak, że zgłosili się do niego koledzy i oświadczyli mu, że „nie chcą współpracować z gestapowcem”. Naturalnie swojemu zwierzchnikowi także tłumaczyłem, że chodzi tu tylko o zbieg okoliczności, dziwne podobieństwo dwóch różnych ludzi. Dyrektor nie negował tego, ale prosił, żebym mu nie utrudniał sytuacji i wyjaśnił tą sprawę w taki sposób, żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości.

— I pan przyszedł do mnie? — Miecio trochę się znudził słuchając tych wywodów.

— Nie. Z wydawnictwa otrzymałem adres pana Józefa Barańskiego i postanowiłem pójść do niego, żeby wyjaśnić nieporozumienie. Niestety na moje dzwonki i nawet na dobijanie się do drzwi, nikt nie reagował. Jakaś sąsiadka powiedziała mi, że państwo Barańscy wyjechali na urlop i nie wiadomo kiedy wrócą. A tymczasem atmosfera w biurze coraz bardziej się zagęszczała. Już nie tylko w mojej pracowni, ale i w innych udawano, że nie istnieję. Nawet w stołówce, chociaż tam zawsze panuje tłok. Wystarczyło, żebym zajął miejsce przy jakimś stole, inni zaraz przenosili się do sąsiadów i zostawałem sam. A kelnerka podając mi zupę dodawała „bitte schon”. Musiał ją przecież ktoś tego nauczyć. Wreszcie dzisiaj rano, kiedy siedziałem za swoim stołem, wszedł jeden z moich podkomendnych. Podeszedł do mnie, stanął na baczność i przepisowo wyrzucając rękę wyskandował „Heil Hitler”. Tego już nie wytrzymałem. Wybiegłem z biura. Biegłem tak długo, aż straciłem oddech. Jakoś oprzytomniałem. Przypomniałem sobie, że ktoś mi mówił o panu mecenasie jako o świetnym adwokacie. Odnalazłem zespół i czekałem tu sześć godzin na pana mecenasa. Niech pan mi powie, co ja mam robić w tej sytuacji?

— Sądzę, że człowiek, który położył na pana stole to zdjęcie — odpowiedział adwokat — poinformował o nim także odpowiednie władze. Milicję albo prokuratora.

— Ja także jestem o tym przekonany.

— Uważam, że nie pozostaje panu nic innego, jak samemu zgłosić się do stołecznej komendy MO. Jeżeli to jest przypadkowe podobieństwo, łatwo przecież panu dowieść swojej niewinności. Znajdą się krewni, przyjaciele — adwokat mówił to bez większego przekonania — którzy ustalą pańską tożsamość.

— Będę aresztowany?

— Pańskie dobrowolne zgłoszenie będzie panu poczytane na plus. Nie chcę jednak pana łudzić, sądzą, że do wyjaśnienia sprawy będzie pan zatrzymany.

— Bardzo się tego boję.

Adwokat uśmiechnął się i zauważył:

— Istnieje znane powiedzenie: więzienia są dla ludzi. Zresztą jeśli pan rzeczywiście nie jest tym Richardem Baumvogellem, nieporozumienie szybko się wyjaśni.

— Pan mecenas także mi nie wierzy?

— Jestem adwokatem, a pan moim klientem. Moje subiektywne uczucia są tutaj bez znaczenia. Jako adwokata, obowiązuje mnie tajemnica zawodowa. Pan ma prawo żądać ode mnie udzielenia mu rady. Tej rady panu udzielam: należy się dobrowolnie zgłosić na milicję, nie czekając na kroki z jej strony. Najlepiej, żeby pan poszedł do Pałacu Mostowskich od razu w towarzystwie swoich krewnych, przyjaciół czy też ludzi, którzy pana znali z czasów okupacji. To mogłoby panu zaoszczędzić ewentualnych przykrości tymczasowego zatrzymania.

— Kiedy, panie mecenasie, nie mogę tego zrobić.

— Iść na milicję? Jeśli pan tam nie pójdzie, oni sami pana znajdą.

— Nie, nie chodzi o oddanie się w ręce władz. Ale ja po prostu nie mam krewnych czy choćby znajomych z czasów okupacji. Naturalnie prócz tego okresu, kiedy służyłem w I Armii Wojska Polskiego i przebyłem szlak od Lublina do Kamienia

Pomorskiego, gdzie ciężko ranny w polowym szpitalu zakończyłem swoją karierę wojenną. W czasie tych walk zostałem dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Najpierw za udział w wyzwolaniu Pragi i walki na Płycie Czerniakowskiej, potem drugi raz odznaczono mnie przy przełamywaniu Wału Pomorskiego. *Virtuti Militari* otrzymałem w Kamieniu Pomorskim. Mam odpowiednie dokumenty, a poza tym te fakty potwierdzić mogą moi ówcześni dowódcy i koledzy z tamtych czasów.

Adwokat bardziej życzliwym okiem spojrział na swojego klienta.

— A świadkowie z lat poprzedzających pańskie wstąpienie do I Armii?

Stanisław Wróblewski rozłożył bezradnie ręce.

— Urodziłem się w małej wiosce Brzeźnica pod Nieświeżem, w byłym województwie nowogródzkim. Jak wszędzie

w tamtych stronach, mieszkańcy wsi byli mieszaniną ludności polskiej i białoruskiej. Na tych terenach, w lasach sięgających aż do Polesia działały różne grupy partyzanckie. Radzieckie i polskie. Udzielaliśmy im pomocy i schronienia. W 1942 roku, było to siedemnastego maja, silne oddziały żandarmerii hitlerowskiej otoczyły naszą wieś. Palono dom po domu i zabijano wszystko, co tylko żyje. Miałem wtedy osiemnaście lat. Ocalałem przypadkiem, bo o czwartej nad ranem rodzice wysłali mnie do lasu, abym nazbierał chrustu. Z daleka widziałem płonąca wieś, słyszałem salwy karabinowe i krzyki mordowanych ludzi. Kiedy hitlerowcy odjechali, pozostały jedynie zgliszcza i trupy.

— Jakie były dalsze pana losy?

— Zaopiekowali się mną jacyś obcy ludzie z sąsiedniej wsi. Kiedy już trochę doszedłem do siebie po tych strasznych wydarzeniach, przypomniałem sobie, że w Lublinie mieszka krewny mojego ojca. Jego brat stryjeczny. Także miał na imię Zygmunt, jak mój ojciec. Postanowiłem się do niego udać. Wędrowałem przez wiele miesięcy. Na piechotę i tylko bocznymi drogami lub po prostu na przełaj. Nie miałem przecież ani pieniędzy, ani żadnych dokumentów. Na życie

zarabiałem pracując u chłopów we wsiach, przez które przechodziłem. To trwało przeszło rok. Całą zimę przesiedziałem u jakiegoś bogatego chłopca pracując jako parobek. Wychodząc wtedy z domu do lasu po chrust nie miałem przy sobie żadnych dokumentów, nawet marynarki. Byłem w spodniach, koszuli i swetrze. A na nogach miałem drewniaki. Trzeba było więc tak się przemykać, aby nie wpaść w ręce hitlerowców. Musiałem także zarobić nie tylko na życie, ale i na jakiś przyodziewek.

— Rozumiem — przytaknął adwokat.

— Kiedy już do Lublina było coraz bliżej, w parczewskich lasach natknąłem się na oddział partyzancki. Była to niewielka grupa. Całe to wojsko liczyło około trzydziestu ludzi i co drugi z nich był jako tako uzbrojony. Dowodził tym oddziałem AK porucznik „Ryś”. Nazwiska jego do tej pory nie znam, zresztą nigdy nie starałem się poznać.

— Sądzę, że obecnie w Biurze Historycznym Wojska Polskiego można to będzie ustalić i odnaleźć tego oficera.

— Zginął — krótko odpowiedział Wróblewski.

— To może uda się odszukać innych? Znał pan jakieś nazwiska?

— Nie. Wyłącznie pseudonimy. Nie bardzo je zresztą pamiętam. Ale wracając do mojej opowieści, porucznik „Ryś” zaopiekował się mną serdecznie. Nie radził mi iść tak bez żadnych dokumentów do Lublina. Twierdził, że tam od razu zwróciłbym uwagę hitlerowców swoim wyglądem i zachowaniem. Byłem obdarty i co tu dużo gadać nie za czysty. Dowódca obiecał, że przez swoją łączność porozumie się z moimi krewnymi, czy mogą mi przyjść z pomocą, a na razie zatrzymał mnie w swoim oddziale. Rzeczywiście niedługo nadeszła odpowiedź z Lublina. Tacy Wróblewscy tam mieszkali, ale jeszcze przed wybuchem wojny wyjechali z miasta. Nikt z sąsiadów nie znał ich nowego adresu. Nawiasem dodam, że i po wojnie, już w normalnych warunkach, nie udało mi się odszukać nikogo z rodziny.

— A kolegów z partyzantki?

— Porucznik „Ryś” zginął w parę miesięcy później. Podczas

akcji wysadzania torów kolejowych. Nasz oddział został przeorganizowany. Dostaliśmy nowego dowódcę. Sytuacja z uzbrojeniem także się poprawiła. Braliśmy udział w różnych akcjach. Wielokrotnie musieliśmy się przebijać z okrążenia. Jak to w partyzantce. Jedni ginęli, na ich miejsce przychodzili drudzy. Mnie jakoś sprzyjało szczęście. Z tych wszystkich przygód wychodziłem cało. Potem przeszliśmy do Janowskich Lasów. Tam istniało wielkie zgrupowanie partyzanckie. Były tam oddziały radzieckie, Armii Ludowej i Armii Krajowej. Hitlerowcy postanowili zlikwidować te zgrupowania. Silne oddziały SS i żandarmerii oraz Wehrmachtu otoczyły cały teren. Akowcy i „Ruscy”, działając razem, po paru dniach walk, chociaż z ciężkimi stratami, przebili się przez otaczający nas pierścień nieprzyjaciela. Dowództwo AK nie nawiązało współpracy z innymi partyzantami. Zostaliśmy sami. Doszło do straszliwej klęski. Rozproszone grupki usiłowały przedrzeć się przez bagna i tam były mordowane przez esesmanów.

— To znana historia. Walki w Janowskich Lasach i na Porytowym Wzgórzu.

— Tak. Czytałem nawet dokładnie opisy tamtych zdarzeń. Po rozbiciu naszego oddziału wraz z dwoma towarzyszami broni wprost cudem znaleźliśmy wśród bagien bardziej suchą kępę i w zaroślach przesiedzieliśmy przeszło tydzień o głodzie i chłodzie. Obława jakoś nas nie wytropiła, chociaż hitlerowcy sprowadzili specjalnie tresowane psy do wykrywania rozbitków. Jeden z nas nie wytrzymał tych trudów. Dostał złośliwej gorączki. Nie mogliśmy go uratować.

— A ten drugi?

— Z nim razem doczekaliśmy się momentu wyzwolenia. Razem także natychmiast zgłosiliśmy się do Wojska Polskiego. Właśnie w Lublinie.

— Zna więc pan nazwisko tego kolegi.

— Znam. Ale on zginął, kiedy dokonywaliśmy desantu na Czerniaków. Ponton, na którym płynął, został trafiony szrapnelem. Jedynie kilku żołnierzom udało się dopłynąć do brzegu. Jak pan widzi, panie mecenasie, jestem naprawdę w trudnym położeniu.

— Rzeczywiście, dziwny zbieg okoliczności.

— Pan znowu mi nie wierzy. Niech pan nie zapomina, mecenasie, że w tej wojnie zginęło kilka milionów ludzi, i w takiej jak ja sytuacji jest na pewno więcej osób nie tylko w całej Polsce, ale nawet w Warszawie.

— A ta blizna na policzku?

— Mam ją od urodzenia. W naszej wsi mówiono, że moja matka musiała się „zapatrzeć” na jakąś liszkę chodzącą na kapuścianym liściu.

Mieczysław Ruszyński powtórnie sięgnął po leżącą na stole książkę i otworzył ją na tej nieszczęsnej fotografii.

— Gestapowiec na zdjęciu ma takie samo znamię. Nie mówiąc już o tym, że podobieństwo jest ogromne, tak ogromne, że wygląda na pańską fotografię.

— Właśnie to jest przerażające.

— W tej sytuacji — adwokat rozłożył ręce — poza już udzieloną radą zgłoszenia się na milicję, nic panu pomóc nie mogę.

— Trudno mi się na to zdecydować.

— Uważam, że i tak pan niewiele ryzykuje. Jeżeli sprawa nie dotarła jeszcze do prokuratora lub do Pałacu Mostowskich, znajdzie się tam najpóźniej za kilka dni. Ten, kto pana rozszyfrował i podrzucił panu na biurko książkę, spełni także swój obowiązek obywatelski zawiadamiając władze o ukrywającym się zbrodniarzu wojennym.

— Ale ja nim nie jestem.

— Śledztwo to wyjaśni. Zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem istnieje domniemanie niewinności podejrzanego. To prokurator i milicja muszą mu udowodnić popełnienie przestępstwa. Nie jest zadaniem i rolą prokuratora wsadzać ludzi do więzienia. On ustala stan faktyczny i wnosi akt oskarżenia, a sąd obiektywnie rozpatruje sprawę i wydaje wyrok na podstawie kodeksu karnego i własnego sumienia sędziów. Ma pan więc wszystkie gwarancje całkowitej bezstronności postępowania karnego. Pańskie zeznania zostaną dokładnie sprawdzone. Mówił mi pan o pobycie w akowskiej partyzantce, w oddziale porucznika Rysia. Władzom będzie

łatwiej niż panu odszukać kogoś z tamtych chłopców. Przy tej pańskiej charakterystycznej „gąsienicy” nawet ludzie znający go jedynie z widzenia, potwierdzą fakt pobytu pana w Lasach Janowskich.

— Ale milicja zacznie od aresztowania mnie.

— To chyba jasne, że obciążony takimi zarzutami zostanie pan zatrzymany aż do wyjaśnienia sprawy.

— Przecież jestem niewinny.

— Być może. Ale od momentu, kiedy dowiedział się pan, o co go ludzie podejrzewają, aż do chwili ujęcia pana przez milicję — tłumaczył adwokat — będzie pan uważany za człowieka, który się ukrywa. To automatycznie pogarsza pana sytuację. Chyba pan to rozumie? Inaczej traktuje się człowieka, który sam się zgłasza na milicję ze swoimi kłopotami, a inaczej kogoś, kogo poszukuje się listem gończym.

— Trudno, widzę że będę musiał przejść tę drogę przez mękę.

— Trochę pan przesadza.

— Do kogo mógłbym się tam zgłosić?

— W stołecznej komendzie MO pracuje mój dobry znajomy. Podpułkownik Janusz Kaczanowski. To zdolny i energiczny oficer, a poza tym bardzo przyzwoity człowiek. Nie sądzę, aby on sam zajął się tą sprawą, ale na pewno ją dobrze ustawi.

— A czy pan mecenas podejmie się prowadzenia mojej sprawy?

— Milicja i prokurator przede wszystkim ustalą pańską tożsamość. Sam pan rozumie, że to, co mi pan tutaj opowiedział, może być najszczerzą prawdą, ale może być także zřęcznie wymyślona bajeczka. Niech pan nie zaprzecza. Rozmawiamy w cztery oczy i ja jako adwokat muszę uwzględniać obie wersje. Albo pan jest Stanisławem Wróblewskim, byłym partyzantem z Lasów Janowskich, albo byłym szefem gestapo w Bradomsku. Przy prawdziwości pańskiej wersji, adwokat nie jest panu potrzebny. Sprawa się wyjaśni i jeszcze pana przeproszą za przykrości, których pan dozna. Będzie pan miał nawet prawo dochodzenia swoich szkód moralnych i materialnych. Gdyby jednak okazało się, że nie jest pan tym, za kogo się pan podaje i stanie pan przed sądem jako

oskarżony o zbrodnie z czasów okupacji, otrzyma pan obrońcę z urzędu. Polscy adwokaci nie bronią z wyboru zbrodniarzy wojennych.

— Rozumiem i rozumiem także, że pan mecenas mi nie wierzy.

— Już raz panu wyjaśniłem, że moje osobiste odczucia nie mają żadnego znaczenia.

— Ile jestem panu mecenasowi winien za poradę prawną?

— Nie było żadnej porady. Po prostu rozmawialiśmy. Nie można uważać za poradę prawną powiedzenia komuś, aby udał się na milicję.

Stanisław Wróblewski podniósł się z krzesła.

— Jutro pójdę do pułkownika Kaczanowskiego. Dziękuję panu, panie mecenasie.

„Gość był na tyle taktowny — pomyślał adwokat, kiedy już drzwi zamknęły się za dziwnym klientem — że przynajmniej nie usiłował fundować mi piąta”.

W drzwiach ukazała się siwa głowa pana Franciszka.

— No i co? — zapytał woźny — nie mówiłem — że to kompletny wariat.

— Jeszcze gorzej — odpowiedział Miecio.

— Jak to?

— Nie wariat, a szef gestapo w Bradomsku, w czasie okupacji. Człowiek, który ma na swoim sumieniu śmierć setek lub tysięcy ludzi.

— I pan mecenas go stąd wypuścił? Trzeba było w jakiś sposób dać mi znać. Zaraz bym poleciał po milicję. Przyskrzyniliby ptaszka.

— Co też Franciszek opowiada! Adwokat miałby denuncjować swojego klienta, który z całym zaufaniem do niego przyszedł?

— Ale to gestapowiec.

— Przyszedł nie jako gestapowiec, ale jako klient.

— Ja bym tam mu nie darował.

— Ja tak samo. Gdybym go na przykład spotkał na ulicy i wiedział, że to szef gestapo z Bradomska, pierwszy bym go zatrzymał. Ale nie w Zespole Adwokackim, gdzie człowiek, bez

względu na to kim jest, przychodzi z całym zaufaniem szukać pomocy.

— A teraz uciekł i szukaj wiatru w polu.

— Nie ucieknie. Niech się Franciszek nie obawia. Przypuszczam, że sam się zgłosi na milicję, bo już mu się grunt pali pod nogami. A jeżeli się nie zgłosi, prędzej czy później sami go znajdą.

— Taki to się przebierze, przemaluje. Czytałem, że nawet nosy sobie zmieniają.

— Nos może zmienić, ale Franciszek widział to znamię w kształcie gąsienicy? Taki ciemnoczerwony znak na prawym policzku? Choćby nie wiem co robił, tego nie usunie.

— Doktor może mu to wyciąć. Pieniędzy takiemu gestapowcowi na pewno nie brakuje. Znajdzie lekarza, który o nic nie zapyta i za złoto czy dolary zrobi operację.

— To i tak by nic nie pomogło. Zamiast znamienia będzie w tym samym miejscu blizna takiego samego kształtu i koloru. Może trochę jaśniejsza.

— A po co on przyszedł do pana mecenasas?

— Opowiedział mi dość naiwną bajeczkę, że jest chłopskim synem z Białorusi; i chciał, żebyśmy się podjął jego obrony.

— A pan mecenas?

— Cóż to, Franciszek mnie nie zna? — oburzył się Ruszyński.

— Może jeszcze wody?

— Dziękuję. Niech Franciszek daje następnych klientów, bo gotów jestem spóźnić się na konferencję.

— Z tą rudą w „Szanghaju” — bezczelnie dopowiedział stary woźny.

— Nie ruda, tym razem blondynka. Gotowa nie czekać.

— Na innego, jakiegoś młodziaka z dziurami w kieszeniach toby pewnie i nie czekała — filozofował Franciszek — ale na pana mecenasas poczeka. Na pewno poczeka. No, już daję tę panią z pawilonów.

II

Fotografia prawdę ci powie

Na biurku zadzwonił telefon. Podpułkownik Janusz Kaczanowski podniósł słuchawkę. Odezwał się głos oficera dyżurnego:

— Do pułkownika zgłosi się obywatel Wróblewski.

— Wróblewski? — zdziwił się Kaczanowski — Nie znam takiego. W jakiej sprawie?

— Mówi, że w osobistej.

— No trudno — westchnął podpułkownik — jestem wprawdzie bardzo zajęty, ale niech wejdzie.

Za parę minut rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Wróblewski. W rękę trzymał małą walizeczkę. Zajął wskazane mu miejsce.

— Pan spoza Warszawy?

— Nie. Mieszkam w Warszawie, ulica Topiel, pięćdziesiąt siedem. Nazywam się Stanisław Wróblewski. Jestem inżynierem. Skończyłem Politechnikę w Gdańsku. Pracuję w Biurze Projektów na Tamce.

— A ta walizka?

— Mam tam trochę jedzenia, zmianę bielizny, ręczniki i przybory do golenia.

Kaczanowski uśmiechnął się.

„Przezorny gość — pomyślał — wie, że będzie zatrzymany i odpowiednio się do tego przygotował. Zapewne znowu jakieś nadużycie gospodarcze. Ale dlaczego przyszedł właśnie do mnie, zamiast zgłosić się do odpowiedniego wydziału lub bezpośrednio do prokuratora.”

— Pan miał wezwanie? — zapytał podpułkownik.

— Nie — wyjaśnił Stanisław Wróblewski — nazwisko pana pułkownika otrzymałem od mecenasa Ruszyńskiego. Czy on nie dzwonił do pana?

Hasło „Ruszyński” wystarczyło podpułkownikowi.

„Znowu mnie ten siwowłosy playboy chce wpakować w jakąś sprawę. Ciągłe nie może mi darować tej rudowłosej Kowalskiej, na którą miał taką chrapkę, a którą mu sprzątnąłem sprzed tego czerwonego nosa”.

Dziwny był stosunek tych dwóch, ludzi: wyższego oficera milicji i słynnego adwokata. Bardzo się lubili i wzajemnie szanowali, a jednocześnie jeden nie cierpiał drugiego. Obaj mieli te same słabostki. Lubili wino, kobiety i śpiew; przy czym śpiew w tej trójcy miał najmniejsze znaczenie. Obaj mniej więcej w jednym wieku, może podpułkownik był młodszy o jakieś pięć lat. Nie raz i nie dwa ci panowie spotykali się w jakiejś knajpce, najczęściej w ulubionym przez Mięcia „Szanghaju” na wesołym spotkaniu. Nie raz i nie dwa obaj zabiegali o względy jakiegoś, najczęściej rudowłosego kociaka. Podpułkownik bił adwokata wybitnie męską urodą. Wysoki, smagły, o twarzy pociągłej, regularnych rysach i niebieskich oczach, które umiały słodko patrzeć na ukochaną kobietę, natomiast w rozmowie z przestępcą zmieniały się w dwa zimne sztylety. Mecenasa za to kokietował pełnym portfelem, coraz to innym, nowym, luksusowym samochodem oraz szerokim gestem, na jaki nie stać było Kaczanowskiego z uposażeniem milicjanta. Los bardzo często stykał tych dwóch ludzi na płaszczyźnie zawodowej. I to byłoby tylko pół biedy, ale zdarzało się, że adwokat Ruszyński usiłował prowadzić swoje prywatne śledztwo. Nieraz zresztą z dużym sukcesem. Wtedy konflikt zawodowy przeradzał się natychmiast w nienawiść, która znowu wygasła, gdy sprawa znalazła swoje właściwe rozwiązanie. Teraz więc podpułkownik Kaczanowski, spoglądając na siedzącego przed nim człowieka, z góry uprzedzi się do tego „prezentu” od mecenasa i spodziewał się wszystkiego najgorszego, a przynajmniej gorącej potyczki z czupurnym i pełnym temperamentem adwokatem.

— Nie widziałem, ani nie rozmawiałem z mecenasem Ruszyńskim od miesiąca. Co pana do nas sprowadza i dlaczego pan tak się zabezpieczył z tą walizką, jedzeniem i zmianami bielizny? Czy popełnił pan jakieś przestępstwo?

— Nie. Nie jestem przestępcą, chociaż wielu ludzi ta sądzi.

Najgorzej, że nie jestem w stanie dowieść swojej niewinności. Prosiłem o radę mecenasa Ruszyńskiego i on stwierdził, że jedynie milicja będzie mogła rozwikłać tę za gadkę. Ostrzegł mnie jednak, że najprawdopodobniej zostanę zatrzymany. Stąd to „zabezpieczenie”.

— Ale o co w końcu chodzi? — oficer milicji zaczyna się niecierpliwić.

Stanisław Wróblewski wyjął z kieszeni książkę, otworzył na odpowiedniej stronie i podał oficerowi. Podpułkownik szybko przeczytał podpis pod fotografią i długo się w nią wpatrywał.

— Istotnie — stwierdził — istnieje ogromne podobieństwo. Zwłaszcza to znamię na prawym policzku.

— Sam przyznaję, że podobieństwo jest łudzące. Jest to jednak straszny zbieg okoliczności. Nie jestem ukrywającym się zbrodniarzem wojennym. Nawet nie znam języka niemieckiego. Cała bieda, że mój życiorys jest skomplikowany i nie ma ani żadnych dokumentów, ani też świadków, aby udowodnić moją niewinność.

— Proszę mi opowiedzieć ten życiorys — zaproponował podpułkownik — a nagranie pańskiego opowiadania na magnetofonie ułatwi nam pracę.

Po wysłuchaniu Stanisława Wróblewskiego, podpułkownik zauważył:

— Mecenas Ruszyński jest znakomitym adwokatem — Kaczanowski nie mógł się powstrzymać od przypięcia małej łatki stałemu rywalowi — ale nie zna się i nie musi się mać na metodach śledztwa. Niepotrzebnie pana straszyl trudnościami z identyfikacją pańskiej osoby. Dla nas sprawa jest zupełnie prosta. Nie musi pan poszukiwać uczestników partyzantki z oddziału „Rysia” lub rozbitków po kłęsce w Janowskich Lasach i dopytywać się, foto pamięta „Dzikusa” z tamtych czasów. A my nie będziemy ustalać adresów dawnych mieszkańców Brzeźnicy pod Nieświeżem. Pomimo wszystko nie sądzę, aby wszyscy tam zginęli.

— Co w takim razie mam zrobić?

— Nic. To my zrobimy. Nam po prostu wystarczy pan i ta fotografia. Wykonamy cały szereg pańskich zdjęć również z

profilu. Przypuszczam, że będzie potrzebne zdjęcie rentgenowskie i dokładne pomiary pańskiej czaszki. Rozporządzając takim materiałem porównawczym, Zakład Kryminalistyki bez większych trudności ustali, czy fotografia z książki jest pańskim zdjęciem, czy też przedstawia innego człowieka ludzako do pana podobnego. Zewnętrzne podobieństwo może być bardzo duże, ale nie ma dwóch ludzi, którzy mieliby taką samą budowę czaszki, jak też nie ma dwóch ludzi, którzy by mieli takie same odciski palców. To dla dzisiejszej kryminalistyki żaden problem.

— A przez cały czas tych badań będę aresztowany?

— Być może, że zostanie pan zatrzymany na najwyżej czterdzieści osiem godzin. Co do terminu, w którym można będzie przeprowadzić badania i co do pańskiego pobytu u nas, sam nie decyduję. Muszę porozumieć się z moim zwierzchnikiem i sprawdzić, czy odpowiedni fachowcy są akurat w tej chwili wolni. Proszę, na korytarzu są krzesła, niech pan tam posiedzi i poczeka na mnie. Postaram się, aby badania przeprowadzono bez zwłoki. Porozumiem się także z Zakładem Kryminalistyki w tej sprawie.

Po wyjściu z pokoju Stanisława Wróblewskiego, podpułkownik wyjął z magnetofonu taśmę z nagrany opowiadaniem i udał się do „starego”, jak w Pałacu Mostowskich nazywali pułkownika Adama Niemirowicza wszyscy jego podkomendni, nie wyłączając Janusza Kaczanowskiego, którego ze zwierzchnikiem łączyła dawna, wieloletnia przyjaźń.

Pułkownik Niemirowicz był w doskonałym humorze. Właśnie jego wydział wywiązał się z wyjątkowo trudnego zadania i „stary” odbierając ze wszystkich stron gratulacje, chodził w glorii sławy. Toteż powitał przyjaciela szerokim uśmiechem.

— Co to, Januszu, masz taką minę, jakbyś zjadł dwie cytryny popijając to szklanką oleju rycynowego zmieszanego z ropą naftową?

— Ja z tym draniem już dłużej nie wytrzymam.

— Z jakim draniem? — Niemirowicz tylko dla formalności postawił to pytanie. Dobrze bowiem wiedział, jaka padnie odpowiedź.

— Jak to z jakim? Jeszcze się pan pułkownik pyta? Naturalnie że z Ruszyńskim.

— Wtrąca się do jakiegoś twojego śledztwa?

— Jeszcze gorzej. Teraz z kolei zaczął mi podrzucać klientów.

To mówiąc Kaczanowski zreferował zwierzchnikowi całą sprawę. Ale opowiadanie Janusza wcale nie popsuło humoru pułkownikowi. Przeciwnie, dobre samopoczucie starego jeszcze bardziej wzrosło.

— Muszę zatelefonować do mecenasa i serdecznie mu podziękować, że tak pamiętał o tobie. Sprytny adwokat doskonale wie, że niektórzy moi oficerowie obijają się po Pałacu Mostowskich i pomimo ich najlepszej woli, nie mają nic do roboty. A tak, przynajmniej jeden z nich nie będzie siedział z założonymi rękoma.

— Ja cię zamorduję! — Kaczanowski przeszedł na ty ze zwierzchnikiem — I każdy sąd mnie uniewinni. Zamorduję ciebie i twojego zakichanego mecenasa. Ty naprawdę chcesz mi jeszcze i tę sprawę wpakować na kark? Przecież mam osiem innych terminowych śledztw.

— Co to znaczy dla takiego asa osiem spraw? — Niemiwoch zlekceważył uwagę. — Zresztą sam przed chwilą mówiłeś, że z ustaleniem tożsamości nie ma większych trudności. Od razu każ go zbadać, obfotografować i cały pasztet pošlij w Aleje Ujazdowskie. Niech się nad tym głowią w Zakładzie.

— To rzeczywiście błahostka, ale co będzie, jeżeli okaże się, że ten rzekomy Wróblewski jest naprawdę ukrywającym się Hauptsturmführerem Richardem Baumvogellem? Jakie gigantyczne śledztwo trzeba będzie wtedy przeprowadzić.

— No tak — zgodził się pułkownik Niemiwoch — roboty będzie dużo, ale nasz znakomity „pogromca przestępców”, jak cię niedawno nazwała..., no mniejsza z tym kto, na pewno bez trudu da sobie radę i z tym problemem nie przerywając pozostałych ośmiu śledztw.

— Panie Boże, ty słyszysz i nie grzmisz! — Kaczanowski podniósł głowę do góry, jakby stamtąd oczekiwał pomocy.

— Jak myślisz? — już poważnie zapytał pułkownik — Ten facet jest winien?

— Bo ja wiem? — szczerze przyznał Kaczanowski. Wygląda na bardzo przestraszonego i oburzonego. Jego opowiadanie trzyma się kupy. Dwa Krzyże Walecznych i Virituiti na piersiach zajadłego hitlerowca — to także nie mieści się w głowie. Z drugiej strony podobieństwo tego Wróblewskiego do fotografii jest uderzające. Zwłaszcza to znamię na policzku w kształcie pełzającej gąsienicy. To byłby fenomen na skalę światową. Tak, jakbyśmy znaleźli dwóch osobników o identycznych odciskach palców.

— Ekspertyza to wyjaśni.

— Czy faceta przymknąć?

— Czy ja wiem? — Niemirosch wzruszył ramionami — właściwie należałoby, ale sam się zgłosił. To przemawia za jego albo niewinnością, albo wyjątkową bezczelnością. Najlepiej porozumieć się z prokuratorem. Czy oni mają już jakieś doniesienia na tego człowieka?

To mówiąc Niemirosch nakręcił numer prokuratury i poprosił do telefonu wiceprokuratora wojewódzkiego dla miasta Warszawy, Władysława Szczypiorskiego.

— Mamy dość dziwną sprawę — wyjaśniał swojemu rozmówcy — zgłosił się do nas pewien obywatel o nazwisku Stanisław Wróblewski i żąda, abyśmy stwierdzili, że nie jest Hauptsturmführerem Richardem Baumvogellem, szefem gestapo w Bradomsku, w czasie okupacji.

— Zaraz, zaraz — zainteresował się Szczypiorski — wczoraj czy też przedwczoraj przysłano nam książkę Józefa Barańskiego „Przeżyłem piekło i Oświęcim” wraz z informacją, że ten gestapowiec ukrywa się w Warszawie, właśnie pod nazwiskiem Wróblewski. Poleciałem wezwać tego pana na przesłuchanie do prokuratury. Chyba już mu to wezwanie wysłano.

— Mamy gościa u siebie na korytarzu. Co z nim zrobić?

— Ma jakieś dowody swojej tożsamości, które niedwuznacznie wyjaśniłyby sprawę?

— Można przeprowadzić badania antropologiczne i na tej podstawie ustalić, czy to ten sam człowiek co na fotografii.

— Bardzo dobrze — ucieszył się prokurator — jeżeli taki

dowód jest najzupełniej pewny.

— Absolutnie pewny — poświadczył pułkownik.

— To zróbcie te badania jak najprędzej.

— To jednak musi potrwać dwa, trzy dni — wyjaśnił Niemiroch — a może nawet dłużej, bo Zakład Kryminalistyki na brak zajęć nie cierpi. A co przez ten czas zrobić z Wróblewskim? Czy go zatrzymać?

— Nie ma powodu — zaproponował prokurator — narazie nie mamy żadnych dowodów jego winy. Podobieństwo ze zdjęciem w książce może być przypadkowe.

— A jeśli wiedząc, że badania antropologiczne go zde-maskują, facet nam pryśnie?

— To będzie najlepszy dowód — roześmiał się prokurator — że jest winien zarzucanego mu przestępstwa. Daleko wam nie ucieknie. Mając jego zdjęcia, dokładne pomiary czaszki i odciski palców szybko go odnajdziecie. Zresztą możecie go wziąć pod obserwację.

— Dobrze, panie prokuratorze, dokonamy pomiarów i na razie zwolnimy Wróblewskiego z zakazem opuszczania Warszawy. — Niemiroch odłożył słuchawkę i zwracając się do podwładnego zapytał: — Słyszałeś?

— Słyszałem. Na obserwację nie dasz zgody?

— Naturalnie, że nie dam. Skąd bym brał ludzi na wszystkie zachcianki wasze i prokuratorów? Skoro ten Wróblewski sam przyszedł, to chyba teraz kawału nie robi.

— Nie jestem taki pewien — zastrzegł się Kaczanowski. — Boję się, że ekspertyza nie wypadnie dla niego zbyt korzystnie. Ale ostatecznie możemy zaryzykować. Szczypiorski ma rację, gdyby gość prysnął, szybko będziemy go mieli w naszych rękach.

— Swoją drogą, niecodzienna sprawa.

— Teraz rozumiem — roześmiał się Kaczanowski — ten chytry lis naumyślnie podesłał mi Wróblewskiego. Liczył na to, że my go z miejsca przymkniemy, a wtedy szanowny Miecio rozpocznie swoje ulubione prywatne śledztwo, dowiedzie niewinności niesłusznie aresztowanego i na prawo i na lewo będzie wygadywał, jaki to on genialny detektyw, a jaki głupi

jest ten podpułkownik Kaczanowski, który nie potrafi rozwikłać tak prostej sprawy i na dodatek przetrzymał faceta w „dołku”.

Słuchając tych wywodów Adam Niemirowicz, któremu nie obca była rywalizacja Janusza z adwokatem zarówno na polu prawniczym, jak i na innych terytoriach, uśmiechał się.

— Ale tym razem stary krętacz — podpułkownik coraz bardziej się zaperzał — brzydsko wpadł. Na szczęście ten najmimorda nie zna kryminalistyki i nawet się nie domyśla, że my cały problem możemy rozszyfrować w ciągu najwyżej dwóch, trzech dni. I że wcale nie zamierzamy zamykać faceta. A co do Ruszyńskiego, przy najbliższej okazji już ja go dobrze ośmieszę.

— Bądź, Januszu, choć trochę obiektywny — mitygował go Niemirowicz — czy nie możesz sobie wyobrazić, że jesteś adwokatem i do ciebie przychodzi klient z taką sprawą. Przecież sam byś go skierował do milicji. Nie dziw się więc, że mecenas Ruszyński zrobił to samo.

— Zrobił — przyznał podpułkownik — ale przy sposobności spróbował także zrobić mnie w konia. Już ja dobrze znam tego dziwkarza.

— Przyganiał kocioł garnkowi — mruknął Niemirowicz.

— Żebyś wiedział — do Kaczanowskiego nie trafiały żadne argumenty — nie mógł mecenas posłać Wróblewskiego do Komendy Głównej MO do majora Zawadzkiego, który tam zajmuje się takimi różnymi skomplikowanymi i tajemniczymi sprawami. Przecież zna Zawadzkiego równie dawno jak mnie. A może i dłużej? Albo u nas, do majora Soczewki, Też jego dobry znajomy. Obaj mają bzika na punkcie samochodów. Ale stary kauzyperda musiał wybrać właśnie mnie. No, ale porachujemy się jeszcze, drogi Mięciu. Tym razem wpadłeś jak śliwka w sam środek... kompotu. Przekonasz się, że Kaczanowski to nie taki naiwniak, za jakiego go brałeś...

Chciał coś dodać, ale rozległ się dzwonek telefonu. To sekretarka Niemirowicza, panna Krysia, zawiadamiła pułkownika, że mecenas Ruszyński chciałby z nim mówić.

— Proszę przełączyć.

— Dzień dobry, pułkowniku, uniżenie kłaniam się władzy — rozległ się w słuchawce donośny baryton adwokata — podesłałem wam klienta. Czy się zgłosił?

— Tak, właśnie go tutaj mamy. Dziękujemy.

— Sprawa niecodzienna — tokował mecenas — zresztą ja innych nie posiadam — jedną z zalet Miecia była skromność — ludzie wiedzą, że jeśli już nie ma znikąd pomocy to jak w dym do Ruszyńskiego, a on im zawsze rzuci koło ratunkowe. Ale wracając do sprawy, nie chciałem telefonować do pułkownika Kaczanowskiego, bo on ostatnio zrobił się taki jakiś przewrażliwiony. Najwidoczniej ma kłopoty. Pewnie z jakąś dziewczyną. Zawsze mu powtarzałem, że wiek ma swoje nieubłagane prawa i trzeba się wreszcie uspokoić. Ale on nigdy nie słucha moich dobrych rad. Dlatego i teraz zawracam głowę panu pułkownikowi.

— Ależ nic nie szkodzi. Zawsze pan mecenas jest u mnie miłym gościem i cieszę się, jeżeli chociaż przez telefon słyszę pana głos.

— Chodzi o to, przyszło mi na myśl, że można chyba bardzo szybko ustalić, czy ten Wróblewski nas buja, czy rzeczywiście jest takie fenomenalne podobieństwo pomiędzy nim i tamtym gestapowcem. Żeby tak zbadać czaszkę faceta i obfotografować go, to Zakład Kryminalistyki po odpowiednich badaniach mógłby stwierdzić, czy Wróblewski i osoba na zdjęciu to dwaj różni ludzie, czy też to ten sam człowiek.

— Świetny pomysł, panie mecenasie — roześmiał się Niemiroch — serdecznie dziękujemy za tak dobrą radę, ale jest trochę spóźniona, bo właśnie nasi fachowcy w tej chwili przeprowadzają te badania.

Adwokat Ruszyński w głos się roześmiał po przeciwnej stronie drutu.

— Widzę, że miałem nosa posyłając Wróblewskiego bezpośrednio do pułkownika Kaczanowskiego. Proszę go ode mnie pozdrowić.

— Dziękuję i jeszcze raz dziękuję za skierowanie Wróblewskiego do nas. Mam nadzieję, że pan mecenas kiedyś wpadnie do mnie. Zawsze chowam trochę winiaczku na taką

szczęśliwą okazję. Do widzenia.

— Ja się zabiję — zawołał Kaczanowski — to niesłychane! Jakiś adwokacina będzie mnie uczył, jak mam prowadzić śledztwo. A ty za to dziękujesz temu siwemu playboyowi. To przechodzi ludzkie pojęcie. Prawie trzydzieści lat służę w milicji i jeszcze mnie to nie spotkało.

— Przede wszystkim — pułkownik Niemirowicz coraz lepiej bawił się złością swojego przyjaciela — mecenas Ruszyński nie jest, jak go raczyłeś nazwać, kauzyperdą czy też adwokacina, a jednym z najlepszych i najślawniejszych adwokatów w Polsce. Bezstronnie mówiąc nie raz i nie dwa oddał nam poważne usługi, już nie mówiąc o tym, że występując w sądzie i walcząc z prokuratorem jest także rzecznikiem sprawiedliwości, jak i jego przeciwnik. Jeśli śledztwo popełnia błąd, co się nam przecież czasami zdarza, zadaniem adwokata jest naprawienie naszych omyłek.

— Dobrze, dobrze...

— A poza tym zaledwie przed chwileczką sam stwierdziłeś, że Ruszyński nie zna się na kryminalistyce i nie ma pojęcia o najnowszych metodach badań. Kiedy zaś adwokat w najlepszej wierze podsuwa nam właściwą metodę rozwiązania zagadki, ty wpadasz w pasję. Bądź wreszcie bardziej konsekwentny i bezstronny.

— To są podstępny tego chytrusa. Przysyła mi Wróblewskiego, potem dzwoni do ciebie i daje dobre rady, aby w końcu rozpowiadać dokoła, a zwłaszcza znajomym oficerom milicji, że Kaczanowski nie umiał ugryźć tej sprawy i tylko pomoc genialnego adwokata uchroniła milicję od kompromitacji. To zupełnie jasne, a ty zachowujesz się jak tłusty karp, który z rozkoszą łyka przynętę z haczykiem.

— A co miałem robić?

— Powinieneś powiedzieć Krysi, że cię nie ma w gabinecie, albo że masz odprawę i nie możesz teraz rozmawiać z Ruszyńskim.

— Zaczynasz mnie nudzić tymi swoimi sporami z Ruszyńskim.

— To ma być nagana? — z kolei Kaczanowski poczuł się urażony.

— Nie traćmy czasu. Ja za chwilę muszę jechać na Ksawerów do KG MO, a ty zwołuj swoich techników i zabierajcie się do Wróblewskiego.

— Tak jest, obywatelu pułkowniku — Kaczanowski zerwał się z krzesła i stanął w postawie zasadniczej.

— Odmaszerować... wariacie!

Badania Stanisława Wróblewskiego trwały przeszło dwie godziny. Milicyjny fotograf dokonał kilkudziesięciu zdjęć jego głowy z różnych stron, zaś lekarz wymierzył czaszkę oraz przeprowadził szczegółowe oględziny i pomiary całego ciała. Po tych badaniach od prowadzono inżyniera z powrotem do pokoju, w którym pracował podpułkownik.

— Pierwsza próba — wyjaśnił Kaczanowski — wypadła pomyślnie dla pana.

— Nie rozumiem.

— Wszyscy członkowie SS mieli wytatuowany ten skrót na ciele. W różnych miejscach. Czasami pod pachą, często za uchem, a nawet zdarzało się spotykać takich esesmanów, którzy to znamię nosili na powiece oka. Pomimo bardzo dokładnych oględzin, lekarz nie znalazł u pana tych dwóch literek. Co prawda wielu byłych hitlerowców później ten znak przynależności do SS usuwało chirurgicznie. Pozostawała po takim zabiegu zawsze jakaś blizna. Na pana ciele tych blizn wprawdzie nie brakuje, niemniej doktor Trojanowski uważa, że są one skutkiem raczej odniesionych ran, niż usuwania tatuażu.

— Byłem trzykrotnie ranny. Raz w walkach o Warszawę, drugi raz przy zdobywaniu Wału Pomorskiego i wreszcie trzeci raz w Kamieniu Pomorskim podczas obrony browaru, który Niemcom udało się wysadzić w powietrze wraz z częścią naszej załogi. Wtedy zostałem najpierw zasypany gruzem, a kiedy jakoś zdołałem się wyczołgać spod ruin, w pobliżu mnie rozerwał się szrapnel. Dostałem kilkadziesiąt odłamków. Niektóre mam do dziś dnia w ciele. Od czasu do czasu któryś z nich, wielkości ułamanej szpilki, znajduje sobie drogę przez skórę na zewnątrz.

— Cały materiał badawczy — wyjaśnił podpułkownik —

wysłały już dzisiaj do Zakładu Kryminalistyki. Wyniki będziemy mieli za trzy dni.

— Będę na ten okres czasu zatrzymany?

— Nie. Zdecydowaliśmy nie stosować tymczasowego zatrzymania. Jest pan wolny i może pan wracać do domu i do pracy.

— Żeby znowu narazić się na jakiś afront kolegów?

Dziękuję. To już wolę przesiedzieć te trzy dni w waszym areszcie.

— Jeżeli pan powie, że zgłosił się pan do milicji i zażądał wyjaśnienia sprawy, sądzę, że takie wyjaśnienie wystarczy pańskim przełożonym i zamknie usta złośliwcom. Możemy zresztą dać panu odpowiednie zaświadczenie na piśmie.

— Dziękuję. Chyba dam sobie radę i bez tego papierka.

— Dzisiaj mamy środę. Zakład Kryminalistyki da nam odpowiedź najwcześniej w sobotę. Zatem proszę o ponowne zgłoszenie się do nas w poniedziałek o godzinie dwunastej w południe. Do tego terminu powinienem mieć wyniki badań. Przy pozytywnym dla pana wyniku, otrzyma pan odpowiednie zaświadczenie, aby nie doszło do jakichś ponownych oskarżeń.

— Jestem absolutnie pewien tego pozytywnego wyniku — stwierdził Wróblewski. — To jakiś przedziwny zbieg okoliczności zaplątał mnie w tę niesamowitą dla mnie sprawę. Bardzo panu pułkownikowi dziękuję za tak życzliwe mnie potraktowanie. Zgłoszę się w poniedziałek punktualnie. Do widzenia.

— Jeszcze chciałbym zapytać...

— Słucham pana pułkownika.

— Czy pan podpisał pełnomocnictwo?

— Jakie pełnomocnictwo?

— Panu mecenasowi Ruszyńskiemu. Upoważniając go do obrony.

— Nie. Mecenas powiedział mi, że jeżeli jestem niewinny, to milicja sprawę od razu wyjaśni i żadna obrona nie będzie mi potrzebna. Jeżeli zaś jestem tym gestapowcem, to takich przestępców on nie broni. Nawet nie chciał wziąć ani grosza za poradę prawną.

— Dziękuję panu i do zobaczenia.

Kiedy za Stanisławem Wróblewskim zamknęły się drzwi, Kaczanowski zaczął porządkować leżące przed nim dokumenty. Złość na adwokata Ruszyńskiego bynajmniej mu nie przeszła. Podpułkownik był święcie przekonany, że mecenas skierował Wróblewskiego do niego, jedynie po to, aby przy okazji ośmieszyć swojego częstego przeciwnika. Snuł więc teraz projekty zemsty. W gruncie rzeczy Kaczanowski nie był przekonany o niewinności Wróblewskiego. Podobieństwo tego człowieka do fotografii szefa gestapo w Bradomsku było zbyt wielkie, aby doszukiwać się w tym tylko przypadku. Doświadczony oficer milicji nawet i bez orzeczenia fachowców nabrał pewności, że jest to zdjęcie człowieka, który przed chwilą opuścił jego gabinet. Dlatego też zamykając teczki w szufladach biurka podpułkownik wygrażał w duchu Ruszyńskiemu:

„Poczekaj, chytry lisie. Wrobiłeś mnie w niezłą sprawinę, ale i ja ciebie także urządzę. Będziemy jechali na tym samym wózku. Już ja się o to postaram, jakem Kaczanowski”.

III

Pan przegrał Herr Hauptsturmführer

Zakład Kryminalistyki pomimo nawału innych prac, dotrzymał terminu. W sobotę, posłany w Aleje Ujazdowskie podoficer odebrał z sekretariatu Zakładu dużą szarą kopertę, która wkrótce znalazła się na biurku podpułkownika Janusza Kaczanowskiego. W kopercie, prócz zwrotu przesłanych do zakładu fotografii, książki i pomiarów lekarskich, był wynik pracy fachowców. Nie pozostawiał on żadnych wątpliwości. Po przeczytaniu orzeczenia, Kaczanowski natychmiast zameldował się u naczelnika. Pułkownik Adam Niemirowicz rzucił okiem na ekspertyzę zakładu.

— Spodziewałeś się tego?

— Raczej tak.

— A jednak w rozmowie ze mną byłeś bardzo ostrożny.

— Cóż miałem robić? Poza osobistym wrażeniem, nie miałem żadnych dowodów. Pytałem się przecież, czy faceta zatrzymać? Prokurator był odmiennego zdania.

— Prokurator także nie będzie wydawał decyzji zastosowania tymczasowego aresztu tylko na czyjeś piękne oczy. Miał wprawdzie doniesienie, na pewno zresztą anonim, ale to za mało. Jak myślisz, czy on prysnął?

— Sądzę, że nie. Przypuszczam, że nie wierzył, aby można było bezspornie dowieść, że zdjęcie wykonane przed trzydziestu paru laty i człowiek dzisiejszy, to ta sama osoba.

Jeżeli ten gestapowiec nawet w swoim czasie trochę liznął kryminalistyki, to metody i środki badawcze ogromnie się zmieniły w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. A poza tym on nie ma innego wyjścia. Musiał iść na całość. Zaryzykować, a nuż się uda.

— Ale się nie udało.

— Zastanawiam się, czy posłać ludzi, aby go zatrzymali, czy też poczekać do poniedziałku i zobaczyć, czy przyjdzie do nas

sam?

— Trudno decydować. Jeżeli prysnął, zrobił to po wyjściu od nas. Jeśli od razu nie próbował ucieczki, sądzę, że się zjawi.

— Sprawdzalem wczoraj telefonicznie w jego miejscu pracy, w Biurze Projektów na Tamce. Inżynier, jak mnie poinformowano, był obecny w gmachu.

— Z tego należy wnioskować, że jest spokojny o swoją przyszłość. Może więc jeszcze zaryzykować te czterdzieści osiem godzin?

— Podeślę jednak kogoś, aby i dzisiaj sprawdził obecność Wróblewskiego w biurze.

— Co ci to da? Albo nie uciekał i zgłosi się do nas, albo dał nogę i na sprowadzenie go jest już za późno.

— Może jednak — zastanawiał się Kaczanowski — zrobić tak: posłać kogoś do Biura Projektów, żeby się przepytał o Wróblewskiego tak niezręcznie, aby inżynier się o tym dowiedział. A tymczasem weźmiemy go pod obserwację. Może jednak zechce zwinąć manatki?

— Pomysł dobry, ale wcale nie posunie naprzód śledztwa. Co chcemy wiedzieć, to już mamy czarno na białym w ekspertyzie Zakładu Kryminalistyki. I dla sprawy jest rzeczą obojętną, czy Wróblewski potwierdzi to świadectwo próbą ucieczki.

— W każdym bądź razie pojedę zaraz do Prokuratury Wojewódzkiej. Zgłoszę się do prokuratora Władysława Szczypiorskiego, który już zna sprawę. Zreferuję nasze dotychczasowe kroki, wezmę wniosek o tymczasowe aresztowanie podejrzanego i umówię się, kiedy i który z prokuratorów przesłucha Wróblewskiego i wyda to postanowienie.

— Widzę, Januszku, że sprawa ci się spodobała. A tak się złościłeś, że mecenas Ruszyński właśnie skierował Wróblewskiego do ciebie. Zresztą, jeżeli nie chcesz jej prowadzić, to porozmawiam z majorem Soczewką. On lubi takie problemy i nie ma na pieńku z niektórymi adwokatami.

— Skoro to na mnie spadło, będę ten wózek ciągnął do końca, chociaż mi to bardzo komplikuje pozostałe śledztwa. A co do Ruszyńskiego, w najbliższym czasie wyrównamy nasze rachunezki. Mam nadzieję, że prokurator Szczypiorski także

sam obejmie prowadzenie śledztwa. Lubię z nim pracować. Ma wyobraźnię i nie cierpi na brak decyzji.

— Roboty będzie dużo.

— Spodziewam się. Taka sprawa z lat okupacji.

— Będę sugerował w Komendzie Głównej MO, aby śledztwa nie przekazywać do Piotrkowa. Obecnie Bradomsk, teren popełnienia przestępstwa, znajduje się w województwie piotrkowskim. Skoro jednak przestępca mieszka w Warszawie i tu został ujęty, mogą się nim zająć tutejsze organa śledcze. Sądzę, że gdy dojdzie do rozprawy sądowej, Sąd Wojewódzki także przyjmie takie kryterium.

— Ja też tak przypuszczam. Nie podejrzewam, aby Komenda Wojewódzka w Piotrkowie była zbyt uszczęśliwiona, gdybyśmy im na głowy zwalili taki pasztet.

— Nawet świadków, a być może trzeba ich będzie szukać po całym kraju — dodał Adam Niemiroch — łatwiej jest sprowadzać do Warszawy, niż do Piotrkowa. A co do twoich pozostałych spraw, może ci jakoś ulżyć?

— Na razie nie widzę potrzeby. Może później zajdzie taka konieczność, jeżeli ta afera zacznie się zbyt rozrastać.

W poniedziałek o godzinie dwunastej w południe Stanisław Wróblewski po uprzednim zameldowaniu się w biurze przepustek wszedł do pokoju podpułkownika Kaczanowskiego. Tym razem oficer milicji nie miał już przed sobą człowieka przerażonego, będącego jednym kłębkim nerwów, lecz kogoś, kto szczęśliwie pozbył się kłopotów. Nawet sposób ubierania się uległ zmianie. Wtedy, przed pięcioma dniami Wróblewski przyszedł do Pałacu Mostowskich w jakimś starym, wytartym ubranku. Teraz włożył elegancki popielaty garnitur i jasnogranatowy krawat o dyskretnym wzorku.

— Jak pan widzi, pułkowniku — zaczął inżynier — stawilem się punktualnie.

— Tak jest. Proszę, niech pan siada.

Wróblewski zajął wskazane mu krzesło i zapytał:

— Czy są już wyniki z Zakładu Kryminalistyki?

— Dostaliśmy je jeszcze w sobotę.

— A więc to przykre nieporozumienie zostało szczęśliwie

zakończone.

— Niezupełnie.

— Jak to?

— Szkoda, że pan dzisiaj nie wziął ze sobą tej swojej walizeczki.

— Nie rozumiem?

— Po prostu pan przegrał, Herr Hauptsturmführer Richard Baumvogell.

— Co pan wygaduje — inżynier uniósł się gniewem — nie jestem żadnym Hauptsturmführerem.

— Dużo pan ryzykował ukrywając się w Polsce. A potem, kiedy pana zdemaskowała pewna fotografia, zagrał pan va banque. Ale pan przegrał. Przyznam się, że podziwiałem bezczelność, z jaką się pan do nas zgłosił. Oto ekspertyza Zakładu Kryminalistyki. Nie pozostawia ona żadnych wątpliwości, że to pańskie zdjęcie figuruje w książce — podpułkownik wyjął z teczki dokument i podał go siedzącemu naprzeciwko człowiekowi. — Proszę przeczytać.

Wróblewski, a właściwie Baumvogell, złapał podany mu dokument. W miarę jak go studiował, jego twarz pokrywała się białością, a grube krople potu występowały na czoło.

— To nieprawda. To jakaś potworna omyłka.

— Panie Baumvogell — poważnie powiedział oficer milicji — na nic się nie zdadzą jakiegokolwiek zaprzeczenia oczywistym faktom. To nie jest najlepszy sposób ratowania swojej skóry. Dużo lepszym będzie szczerze przyznanie się do wszystkiego. Nie przeczę, już nawet z lektury tej książki wynika, że ciążą na panu bardzo poważne zarzuty. Grozi panu wysoki wymiar kary. Może nawet najwyższy, jaki zna kodeks karny. Tylko szczerść może być okolicznością łagodzącą.

— Głupstwa pan opowiada — przesłuchiwany przerwał Kaczanowskiemu — jestem Stanisławem Wróblewskim i nie potrzebuję się do niczego przyznawać. Myślałem, że to jakiś łobuz z naszego biura usiłuje mnie wrobić w tę sprawę. Teraz jednak widzę, że i milicja chce się pochwalić błyskotliwym sukcesem i to kosztem skazania niewinnego człowieka.

— Panie Baumvogell — podpułkownik lekko się uśmiechnął

— polskie prawo pozwala podejrzanemu kłamać czy w ogóle odmawiać zeznań. Jeśli pan przybierze taką taktykę obrony, nic na to nie poradzę, ale to nie wstrzyma śledztwa i wymiaru sprawiedliwości.

— To coś strasznego — przesłuchiwany omal nie płakał — przysięgam, że nie byłem nigdy w Bradomsku i nie byłem gestapowcem.

— Widzę pana drugi raz w życiu. Ci z Zakładu Kryminalistyki nigdy pana nie widzieli. Jaki miałbym interes ja albo i oni, aby pana niewinnie prześladować? Badania, jak pan to może wyczytać, przeprowadzono bardzo szczegółowo i przy użyciu najrozmaitszych metod. Wszystkie one dały identyczne wyniki. O żadnej omyłce nie może tu być mowy.

— A jednak to nieprawda.

— Na pański upór nic nie poradzę. Teraz zmuszony jestem sporządzić krótki protokół z przesłuchania pana — (to mówiąc podpułkownik wyjął odpowiedni blankiet i zaczął:

— Imię i nazwisko?

— Stanisław Wróblewski. Syn Kajetana i Adeli z domu Pencak.

— Data i miejsce urodzenia?

— Dziesiątego listopada 1923 roku. Wieś Brzeźnica, powiat Nieśwież, województwo nowogrodzkie. Ojciec był rolnikiem, miał dziesięć mórg gruntu.

— Wykształcenie?

— Inżynier magister. Ukończyłem Politechnikę w Gdańsku, Wydział Mechaniczny.

— Miejsce pracy?

— Biuro Projektów w Warszawie, ul. Tamka.

— Stan rodzinny?

— Żonaty. Żona Krystyna z domu Grodzicka. Dwoje dzieci: Elżbieta lat dwanaście i Andrzej lat osiem.

— Czy przyznaje się, że w czasie okupacji występując jako Richard Baumvogell, oficer SS w stopniu Hauptsturmführera, pełnił obowiązki szefa gestapo w Bradomsku?

— Nie.

— Co chciałby wyjaśnić?

— Nie mam nic do dodania. Jestem, jak już powiedziałem, Stanisławem Wróblewskim.

— Jak pan uważa — oficer milicji wzruszył ramionami

— proszę podpisać protokół.

Wróblewski złożył swój podpis na dokumencie.

— Jest pan zatrzymany — wyjaśnił Kaczanowski — jako osoba podejrzana o popełnienie poważnych przestępstw. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin będzie pan zgodnie z artykułem dwieście dziesiątym kodeksu postępowania karnego przesłuchany osobiście przez prokuratora, który ewentualnie wyda decyzję o tymczasowym areszcie.

— Czyli inaczej mówiąc — sarkastycznie zauważył Wróblewski — w całym majestacie prawa pakujecie niewinnego człowieka do więzienia i jak sam pan powiedział, będziecie się starali go powiesić.

— Na razie — podpułkownik nie dawał się wyprowadzić z równowagi — ustaliliśmy jedno. Człowiek na fotografii w książce, szef Gestapo w Bradomsku i pan, to ta sama osoba. Dalsze śledztwo wyjaśni, jakich zbrodni dopuścił się pan w Bradomsku i może jeszcze gdzie indziej. Jeśli ustalimy jakieś czyny i zdarzenia przemawiające za panem, to również podane będzie do wiadomości sądu, który przy ferowaniu wyroku na pewno uwzględni wszystkie okoliczności łagodzące.

— Po co te bajeczki? Nie jestem Baumvogellem.

Podpułkownik zadzwonił. Kiedy zjawił się podoficer dyżurny, Kaczanowski polecił mu odprowadzić zatrzymanego do aresztu.

Potem odezwał się telefon. Dzwonił wiceprokurator Władysław Szczypiorski.

— No jak tam, pułkowniku? — zapytał. — Wasz klient zjawił się?

— Zjawił. Muszę przyznać, że był bardzo punktualny i bardzo pewny siebie. Wyniki ekspertyzy wręcz go zaskoczyły.

— No i co?

— Przesłuchałem go oficjalnie. Wbrew logice, zaprzeczył jakoby był Richardem Baumvogellem, oświadczył, że jest Stanisławem Wróblewskim i odmówił dalszych zeznań.

— Zmięknie.

— Ja także jestem tego pewien. Kiedy wreszcie dotrze do jego świadomości, że definitywnie przegrał, otworzy usta, aby ratować własną głowę.

— Trudno mi coś powiedzieć, bo przecież w ogóle nie znam sprawy i nigdy nie słyszałem o wyczynach szefa Gestapo w Bradomsku, sądzą jednak, że kara główna Baumvogellowi nie grozi. Ze względu na tendencje panujące w polskim orzecznictwie, żeby wyrok śmierci był czymś naprawdę wyjątkowym, jak też i dlatego, że sąd nie skarże na śmierć człowieka odznaczonego dwukrotnie Krzyżem Walecznych i orderem Virtuti Militari. Naturalnie, jeżeli ten Baumvogell vel Wróblewski nie wymyślił sobie tych odznaczeń.

— Kiedy po raz pierwszy z nim rozmawiałem, pokazał mi legitymację Krzyża Virtuti Militari. Tego przecież nie sfalszował. Zresztą łatwo sprawdzić.

— Ciekawa sprawa i obawiam się, że bardzo pracochłonna. Będziemy obaj mieli masę roboty.

— Pan prokurator osobiście poprowadzi śledztwo?

— Tak. Przyznaję zresztą, że zrobię to chętnie. A pan, pułkowniku?

— Tak zdecydował naczelnik.

— Wiecie co, pułkowniku, muszę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przesłuchać podejrzanego i ewentualnie wydać postanowienie o tymczasowym aresztowaniu, sądzą, że najlepiej załatwić to dzisiaj. W świetle posiadanej przez nas ekspertyzy Zakładu Kryminalistyki sprawa przecież jest bezsporna.

— Ja także sądzą, że to byłoby najlepszym wyjściem z sytuacji. Od razu dzisiaj skierowalibyśmy podejrzanego do więzienia. Jeśli pan prokurator pozwoli, zaraz wydam polecenie przewiezienia Baumvogella do prokuratury.

— Nie trzeba — zaproponował Szczypiorski. — Uprościmy sprawę. Przyjdę do was i na miejscu przesłucham tego człowieka. Przy okazji naradzimy się z pułkownikiem, co do dalszych kroków śledztwa. Z gmachu sądów do was jest dziesięć minut drogi. Więc najdalej za kwadrans będę u pana.

Przesłuchiwany przez prokuratora Stanisław Wróblewski vel Richard Baumvogell potwierdził swoje uprzednie zeznania złożone Kaczanowskiemu. Prokurator nie wdawał się w zbędne dyskusje z podejrzanym. Wiedział dobrze, że to w tym momencie do niczego nie doprowadzi. Wydał jedynie postanowienie o tymczasowym aresztowaniu i polecił odprowadzić przesłuchiwanego.

— Trzeba go umieścić w więzieniu, w pojedynce — zauważył Szczypiorski — kiedy wśród więźniów rozejdzie się wiadomość o tym, jakiego to asa gestapo ujęliśmy, tamci ludzie gotowi go wykończyć choćby gołymi rękoma, nie czekając na wymiar sprawiedliwości.

— Naczelnik więzienia i bez naszej instrukcji doskonale się w tych problemach orientuje, ale nie omieszka zaznaczyć sugestii pana prokuratora.

— Co pułkownik zamierza teraz robić?

— Przede wszystkim odszukać i przesłuchać autora książki „Przeżyłem piekło i Oświęcim”. Trzeba ustalić, skąd się wzięła fotografia Baumvogella w tej książce. Spróbuję także dowiedzieć się czegoś więcej o osobie szefa Gestapo w Bradomsku w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Może tam mają dossier tego zbrodniarza wojennego?

— Jeżeli autor książki Józef Barański stykał się osobiście z Baumvogellem — dopowiedział prokurator — dobrze byłoby skonfrontować go z podejrzanym.

— Naturalnie — zgodził się Kaczanowski — w ogóle będę musiał zebrać o Baumvogellu szczegółowe informacje w Bradomsku i w okolicy. Tam na pewno znajdziemy wielu świadków, ofiar gestapowca. Zapewne dobrze go zapamiętali.

— Będzie pułkownik musiał osobiście udać się do Bradomska.

— Przypuszczam, że posiedzę tam dłuższy czas. Liczę na pomoc miejscowej milicji.

— I prokuratury — zapewnił Szczypiorski.

— Jeszcze jedna sprawa, panie prokuratorze.

— Słucham pana.

— Nie chciałbym, aby nas spotkał zarzut jednostronności. A

przy taktyce podejrzanego, odmawiającego zeznań i zaprzeczania najbardziej oczywistym faktom, taki zarzut mógłby się zrodzić w czyichś nieprzychylnych nam głowach. Trzeba przecież liczyć się z tym, że aresztowanie Baumvogella i późniejszy jego proces przed sądem, będą miały wielki rozgłos. Korespondenci zagraniczni i w Polsce, zwłaszcza ci iz Federalnej Republiki Niemieckiej na pewno zainteresują się procesem i będą usiłovali go komentować.

— Z całą pewnością — zgodził się wiceprokurator.

— Dlatego też uważam, że podejrzany od samego początku powinien mieć zapewnionego obrońcę i to bardzo dobrego obrońcę.

— To prawo przysługuje każdemu.

— Tak, ale w sprawie gestapowca żaden polski adwokat nie przyjmie obrony z wyboru. Musimy zapewnić Baumvogellowi obronę z urzędu.

— Słusznie — przytaknął Szczypiorski — zajmę się tym.

— Jeśli można coś powiedzieć, ośmieliłbym się zaproponować mecenasa Mieczysława Ruszyńskiego. Wielka wiedza prawnicza, wysoki poziom moralny.

— Mecenas Ruszyńskiego? — wahał się wiceprokurator.

— Ta kandydatura jest tym lepsza, że Ruszyński już zetknął się z podejrzanym. Przecież to on namówił Baumvogella, aby sam się do nas zgłosił, a nie czekał aż my go zatrzymamy. Podejrzany ma zaufanie do tego adwokata.

— Ruszyński będzie wściekły na mnie, że go ubrałem w tę sprawę. A Miecio umie być bardzo nieprzyjemny dla prokuratora i obrzydzić mu życie.

— Zapewniam pana, że mecenas Ruszyński — stwierdził podpułkownik — nie będzie miał najmniejszego żalu do prokuratora. Taka sprawa, to bądź co bądź wielka reklama dla obrońcy, który tutaj może się wykazać całym swoim nieprzeciętnym talentem. A Ruszyński nie jest pozbawiony próżności. Może dla formy trochę ponarzeka, ale w gruncie rzeczy będzie zadowolony z tej nominacji.

— Widzę, że pułkownikowi bardzo zależy na Mięciu.

— Przyznaję, że mi zależy. Lubię mieć za przeciwnika

dobrego adwokata.

— No dobrze — zgodził się Szczypiorski — niech będzie Miecio. Zaraz po powrocie na ulicę Świerczewskiego wypiszę odpowiedni wniosek. Zresztą całkowicie zgadzam się z argumentami pułkownika, że Baumvogellowi należy zapewnić dobrego obrońcę. Myślałem o Witoldzie Bajerze.

— Mecenas Bajer jest ostatnio bardzo zajęty w Ośrodku Badawczym Adwokatury i ta obrona skomplikowałaby jego prace.

— No to sprawa załatwiona. Pozostajemy przy mecenasie Ruszyńskim — wiceprokurator pożegnał się z Kaczanowskim, który z kolei udał się do naczelnika, żeby mu złożyć szczegółowe sprawozdanie z przebiegu wypadków. Pułkownik Adam Niemirosch uważnie wysłuchał raportu.

— Nie wiem, na co liczy ten Baumvogell — powiedział.

— Przecież jest chyba na tyle inteligentny, wie iż nie sposób podważyć tej ekspertyzy Zakładu Kryminalistyki.

— Ja także mu to tłumaczyłem. Ale jakbym gadał do śłupa. Załatwieni także — dorzucił jakby od niechcienia Kaczanowski — z prokuratorem Szczypiorskim, że obrońcą Baumvogella z urzędu zostanie adwokat Ruszyński.

— Rozumiem. On ci nadał tę sprawę, więc wrobiłeś i jego.

— Chodziło mi głównie o to, aby Baumvogell miał za obrońcę, jak ty Ruszyńskiego nazywasz... „jednego z najlepszych i najślawniejszych adwokatów w Polsce”.

— Oj, Janusz, Janusz — Niemirosch pokiwał głową — tacy starzy i tacy głupi. Kiedy wy nareszcie przestaniecie skakać do siebie jak dwa koguty?

— Nie wiem, o co ci chodzi? Ja nawet bardzo lubię tego Mięcia. Byleby tylko nie wchodził mi w drogę. To on zawsze pierwszy zaczyna.

Niemirosch roześmiał się.

— Mówisz, Januszk, akurat tak samo, jak ten człowiek, który był oskarżony, że jego pies zagryzł królika. On również twierdził, że królik zaczął pierwszy.

— No wiesz, porównywać tego grubasa z królikiem.

— Podpułkownik Kaczanowski także zaczyna coraz mocniej

wciągać brzuch.

— Nie martw się o mnie. Przy tej nadanej mi przez Ruszyńskiego sprawie na pewno schudnę dobrych kilka kilogramów. Postaram się także, aby i Ruszyńskiemu znikła druga broda.

— Żarty żartami — przerwał naczelnik — ale wracając do sprawy Baumvogella, powinieneś przede wszystkim dokładnie przeczytać książkę „Przeżyłem piekło i Oświęcim” oraz porozmawiać z jej autorem, skąd on zdobył tę odbitkę. Należy także postarać się o oryginał fotografii lub o jego dobrą kopię, bo to zdjęcie książkowe nie jest zbyt wyraźne. Pierwszym wnioskiem obrony będzie żądanie powtórnej ekspertyzy. Zresztą na miejscu Ruszyńskiego sam bym tak postąpił. Musisz także, Januszk, odwiedzić Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Oni w swoich archiwach powinni mieć jakieś dane dotyczące szefa Gestapo.

— Bardzo dziękuję, obywatelu pułkowniku, za udzielenie mi tak cennych rad, jak prowadzić śledztwo. Właśnie ukończyłem szkołę, oficerską w Szczytnie i to jest pierwsza w ogóle w moim życiu sprawa, jaką prowadzę. Gdyby nie światłe wskazówki obywatela pułkownika, nie wiedziałbym, co robić.

— No, no, nie złość się — Niemiroch usiłował udobruchać przyjaciela — wiem, że myślisz o wszystkim, ale zawsze co dwie głowy, to nie jedna.

— Dobrze, ale nie traktuj wszystkich jak dzieci.

— Przyszło mi na myśl jeszcze jedno. Jak w więzieniu dowiedzą się, że to ukrywający się gestapowiec, gotowi mu jakąś krzywdę zrobić, a nawet zabić. Dobrze byłoby uprzedzić naczelnika więzienia, aby tego Baumvogella odizolował od innych swoich pensjonariuszy.

— Ja się zabiję — jęknął Kaczanowski.

IV

Widziałem tego człowieka

Dwie rozmowy telefoniczne wystarczyły, aby się skomunikować z autorem „Przeżyłem piekło i Oświęcim”, który już wrócił z urlopu. Jedna z wydawnictwem, aby ustalić adres Józefa Barańskiego, druga już do niego samego, aby omówić miejsce i czas spotkania. Podpułkownik Janusz Kaczanowski uważał bowiem, że ten pierwszy kontakt z pisarzem nie powinien mieć charakteru oficjalnego, a raczej towarzyskiego spotkania, w czasie którego można się dowiedzieć o wiele więcej niż przesłuchując Barańskiego jako świadka wraz ze spisywaniem protokołu. Dlatego też oficer milicji chętnie zaaprobował wizytę w mieszkaniu autora książki.

Oficerowi milicji drzwi otworzył mężczyzna niski i bardzo szczupły, o twarzy pooranej zmarszczkami. Nosił okulary krótkowidza o grubych szklach. Łysinę okalał wianuszek siwych włosów. Ubrany był w granatowy sweter i mocno sfatygowane dżinsy.

— Jestem Józef Barański — przedstawił się — a to pan pułkownik Kaczanowski? Proszę dalej. Od razu przepraszam za mój strój i za bałagan panujący w domu.

Obaj mężczyźni weszli do pokoju obudowanego regałami, na których znajdowało się co najmniej trzy tysiące książek. Zresztą książki leżały także na fotelach i krzesłach oraz na wąskim tapczanie stojącym pod jedną ze ścian. Duży, masywny stół zawalony był jakimiś papierami i manuskryptami. Pan domu bez ceremonii zrzucił z dwóch foteli książki na podłogę i wskazując jeden z nich swojemu gościowi, sam zajął sąsiedni.

—Może kawy?

— Dziękuję, ale dzisiaj już wypilem aż trzy filiżanki.

— Kieliszeczek winiaku?

— Tego się nie odmawia.

Barański usiłował zrobić jaki taki porządek na stole i oczyścić

tak jego część z papierzyšków, aby zmieściła się tam butelka winiaku, dwa kieliszki i porcelanowe naczynie ze słonymi paluszkami.

— Jestem strasznym bałaganiarzem — przyznał się szczerze.

— A już w czasie nieobecności żony staję się zupełnie bezradny. Dobrze, że pan pułkownik nie widział, co się dzieje w kuchni.

— Sam mieszkam w kawalerce i także nie mogę się pochwalić zbyt wielkim tam porządkiem.

Kiedy już winiak został nalany i panowie wymienili krótkie uwagi o tegorocznych anomaliach pogodowych, Barański zagaił:

— Trochę się domyślam, co pana pułkownika do mnie sprowadza. Na pewno jakieś sprawy związane z okupacją i obozami koncentracyjnymi. Jestem z zawodu historykiem i specjalizuję się w tych zagadnieniach. Obecnie przygotowuję pracę habilitacyjną „Hitlerowskie metody biologicznego wyniszczenia narodu polskiego”. Często różni ludzie i różne instytucje, przeważnie Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, zgłaszają się do mnie zarówno w domu, jak i w Zakładzie Historii Najnowszej PAN, gdzie pracuję. Przyznaję jednak, że po raz pierwszy mam wizytę przedstawiciela milicji. Wydawało mi się, że macie własnych specjalistów w tych sprawach.

— Szczerze mówiąc stosunkowo mało zajmujemy się tymi sprawami — przyznał Kaczanowski — procesy o zdradę narodu lub też procesy zbrodniarzy wojennych już się właściwie zakończyły. Tylko sporadycznie zdarza się zdemaskować jakiegoś ukrywającego się dotychczas przestępcę. I właśnie teraz zdarzył się taki rzadki przypadek. Zresztą dzięki panu doktorowi.

— Dzięki mnie? — szczerze zdziwił się Józef Barański.

— Dzięki pana książce „Przeżyłem piekło i Oświęcim”. Na podstawie fotografii zamieszczonej w tej książce został rozpoznany szef gestapo w Bradomsku?

— Richard Baumvogell?

— We własnej osobie.

— Gdzieście go ujęli?

— Rzecz w tym, że nie myśmy go ujęli, lecz on sam się do nas zgłosił. Po prostu nie miał już innego wyjścia, bo koledzy, z którymi razem pracował, rozpoznali go na tym zdjęciu. Zagrał na całość, jak to się teraz mówi, przyszedł do nas i zażądał, abyśmy mu wydali świadectwo, że to nie on figuruje na fotografii w pana książce.

— Co za tupet.

— Tylko jednego nie przewidział pan Stanisław Wróblewski, bo takich fałszywych papierów używa Baumvogell. Nowoczesne metody kryminalistyki pozwalają bez najmniejszych wątpliwości, nawet po czterdziestu latach, ustalić, czy dana osoba i fotografia to jeden i ten sam człowiek. Na tym właśnie nasz gestapowiec potknął się. Ekspertyza Zakładu Kryminalistyki wypadła dla niego bezlitośnie.

— On się ukrywał w Polsce?

— Tak. W Warszawie. Mieszkał o paręset metrów od domu pana doktora.

— Zadziwiające.

— Pan się stykał osobiście z Baumvogellem?

— „Stykał” to raczej za dużo powiedziane. Widziałem go kilkakrotnie w Bradomsku, jak jechał swoim samochodem. Później, kiedy już byłem w rękach gestapo, także widywałem go w gmachu, w którym mnie więziono.

— Przesłuchiwał pana?

— Zbyt małym byłem pionkiem, aby sam szef gestapo interesował się mną. Od tego byli inni oprawcy. Jak się zresztą orientuję, Baumvogell raczej bardzo rzadko zajmował się osobiście jakąś sprawą. To był raczej typ „mordercy zza biurka”. Opracowywał instrukcje, wydawał rozkazy, najwyżej sprawdzał, czy te zarządzenia zostały dokładnie wykonane. Zresztą tacy hitlerowcy byli najgroźniejsi.

— Co może pan o nim więcej powiedzieć? Jak i kiedy został pan ujęty przez gestapo? Znam wprawdzie pańską książkę, ale wolalibyśmy to jeszcze raz usłyszeć z ust jej autora.

— Może więc będzie najlepiej, jeżeli opowiem panu pułkownikowi część mojego życiorysu dotyczącą Bradomska i moich przymusowych kontaktów z tamtejszym gestapo.

— Ja też tak sądzę, panie doktorze. Pozwoli pan, że to nagramy na magnetofonie. Ponieważ i tak będzie pan później przesłuchiwany przez milicję i prokuratora oraz zapewne stanie pan w sądzie jako świadek w tej sprawie, taśma magnetofonowa ułatwi nam pracę.

— Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu.

— A zatem słucham.

— Zaczynając od początku, urodziłem się w rodzinie chłopskiej we wsi Gosławice pod Bradomskiem. W czasie okupacji, ponieważ miałem jeszcze dwóch braci i siostrę, żeby się uchronić od przymusowego wywiezienia do Niemiec na roboty, zacząłem pracować u Szcześniewskich.

— Jakiś zakład przemysłowy?

— Nie. Stary Szcześniewski jeszcze przed pierwszą wojną światową odkupił od bodaj hrabiego Platara, około dziewięćdziesięciu hektarów gruntów położonych tuż koło wsi Gosławice. Po śmierci męża, na tym folwarku gospodarowała żona wraz z pięciorgiem dzieci. Nie podzielono ziemi, tylko po śmierci matki miał ją przejąć najstarszy syn, Tadeusz. Młodsze rodzeństwo otrzymywało wyższe lub średnie wykształcenie i miało być spłacane przez Tadka. Pozycję społeczną starego Szcześniewskiego można więc było określić: już nie chłop, a jeszcze nie ziemianin. Nawet po śmierci głowy rodziny, ten folwark dobrze prosperował, miał wielorakie kultury i zwycięsko opierał się kryzysowi, jaki rolnictwo polskie przeżywało przed wybuchem drugiej wojny światowej. W czasie okupacji praca w takim mająteczku obłożonym obowiązkiem wysokich dostaw przymusowych w pewnym stopniu chroniła przed łapankami.

— Kiedy pan zaczął tam pracować?

— Na początku czterdziestego roku. Z chwilą, kiedy hitlerowcy nasilili akcję wywozu na roboty przymusowe.

— Bywał pan w Bradomsku?

— Oczywiście. Przecież tam Szcześniewscy musieli odstawiać zboże do elewatora.

— Widywał pan Baumvogella?

— Wiedziałem, że szefem gestapo jest jakiś renegat ze Śląska

mówiący dobrze po polsku, ale nie stykałem się z nim. Nawet wtedy nie znałem jego nazwiska.

— Jak pan trafił w ręce gestapo?

— Pod koniec czterdziestego roku, naturalnie tysiąc dziewięćset czterdziestego, w Bradomsku i w okolicznych wsiach zaczęły powstawać pierwsze organizacje konspiracyjne. Młodszy Szcześniewski, Zdzisiek, wciągnął mnie do takiej grupy. Najpierw były to różne działania samorzutne, potem, powoli następowała polaryzacja tych grup. Jedne nawiązały kontakt z Armią Krajową, inne z Batalionami Chłopskimi i „Rochem”, wreszcie jeszcze inne z Gwardią Ludową, a później z Armią Ludową. Szczerze mówiąc wtedy było to dopiero ząbkowanie konspiracji, o trafieniu do takiej czy innej organizacji decydował najczęściej przypadek i osobiste znajomości. Co do naszego oddziału, Szcześniewski, czy też ktoś inny, nawiązał kontakt z obwodem piotrkowskim AK.

— Nastąpiła wsypa?

— O prawdziwej konspiracji mieliśmy wtedy raczej bardzo mgliste pojęcie. Aż dziw, że to wszystko nie skończyło się poważniejszymi aresztowaniami. Jedynie ja wpadłem i to najgłupiej, jak tylko można sobie wyobrazić. Po prostu pojechałem do Piotrkowa po „gazetki”. Dostałem sześć czy też siedem sztuk i wracałem do domu. Do Gosławic z Bradomska można było iść szosą na Przedbórz i skrócić na drogę prowadzącą do naszej wsi albo na skróty polną ścieżką, którą się wychodziło wprost na dom Szcześniewskich położony na samym skraju osiedla. Naturalnie wybrałem krótszą i bezpieczniejszą drogę.

— I wpadłem — odpowiedział podpułkownik.

— Jak najgłupszy osioł. Do najbliższych zabudowań było najwyżej dwieście metrów. Szedłem nie rozglądając się i zatrzymałem się dopiero wtedy, kiedy wlałem, dosłownie wlałem na dwóch żandarmów. Na pewno nie polowali na mnie, ale czatowali, czy czasem ktoś ze wsi nie niesie do Bradomska jakiejś żywności. A że konspirator był ze mnie jak... trąba i tych kilku gazetek nie schowałem choćby za pazuchę, gdzie by ich może nie wymacali, trzymałem je najprościej w

świecie w kieszeni marynarki, skąd je od razu jeden z hitlerowców wyłowił. Był aż tak bardzo zdziwiony, że nawet po gębie nie dostałem, co przyznaję szczerze, należało mi się za moją głupotę. Z polowania na żywność żandarmi musieli zrezygnować i pognali mnie z powrotem do Bradomska. Prosto do gestapo. Tam odpowiedni fachowcy wzięli mnie w obroty. Koniecznie chcieli się dowiedzieć, dla kogo niosłem te gazetki i od kogo je otrzymałem. Jeśli chodzi o ten drugi przypadek to mówiłem prawdę, że prasę otrzymałem od jakiejś nie znanej mi dziewczyny, która miała mnie oczekiwać na ławce w parku. Moim znakiem rozpoznawczym był goździk, trzymany w ręku. Podała mi małe zawiniątko papieru i szybko odeszła. Tyle ją widziałem. Ale naturalnie gestapowcy nie wierzyli i przez dwa tygodnie dręczyli mnie tak, że jeszcze dzisiaj trudno mi o tym spokojnie mówić.

— Wtedy pan widywał Baumvogella?

— Tak. W dniach kiedy mnie nie bito, kazano mi myć podłogi na korytarzach dawnego gimnazjum zamienionego na siedzibę gestapo. Zdarzało się więc, że Baumvogell przechodził blisko mnie.

— Taki, jaki jest na pańskiej fotografii?

— Nie. Nigdy go nie widziałem w mundurze. Zawsze nosił cywilne ubrania.

— Mnie chodzi o wygląd twarzy.

— Bardzo łatwy do rozpoznania przez tę czerwoną bliznę na twarzy. Mówili, że w czasie wojny kulka musnęła go w bitwie pod Częstochową. Szkoda, że nie dwa cale bardziej w lewo. Nie uszedłby wtedy chyba z życiem.

— To nie rana od kuli, to takie znamię, jakie człowiek czasami przynosi ze sobą na świat, już w chwili urodzenia.

— Może i znamię. Nie mogłem mu się wtedy przyglądać. Nie było to zbyt bezpieczne. Baumvogella wszyscy, nawet jego podwładni, bali się bardziej niż ognia. Nie miał litości dla Polaków, ale i swoim nie przepuszczał. Za najmniejsze uchybienie, na front.

— Aresztowano pana w 1941 roku?

— Tak, w lipcu. W parę tygodni po napadzie Hitlera na

Związek Radziecki.

— Cały czas pan siedział w więzieniu gestapo w Bradomsku?

— Nie. Po dwóch tygodniach gestapo w Piotrkowie upomniało się o mnie. Koniecznie chcieli się dowiedzieć, od kogo dostałem te gazetki. Tam mi dano taką szkołę, że chwilami wspominałem pobyt w bradomskim więzieniu jak prawdziwy odpoczynek. Wreszcie moi oprawcy czy to się zmęczyli, czy też doszli do przekonania, że nic ze mnie nie wycisną i z połamanymi żebrami, wybitymi zębami i wyłamanymi w stawach rękoma odesłali mnie do Oświęcimia. Mimo wszystko przeżyłem.

— A ta fotografia z pańskiej książki?

— Kiedy pisałem swoje pamiętniki, zbierałem różne materiały. W Muzeum Oświęcimskim, w Głównym Biurze Historycznym Wojska Polskiego i w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Właśnie w Głównej Komisji, przeglądając w archiwum zbiory fotografii „nie rozpoznanych”, znalazłem ku swojemu zdumieniu zdjęcie Baumvogella.

— Poznał go pan od razu?

— Twarz tego gestapowca wydała mi się znajoma. A kiedy odwróciłem fotografię, na drugiej stronie znalazłem napis „Richard Baumvogell, kat Bradomska”. W mojej książce nie zmieniłem tego podpisu. Naturalnie, kiedy bliżej przyjrzałem się fotografii, przypomniałem sobie „mojego” szefa gestapo. Bez napisu może bym go i nie poznał, bo nie zwróciłem uwagi na tę bliznę. Przecież zarówno w czasie mojego pobytu w więzieniach, jak później w Oświęcimiu i w czasie ewakuacji obozu widziałem setki i tysiące tych panów z trupimi główkami na czapkach. A poza tym od ostatniego dnia, kiedy widziałem Baumvogella, upłynęło trzydzieści dziewięć lat. Czas zaciera obrazy pamięci.

— To był młody człowiek?

— Jak na swoje stanowisko, bardzo młody. Ja miałem wtedy dziewiętnaście lat a on, już w randze Hauptsturmführera, był najwyżej pięć lat ode mnie starszy. Podobno skończył specjalną szkołę dla gestapowców i pracując w Sicherheidienst wpadł w oko jej szefowi, Heydrichowi, który później holował swojego

pupila. Stąd błyskawiczna kariera i szybkie przeskakiwanie stopni oficerskich.

— Zna pan dalsze losy Richarda Baumvogella?

— Trochę o nich słyszałem po wojnie od znajomych i przyjaciół z Bradomska. Po zamachu na Richarda Heydricha, w Pradze, w dniu dwudziestego siódmego maja 1942 roku, Baumvogell stracił możnego protektora. A wrogów mu przecież nigdy nie brakowało. Toteż utrzymał się na stanowisku szefa gestapo w Bradomsku jeszcze przez niecały rok. Potem zwykłą koleją rzeczy wcielono go do jakiejś dywizji SS i wysłano na front wschodni. Podobno zginął, czy też zaginął bez wieści w wielkiej bitwie na Łuku Kurskim, w lipcu 1943 roku. Rzekomo tak o nim mówili pracownicy gestapo w Bradomsku. Faktem jednak jest, że po styczniu 1943 roku nikt Baumvogella nigdy w Bradomsku nie widział.

— Ciekawa jest zbieżność pewnych dat — zauważył podpułkownik.

— Nie rozumiem?

— Przepraszam. Nie zna pan zeznań, a właściwie opowieści Baumvogella. Otóż twierdzi on, że nazywa się Stanisław Wróblewski. Pochodzi rzekomo z małej wsi pod Nieświeżem. Tę wieś hitlerowcy spacyfikowali tak skutecznie, że ani jeden człowiek nie ocalał z wyjątkiem niego. Ojciec miał go wysłać rankiem do lasu i dzięki temu młody człowiek uszedł z życiem. Później chłopak miał się przez pewien czas tulać po sąsiednich wioskach, aby w końcu wyruszyć ma piechotę do Lublina, do jakiegoś swojego krewnego. Ta podróż trwała prawie rok i skończyła się trafieniem do oddziału partyzanckiego w okolicach Parczewa. Tam nasz rzekomy Wróblewski dowiedział się, że krewniaka już nie ma w Lublinie i został w tym oddziale. Z kolei podobno brał udział w walkach w Lasach Janowskich i po rozbiciu przez hitlerowców tamtejszego zgrupowania AK, ocalał ukrywając się w bagnach. A po wyzwoleniu Lublina natychmiast zgłosił się do Wojska Polskiego. Sęk jednak w tym, że sam Baumvogell vel Wróblewski stwierdza, że nikt nie może poświadczyć jego pobytu w partyzantce.

— Sprytna bajeczka — zgodził się Barański — daty dziwnie się

zgadzają. Może zresztą jest w niej trochę prawdy.

— Jakiej?

— Hitlerowcy nieraz usiłowali przemycić do oddziałów partyzanckich swoich ludzi. Baumvogell, znający przecież doskonale język polski, mógł być taką właśnie wtyczką.

— To racja.

— Potem — ciągnął dalej doktor — po klęsce AK nasz partyzant mógł dostać nowy rozkaz przeniknięcia do regularnych oddziałów Wojska Polskiego, aby tam nadal pełnić misję szpiegowską.

— Ciekawa historia.

— Historie wywiadów wojskowych znają setki takich przypadków po obu stronach frontu.

— Tylko że nasz klient nie wahał się nadstawić karku. Był dwukrotnie ranny. Otrzymał aż dwa Krzyże Walecznych i odznaczono go orderem Virtuti Militari. Czy szpieg aż tak by się narażał? Jako oficer milicji muszę badać wszystkie aspekty tej dziwnej sprawy.

— To także da się łatwo wytłumaczyć. Szpieg hitlerowski, czy po prostu dezerterski z dywizji SS, w pewnym momencie doszedł do przekonania, że „Hitler kaput” i postanowił szukać bezpiecznego schronienia w Polsce. Dezerterski przecież groziła w Hitlerii śmierć przez powieszenie. W Gdańsku hitlerowcy niemal każde drzewo alei łączącej Gdańsk z Oliwą ozdobili takimi owocami. Jeszcze długo po wojnie ludność nazywała tę ulicę po prostu Aleją Wisielców. Zapewne Baumvogell bezpieczniej czuł się w Wojsku Polskim niż wśród swoich rodaków. Aby (to bezpieczeństwo jeszcze utwierdzić, musiał się odznaczyć w walkach. Ja tam nie wierzę w cudowne nawrócenie renegatów. A takim renegatem był przecież Baumvogell, którego ojciec był śląskim górnikiem, a matka rodowitą Polką z Sosnowca.

— Widzę jednak, że pan dość dużo wie o moim podopiecznym.

— Kiedy tak rozmawiamy, człowiek sobie dopiero sporo przypomina z dawnych czasów pobytu w gestapowskiej piwnicy. Gdyby nie ta rozmowa, w ogóle bym tych szczegółów

nigdy nikomu nie powiedział. Przecież zarówno w swoich pracach naukowych, jak i we wspomnieniach nie zajmowałem się osobą Baumvogella. Napomykam o nim, marginesowo, raz czy dwa razy na kartach ostatniej książki.

— A fotografia?

— Także trafiła do książki raczej przypadkiem. Po prostu niczego innego z terenu Bradomska nie udało mi się znaleźć, a to zdjęcie było duże i doskonale nadawało się do reprodukcji.

— Co się dzieje z oryginałem?

— Wypożyczyłem nie bez pewnych trudności zdjęcie z Głównej Komisji i po zrobieniu odbitki z odbitki zwróciłem tam oryginał.

— Oni mają jakieś inne materiały dotyczące Baumvogella?

— Nie wiem. Nie sprawdzałem. Nie interesowałem się specjalnie tym panem.

— Zna pan jakieś jego wyczyny?

— Raczej nie. Nie mieszkałem w samym Bradomsku, ale na wsi. Słyszałem jednak, że Baumvogell osobiście wyszukał miejsce nad Wartą, gdzie hitlerowcy dokonywali egzekucji na więźniach.

— Brał udział w tych egzekucjach?

— Tego nie wiem. Aresztowano mnie w lipcu 1941 roku. Wtedy terror hitlerowski dopiero się nasilał. Dopiero po wojnie opowiadano mi o zagładzie Żydów z Bradomska. Najpierw ich pognano do Piotrkowa, gdzie utworzone zostało getto. W Bradomsku pozostali wyłącznie fachowcy pracujący w tamtejszych fabrykach mebli. Później, już w 1942 roku, Baumvogell pewnego dnia tych Żydów spędził na teren jednej ze szkół i po kilkunastu godzinach popędzono ich na żydowski cmentarz znajdujący się za miastem, przy szosie w stronę Wielgomłynów. Na tym cmentarzu wszystkich, przeszło trzysta osób rozstrzelano. Podobno sam Baumvogell uczestniczył w tej masakrze. Nie strzelał, ale pilnował, aby akcja przebiegała sprawnie i w porządku. Podczas mojego pobytu w gestapo rozstrzelano w Bradomsku kilka osób. Nie wiem, za co zostali zatrzymani, ale nie byli to polityczni, lecz chłopci, którzy nie wywiązali się z obowiązkowych dostaw i ludzie złapani na

handlu żywnością, czy na nielegalnym uboju. W tych egzekucjach, a były to chyba pierwsze tak krwawe represje na cywilnej ludności, Baumvogell osobiście nie brał udziału, ale to on wydawał te wyroki. Z urzędu był przewodniczącym nadzwyczajnego sądu SS. Lista zbrodni tego człowieka jest na pewno bardzo długa. Jak zresztą każdego gestapowca.

— Nie próbowano dokonać na niego zamachu?

— Nie wiem. Za czasów mojej konspiracji nie słyszałem o takich próbach. W tym stanie organizacyjnym tego rodzaju wyczyn był chyba nawet niemożliwy. Dopiero zaczynaliśmy się uczyć podziemnej walki z wrogiem. Stąd choćby i moja bezsensowna wpadka.

— Rozumiem. Będę się musiał wybrać do Bradomska.

— Tam na pewno znajdzie pan wielu świadków. Żyją przecież jeszcze ludzie, którzy w czasie okupacji pracowali w Zarządzie Miejskim i w tamtejszym przemyśle, który znajdował się pod szczególną opieką szefa gestapo. Bez trudu znajdzie pan także i takich, którzy znali Baumvogella osobiście i z racji swoich zajęć musieli się z nim często stykać.

— Pańska rodzina jeszcze mieszka w Gosławicach?

— Tak. Najmłodszy brat gospodaruje na rodzinnej ziemi. On na pewno będzie mógł dużo więcej powiedzieć o Baumvogellu niż ja. Jakoś się przechował na wsi przez cały czas okupacji. Zresztą, to co panu powiedziałem o szefie gestapo, to także pochodzi w ogromnej większości ze wspomnień brata.

— Na zdjęciu prócz Richarda Baumvogella figurują jeszcze dwaj gestapowcy. Czy pan ich rozpoznał?

— Szczerze mówiąc nie przyglądałem się im. Ale zaraz to zrobię. Mam przecież nie tylko moją książkę, ale znacznie lepszą od tamtej odbitkę fotografii skopiowaną z oryginału.

Józef Barański rozpoczął poszukiwania zdjęcia. W panującym w jego gabinecie bałaganie nie było to łatwe zadanie. W końcu jednak zdjęcie odnalazło się w jednej z licznych teczek z wycinkami i notatkami historyka. Doktor długo się przyglądał trzymanej w ręku fotografii. Wreszcie odłożył ją na stół.

— Im dłużej się przyglądam — stwierdził — twarze wydają mi się znajome. Ale nie mogę powiedzieć, że tych ludzi

przypominam sobie z więzienia w gestapo, w Bradomsku.

— Nosili takie pejcze?

— Mnie po prostu bili kawałkiem kabla.

— A ten gabinet?

— Nie składałem wizyt panu Baumvogellowi i nie bawiłem w jego gabinecie. Mnie przesłuchiwali na pewno inni ludzie, niż ci na zdjęciu. I w innym pomieszczeniu. Zwykłym, biurowym pokoju, gdzie stały stoły i nie było foteli a tylko krzesła. Na dole, w piwnicy było jedno pomieszczenie, gdzie nas brano na specjalne przesłuchanie. Puszczano wtedy muzykę z płyt albo nastawiano bardzo głośno radio, aby zagłuszyć krzyki torturowanych. Po odpowiedniej porcji bicia albo innych męczarni, wleczono przesłuchiwanego na górę na dalszy ciąg przesłuchania. Niejednokrotnie odbywałem takie wędrówki trzy albo i cztery razy aż do zemdlenia. Wtedy wrzucano mnie z powrotem do mojej celi.

— Dużo ludzi pracowało w gestapo w Bradomsku?

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Kiedy mnie używano do mycia podłóg czy też do zamiatania podwórka, widziałem sporo kręcących się esesmanów. Czy jednak byli to pracownicy tej placówki, czy też przybyli z innych posterunków, nie wiem? Sądzę jednak, że stałych pracowników było gdzieś od dwudziestu do trzydziestu, nie licząc kompanii wartowniczej, używanej do różnych celów. Ta kompania stacjonowała zresztą na parterze, jej ludzie obejmowali warty w samym gmachu i innych pomieszczeniach na mieście oraz w ogóle utrzymywała porządek w okupowanym powiecie.

— Nie uniknie pan, doktorze — podpułkownik zbierał się do wyjścia — przesłuchania u nas w Pałacu Mostowskich i zapewne także u prokuratora. Sądzę również, że zostanie pan powołany na świadka w procesie Baumvogella.

— Proces odbędzie się przed sądem warszawskim?

— To jeszcze nie jest pewne. Ale zanoszą się na to, że całe śledztwo będzie prowadzić nasza Prokuratura Stołeczna i my z Komendy Miejskiej. Zapewnie więc i sąd będzie warszawski. Tutaj Baumvogell został ujęty. W Bradomsku nie ma Sądu Wojewódzkiego, a czy prowadzić rozprawę w Piotrkowie, czy w

Warszawie to już właściwie wszystko jedno. Ze względów technicznych dużo lepsza jest stolica.

— Wyobrażam sobie, jakie ten proces wzbudzi zainteresowanie. O karty wstępu ludzie będą staczali prawdziwe walki.

— Pan ma wstęp zapewniony — roześmiał się Kaczanowski — jako świadek.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

— Jeszcze jedno — dodał oficer milicji — sądzę, że zrobimy za kilka dni konfrontację pana z tym człowiekiem. Ciekawy jestem, czy pan go pozna?

— Przyznaję, że chętnie zobaczę Baumvogella. Takie spotkanie w innej niż ostatnie z nim scenerii, ja bez miotły i już nie wyprężony na baczność, nie śmiejący nawet odetchnąć, da mi dużą satysfakcję.

— Nie panu jednemu, doktorze. A więc do zobaczenia u nas, w Pałacu Mostowskich.

V

Śledztwo postępuje naprzód

Przez najbliższe dni podpułkownik Janusz Kaczanowski nie miał czasu zajmować się ujętym gestapowcem, Richardem Baumvogellem. Po prostu inne, przed tym rozpoczęte sprawy, wymagały, aby oficer milicji zajął się nimi bez reszty. A Kaczanowski był zbyt ambitny, żeby prosić zwierzchnika o pomoc lub o przejęcie tych spraw przez innych pracowników aparatu. Za to prokurator Władysław Szczypiorski prawie codziennie przesłuchiwał podejrzanego.

Richard Baumvogell po przesiedzeniu kilku dni w areszcie, w pewnym stopniu zmienił taktykę swojej obrony. Już nie milczał. Przeciwnie, składał wyczerpujące, nawet rozwlekłe zeznania. Nie przyznawał się, że jest byłym szefem gestapo w Bradomsku i nadal utrzymywał, że pochodzi z powiatu nieświeżskiego, nosi nazwisko Stanisław Wróblewski, ale szczegółowo opowiadał swój życiorys. Wymieniał wsie okalające Brzeźnicę, gdzie się rzekomo urodził i gdzie mieszkał aż do tragicznych wydarzeń z siedemnastego maja 1942 roku. Opowiadał, w jakich to wsiach mieszkał, nawet podawał nazwiska niektórych chłopów, udzielających mu wówczas schronienia. Swoją marszrutę do Lublina, a właściwie do Parczewa, wykreślił na pokazanych mu mapach.

Jeśli chodzi o swój udział w oddziale partyzanckim „Rysia”, to tutaj także podejrzanym nie szczędził najrozmaitszych szczegółów z życia tego oddziału, z potyczek, w których uczestniczył i wreszcie opisał, w jaki sposób i gdzie poległ dowódca tego zgrupowania, porucznik „Ryś”. Również koncentracja różnych ugrupowań partyzanckich w Janowskich Lasach i późniejsze walki o przebicie się przez pierścień wojsk hitlerowskich były najzupełniej wiarygodne i zgodne z tym, co zostało ustalone przez historyków. Tylko, że te wiadomości są łatwo dostępne w najrozmaitszych opracowaniach będących do nabycia w księgarniach czy też do przeczytania w bibliotekach

publicznych. Literatura fachowa, lub choćby tylko wspomnieniowa, dotycząca przebiegu walk partyzanckich na ziemiach polskich, jest dość bogata. Człowiek, który sobie zaplanował taki życiorys, mógł go łatwo sporządzić na podstawie tych źródeł.

Na poparcie swoich zeznań Richard Baumvogell nie miał żadnych innych dowodów, poza własnymi słowami. Wymieniał najrozmaitsze pseudonimy, ale ani jednego nazwiska. Rzekomo ich nie znał. Sam w swoich opowiadaniach przyznawał, że ogromna większość tych ludzi poległa lub zaginęła bez wieści podczas tragedii AK w Janowskich Lasach.

Prokurator sporządzał sążniste protokoły z tych zeznań. Przyjmował do wiadomości prośby przesłuchiwanego, aby jego zeznania jak najbardziej szczegółowo sprawdzać, lecz z góry zdawał sobie sprawę z tego, że śledztwo czeka bardzo trudne zadanie. A przecież trzeba będzie wykonać tę robotę. Oskarżony może się tłumaczyć jak chce, ale to właśnie prokurator i milicja musi dowieść, że te opowiadania są pozbawione cienia prawdy albo nie kolidują z zasadniczym punktem zarzutów. Zaś główny zarzut brzmiał, że człowiek podający się za Stanisława Wróblewskiego w rzeczywistości nazywa się Richard Baumvogell i w latach 1940–1943 był szefem gestapo w Bradomsku.

Natomiast dalsze opowiadania podejrzanego były prawdziwe i łatwo sprawdzalne. Rzeczywiście zgłosił się do Wojska Polskiego w Lublinie. Na ochotnika. W szeregach Pierwszej Armii odbył szlak bojowy od Warszawy aż do Kamienia Pomorskiego. Wykazał się szczególną odwagą i bohaterstwem. W Warszawie, na Płycie Czerniakowskiej walczył w małej grupce osłaniającej odwrót przez Wisłę. Pomimo rany ostrzeliwał się aż do momentu, kiedy ostatnie pontony odbiły od brzegu. Potem, przepływając Wisłę, dołączył na praskim brzegu do swoich. Po dwutygodniowym pobycie w szpitalu, wrócił do jednostki z ledwie zaleconą raną. Krzyż Walecznych i awans na kaprała słusznie mu się należały.

Następne odznaczenie ten człowiek otrzymał w bitwie o przełamanie Wału Pomorskiego. Tutaj zuchwale podkradł się

pod bunkier hitlerowski i wysadził go w powietrze. Ogłuszony i znowu ranny po prostu uciekł ze szpitala. W Kamieniu Pomorskim pomimo wysadzenia przez hitlerowców browaru nad brzegiem zalewu, bronił tej pozycji po wygrzebaniu się spod ruin aż do nadejścia odsieczy, czym uniemożliwił w dużej mierze odbicie tego miasta przez Niemców. A była to w tym czasie pozycja ryglowa o zasadniczym znaczeniu dla przyszłych walk o zdobycie Szczecina i przeprawy przez Odrę.

Tym razem rany okazały się bardzo ciężkie. Koniec wojny zastał Baumvogella vel Wróblewskiego w szpitalu. Tam też odznaczono go *Virtuti Militari*. Po wyjściu z lecznicy i rozstaniu się z mundurem, były żołnierz osiadł w Białogardzie, w województwie szczecińskim. Pracował w Wydziale Finansowym Miejskiej Rady Narodowej i jednocześnie uzupełniał swoje wykształcenie. W tym momencie życiorysu prokurator znowu miał pewne wątpliwości. Ten rzekomy chłopski syn z Białorusi, który we wsi Brzeźnica ukończył zaledwie cztery klasy szkoły powszechnej, teraz dziwnie łatwo dawał sobie radę z nauką. Tak łatwo, jakby to robił znający język polski esesman po ukończeniu niemieckiej szkoły średniej i szkoły oficerskiej. Z klasy do klasy pracownik Wydziału Finansowego przesuwany był co pół roku i to na najwyższych notach. Maturę zdobył zaledwie w trzy lata po rozpoczęciu nauki. Również jako jeden z najlepszych zdał bardzo trudny, konkursowy egzamin na Politechnikę Gdańską. Były żołnierz z wysokimi odznaczeniami bojowymi otrzymał stypendium i miejsce w Akademiku. Na studiach już mu tak dobrze nie szło, ale ukończył je w terminie ze stosunkowo niezłym wynikiem. Wtedy po raz trzeci zmienia miejsce zamieszkania. Żeni się z warszawianką, którą poznał w czasie wakacji w Sopocie i przeprowadza do żony, do stolicy.

Następne lata są bez żadnych tajemnic i problemów. Szczebel po szczebelku awansuje w Biurze Projektów. Zarabia coraz lepiej. Dorabia się mieszkania M-4 i dwojga dzieci. Życie płynie mu bez większych zgrzytów, wzlotów czy upadków. Jest dobrym mężem i ojcem. Tę sielankę przerywa nagły cios. W księgarniach ukazują się wspomnienia Józefa Barańskiego

„Przeżyłem piekło i Oświęcim” wraz z fotografią, na której podwładni poznają swojego szefa w zupełnie innej roli niż oficjalna wersja jego życiorysu.

A teraz reszta należy do prokuratora i do sądu. Ma on wnikliwie, bez emocji, ale sprawiedliwie ocenić życie i postęпки tego człowieka.

„Nie jestem Richardem Baumvogellem, nazywam się Stanisław Wróblewski. Nigdy nie byłem szefem gestapo w Bradomsku. Nigdy w ogóle nie byłem w tym mieście” — takimi słowami przesłuchiwany kończył zawsze rozmowę z prokuratorem. Te słowa polecał wypisywać na zakończenie każdego kolejnego protokołu.

Na próżno wytrawny prawnik, jakim był Władysław Szczypiorski, tłumaczył przesłuchiwanemu, że upieranie się przy swojej naiwnej i niesprawdzalnej wersji tylko pogarsza sytuację podejrzanego. Szczere wyznanie prawdy mogło jedynie wpłynąć na mniejszy wyrok. Karząc za bardzo ciężkie przecież zbrodnie, sąd musiałby jednocześnie uwzględnić i czynną skruchę oskarżonego, który własną krwią i własnym bohaterstwem pragnął zmasać swoje winy. Zaprzeczanie wszystkiemu, wbrew bezspornemu dokumentowi, ekspertyzy Zakładu Kryminalistyki, automatycznie pozbawia przyszłego oskarżonego wszelkich okoliczności łagodzących.

Prokurator poszedł aż tak daleko w swoich rozmowach z przesłuchiwanym, że zapewnił go, iż o ile podejrzany złoży szczerze i obszerne zeznania, on — Szczypiorski, nie będzie w sądzie żądał ani wyroku śmierci, ani nawet dwudziestu pięciu lat więzienia. Orzeczenie o wysokości kary pozostawi całkowicie do uznania sądu.

Na te wywody, podyktowane prokuratorowi zwykłą ludzką życzliwością i wczuwaniem się w sytuację człowieka o tak rozdwojonym, całkowicie sobie przeciwstawnym życiorysie, przesłuchiwany odpowiadał niezmiennie.

— Gdybym był, panie prokuratorze, Richardem Baumvogellem, umiałbym docenić pańską szlachetność i z niej skorzystać. Ponieważ jednak jestem Stanisławem Wróblewskim, nie mogę się przyznać do nie popełnionych grzechów.

W tej sytuacji prokuratorowi Szczypiorskiemu nie pozostawało nic innego, jak dalej prowadzić śledztwo i wykazać, że oskarżony kłamie. Oskarżenie nie wykluczało także, że Baumvogell dostał się do partyzantki i później do Pierwszej Armii jako szpieg hitlerowski, skierowany tam przez gestapo. Wiele bowiem oznak wskazywało na to, że hitlerowcy byli zbyt dobrze poinformowani o ruchach i siłach oddziałów partyzanckich, aby to miało być tylko przypadkiem.

W końcu podpułkownik Janusz Kaczanowski uporał się z co najpilniejszymi sprawami i mógł ku zadowoleniu prokuratora znowu się włączyć w śledztwo przeciwko Baumvogellowi. Pierwszym krokiem oficera milicji była wizyta w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Kiedy Kaczanowski dotarł do odpowiedniego pracownika opiekującego się zbiorem fotograficznym i poprosił o zdjęcie Richarda Baumvogella, archiwista bez wahania sięgnął do leżącej na biurku teczki i podał leżące na samym wierzchu zdjęcie.

— Ten zbrodniarz wojenny z Bradomska stał się teraz, jak widzę, bardzo modny. Pan pułkownik jest czwartą czy piątą osobą, która pyta o to zdjęcie.

— Co pan powie? — szczerze zdziwił się Kaczanowski.

— Najpierw zgłosił się do nas pan doktor Barański. Ale to już dawno. Przed rokiem, nawet chyba przed dwoma laty. Sam je zresztą wyszukał i wypożyczył na kilka dni. A teraz przed czterema dniami oglądał zdjęcie jakiś adwokat. Zapomniałem jego nazwiska.

— Taki gruby, siwy, o okrągłej twarzy? — podpowiedział podpułkownik.

— Tak jest. Doskonale pan go opisał.

— Mecenas Mieczysław Ruszyński — Kaczanowski wymienił to nazwisko niezbyt życzliwym głosem.

— Właśnie, właśnie, mecenas Ruszyński. Jaki to miły i dowcipny człowiek. Gawędziliśmy z nim przeszło dwie godziny.

— Bardzo miły — przytaknął oficer milicji takim głosem, jak gdyby gryzł kamienie.

— A potem — ciągnął nadal pogodnie archiwista — prawie

codziennie zgłaszali się do nas dziennikarze. Także oglądali tę odbitkę i nawet ją fotografowali.

— Co pan powie? — Janusz z trudem taił ogarniającą go wściekłość. Dla niego wszystko stało się jasne. Kochany Miecio „z wdzięczności” za obdarzenie go „urzędówką” Baumvogella, nasłał teraz na swojego „przyjaciela” dziennikarzy. Tylko patrzeć, jak cała ich hurma zacznie oblegać zarówno Pałac Mostowskich, jak i prokuraturę.

Podpułkownik oglądał podane mu zdjęcie. Prawie niczym się ono nie różniło od odbitki oglądanej w mieszkaniu doktora Józefa Barańskiego. Na odwrocie fotografii ktoś napisał zwykłym ołówkiem „Richard Baumvogell, kat Bradomska?”

— Kto umieścił ten napis na odwrocie?

— Nie wiem — wyjaśnił urzędnik. — Kiedy to zdjęcie odszukał i wybrał pan doktor Barański, już to tak było.

— A tego znaku zapytania nie postawił mecenas Ruszyński?

— Co też pan mówi, pułkowniku! — oburzył się archiwista. — Dlaczego miałby to robić? Wprost przeciwnie, pan mecenas ostrzegł mnie, abym uważał na tych wszystkich, którzy po nim będą oglądali tę fotografię, żeby ten znak zapytania przypadkiem nie znikł. To też uważałem. Żadnemu dziennikarzowi nie pozwoliłem wziąć tej fotki do ręki. Musiała leżeć tu, na moim stole. Owszem fotografować mogli, oglądać także mogli, ale z daleka. Co innego pan pułkownik. Pan jest z milicji. Człowiek urzędowy, godny zaufania, jak i mecenas Ruszyński.

To porównanie pocziwego archiwisty nie wzbudziło entuzjazmu Kaczanowskiego.

— Przyślę tu naszego specjalistę, zrobi odbitki tego zdjęcia. Zarówno jednej, jak i drugiej strony. Jutro zgłosi się do pana. A na razie proszę tej fotografii nikomu nie pokazywać bez pozwolenia milicji. To ważny dokument. Być może, pan prokurator zażąda oficjalnego przekazania mu tej fotografii.

— Jeżeli będzie zgoda przewodniczącego, to nie widzę przeszkód. Zdjęcie w ogóle nie miało przydziału. Leżało całe dziesiątki lat wśród innych nie rozpoznanych. Mamy tysiące takich dokumentów. Są to przeważnie fotografie znalezione

przy poległych hitlerowcach, w okopach lub w porzuconych budynkach. Wiele z nich udało się zidentyfikować. Wielu chyba nigdy nie rozszyfrujemy.

— Ale to zdjęcie Richarda Baumvogella przecież zostało odczytane. Dlaczego nie trafiło do odpowiedniego dossier? Chyba taka osobistość jak znany zbrodniarz wojenny, szef gestapo, ma u was swoją teczkę.

— Miał. A nawet i ma w dziale spraw zakończonych. Sam to sprawdzałem po wizycie u nas mecenasa Ruszyńskiego, który mi powiedział, że aresztowaliście kogoś, kogo posądzacie, że jest tym gestapowcem. Zaraz po wojnie rząd polski starając się o wydanie Polsce zbrodniarzy wojennych, na tej liście umieścił także Richarda Baumvogella. Amerykańskie władze okupacyjne odpowiedziały nam jednak, że Baumvogell poległ pod Kurskiem w 1943 roku. Później jeszcze raz zwracano się do odpowiednich biur Niemieckiej Republiki Demokratycznej, czy one wiedzą coś bliższego o tym przestępcy wojennym. W Berlinie przecież ocalało wiele archiwów hitlerowskich. Ale i z NRD przyszła odpowiedź, że Baumvogell nie żyje. W końcu przestaliśmy się zajmować jego osobą, zaś akta powędrowały do „spraw załatwionych”.

— Pan mecenas Ruszyński interesował się aktami Baumvogella?

— Tak. Prosił, aby mu udostępnić tę teczkę i wziął od nas kserograficzne odbitki pisma Amerykanów i późniejszego, tego z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Czy pan pułkownik także chciałby obejrzeć te dokumenty? Może również zrobić panu odbitkę?

— Nie, dziękuję. Wystarczy, że mecenas Ruszyński je ma.

Po powrocie do Pałacu Mostowskich, Kaczanowski znalazł na swoim biurku krótką notatkę sporządzoną ręką sekretarki, panny Krysi: „Pułkownik Niemiroch prosi o skontaktowanie się z nim”. Oficer milicji udał się do szefa.

— Było tu paru dziennikarzy — objaśniał naczelnik —• chcieli się koniecznie z tobą zobaczyć, a że cię nie zastali, trafili w końcu do mnie.

— Wiem. Chodziło im o Baumvogella.

— Właśnie. Chcieli się dowiedzieć czegoś o tym szefie gestapo w Bradomsku. Czy to na pewno on został zatrzymany i w jaki sposób to się stało? Mordowali mnie przez prawie godzinę. Co ciekawsze, prasa ma już zdjęcie Baumvogella. Skąd oni je wytrzasnęli?

— Z Głównej Komisji. Właśnie stamtąd wracam, dziennikarze byli tam parę dni przede mną. Porobili kopie jedynej fotografii gestapowca. Tej samej, z której korzystał Józef Barański, pisząc swoje wspomnienia.

— Skąd oni to wszystko wyniuchali?

— Jak to skąd? Twój kochany przyjaciel Ruszyński ich napuścił. Jedyne po to, żeby mi zrobić na złość. W tej fazie śledztwa prasa nam w niczym nie może pomóc, zaś robienie sensacji tylko utrudni mi pracę. Ruszyński doskonale o tym wiedział i dlatego „sprzedał” posiadane informacje reporterom sądowym, kręcącym się koło pokoju adwokackiego w gmachu sądów.

— O ile sobie przypominam, Januszk, to tylko dzięki twoim usilnym staraniom mecenas Ruszyński został mianowany obrońcą z urzędu Baumvogella.

— Ale nie po to, aby mi utrudniał śledztwo. Spławiłeś tych pismaków?

— Myślisz, że tak łatwo można ich się pozbyć? Zawarliśmy z panami redaktorami pewien kompromis. Zgodziliśmy się wspólnie, że w tym momencie opublikują jedynie wiadomość, że w Warszawie zatrzymano pewną osobę, którą się podejrzewa, iż jest byłym szefem gestapo w Bradomsku. Śledztwo jest w toku i sprawa powinna być wkrótce wyjaśniona. Ustaliliśmy również, że prasa jeśli zechce, może opublikować- zdjęcie Baumvogella. A w miarę postępów dochodzenia, wszelkich informacji w tej sprawie udzielać będzie dziennikarzom podpułkownik Kaczanowski. Naturalnie w ścisłym porozumieniu z prokuratorem.

— Toś mnie nielicho wrobił. Teraz już się nie opędzę od tej hałastry. Wyobrażam sobie, jak ten drań się ucieszy, kiedy mu dziennikarze opowiedzą o twoim z nimi „genialnym” kompromisie. Z radości na pewno jeszcze dzisiaj poleci do

„Szanghaju”.

— A ciebie tam nie będzie?

— Jeszcze czego. Żeby patrzeć na tę nadętą, triumfującą gębę? Niedoczekanie jego.

— Co ustaliłeś w Komisji?

— Mają jeden jedyny egzemplarz zdjęcia Baumvogella.

Nawet nie wiedzą, skąd on się u nich wziął. Na odwrocie fotografii jest napis „Richard Baumvogell, kat Bradomska?”. Archiwista twierdzi, że ten znak zapytania nie został zrobiony przez Ruszyńskiego, który był u niego na kilka dni przede mną. Nie wie także, kto to pisał. Zdjęcie leży u nich co najmniej od dwudziestu paru lat. Co do samego Baumvogella, władze polskie podejmowały starania o wydanie zbrodniarza wojennego, ale Amerykanie, którzy zaraz po wojnie okupowali część Niemiec Zachodnich, odpowiedzieli, że Baumvogell zginął w bitwie pod Kurskiem. Później jeszcze Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, nie w pełni dowierzając amerykańskiej informacji, próbowała ustalić, co się dzieje z Baumvogellem i od władz NRD z Berlina otrzymała identyczną odpowiedź. Ruszyński już to wszystko wyniuchał i zdążył się zaopatrzyć w odbitki obu odpowiedzi.

— Słusznie zrobił, jest przecież obrońcą Baumvogella. Na pewno będzie usiłował podważyć prawdziwość ekspertyzy Zakładu Kryminalistyki.

— To mu się nie uda.

— Ja też tak sądzę. Niemniej musimy zdobyć jak najwięcej dowodów potwierdzających tożsamość naszego podejrzanego z gestapowcem sprzed czterdziestu lat. Odpowiedzi amerykańskie i niemieckie nie mają większego znaczenia. Opierają się one na spisach i aktach personalnych SS, dokumentach, których hitlerowcy nie zdążyli zniszczyć. Dowodzą jedynie, że Baumvogell zdezerterował tak zręcznie, iż zdołał sfingować własną śmierć.

— Albo tę śmierć sfingowali jego przełożeni wysyłając Hauptsturmführera jako szpiega do rozpracowania partyzantki i następnie Wojska Polskiego.

— Z taką hipotezą — zgodził się pułkownik Niemiroch —

także musimy się liczyć, chociaż w tej chwili nie mamy żadnych dowodów na jej poparcie.

— Jutro, uzgodniłem to z prokuratorem, przeprowadzimy konfrontację Józefa Barańskiego z naszym więźniem. Barański, jak na razie, jest jedynym człowiekiem, który widział Baumvogella w czasie jego urzędowania w Bradomsku.

Do tej konfrontacji milicja przygotowała się wyjątkowo starannie. Wybrano dziewięciu pracowników o wzroście podobnym do Baumvogella i mniej więcej w tym samym wieku. Postarano się, aby oni najbardziej przypominali byłego szefa gestapo. Wszyscy szatyni i o niebieskich oczach. Wszystkich, łącznie z Baumvogellem, ubrano w jasne płaszcze. Zaproszono z jednego z teatrów warszawskich fryzjera — charakteryzatora, który tym ludziom namalował za pomocą farby, pięknie nazywającej się „wiśniówka”, różne znamiona na twarzy. Jedni mieli te znaki szczególne na czole, inni na policzkach, na lewym lub prawym, jeszcze inni pod okiem, bądź na podbródku. Kształty tych znamion były różne. Od wydłużonych, przypominających gąsienicę, aż do trójkątnych lub prawie okrągłych. To samo można było powiedzieć o wielkości znaków. Niektóre ciągnęły się przez prawie cały policzek, inne miały najwyżej dwa centymetry lub wielkość jednogroszówek.

Całą dziesiątkę ustawiono wzdłuż dobrze oświetlonego szerokiego korytarza. Wtedy Józef Barański w towarzystwie podpułkownika i prokuratora Szczypiorskiego, który nie mógł sobie odmówić wzięcia udziału w tej akcji, przeszli dwukrotnie tym korytarzem tam i nazad.

— No i co? — zapytał prokurator.

— Trzeci od końca to Baumvogell — kategorycznie stwierdził autor „Przeżyłem piekło i Oświęcim” — o żadnej omyłce nie może być mowy.

— Czy bardziej panu przypomina Baumvogella z czasów, kiedy pan go widywał w Bradomsku — prokurator wykazał ostrożność — czy też osobę z fotografii?

Józef Barański namyślał się przed udzieleniem odpowiedzi.

— Trudno mi zdecydować. Widzę ogromne podobieństwo tego człowieka do fotografii z mojej książki. A przecież wiem, że

to jest Richard Baumvogell, moja podświadomość na te portrety automatycznie nakłada postać gestapowca taką, jaką widziałem w więzieniu w Bradomsku. Mówiłem już o tym panu pułkownikowi, że nigdy Baumvogella nie widziałem w mundurze. Zawsze był w cywilnym ubraniu.

— A ta blizna? — przypominał prokurator — a raczej czerwone znamię?

— O tej bliznie wiedzieli wszyscy w Bradomsku. Czy ją obserwowałem widując szefa gestapo na korytarzu, przyznam się, że nie mogę sobie tego uprzytomnić? Przede wszystkim panicznie się bałem tego człowieka. Przecież w moim wyglądzie mogło mu się coś nie podobać. Przechodząc obok mnie, mógł się na chwilę zatrzymać, zapytać o moje nazwisko i spokojnie wydać rozkaz wartownikowi „natychmiast rozstrzelać”. Był dosłownie panem mojego życia i śmierci. Bezgłośnie modliłem się, aby jak najszybciej przeszedł, a nie obserwowałem jego znamion. Jedno mogę stwierdzić: ogólnie biorąc poznaję, że człowiek stojący w rzędzie, trzeci od lewej strony jest Richardem Baumvogellem, z fotografii w mojej książce i bardzo jest podobny do tego, którego widywałem w więzieniu gestapo w Bradomsku. Od tamtych czasów upłynęło czterdzieści lat. I on się zestarzał oraz zmienił, ja także, niestety, nie pozostałem tym samym młodym człowiekiem.

— Pomimo pańskich zastrzeżeń — uznał podpułkownik — uważam, że konfrontacja przyniosła nam jeszcze jeden ważny dowód potwierdzający tożsamość Stanisława Wróblewskiego z Richardem Baumvogellem. Zaraz sporządzimy protokół z tego spotkania, panu zaś dziękujemy za udzieloną nam pomoc.

Podczas jazdy z Mokotowa do prokuratury, Szczypiorski zapytał podpułkownika:

— Widział pan dzisiejszą prasę?

— Taki byłem zajęty, że jeszcze jej nie przeglądałem.

— Niektóre dzienniki zamieszczają zdjęcie Baumvogella, a wszystkie podają, że ten zbrodniarz został ujęty i prowadzi się przeciwko niemu śledztwo. Skąd oni to zdobyli?

— Informacji udzielił im pułkownik Niemiroch. Zresztą dziennikarze wiedzieli znacznie więcej, niż naczelnik im

powiedział. To Miecio Ruszyński już się postarał o „publicity”. Na pewno, jeżeli nie dziś, to jutro pismaki dopadną i pana.

— W tych prasowych notatkach nie ma wymienionego nazwiska mecenasa.

— On jest dostatecznie sprytny, aby się na razie nie ujawniać. Niech pan będzie spokojny, o każdym jego kroku w tej sprawie, o każdym sukcesie prasa będzie głośno trąbić.

— No to pan pułkownik jest zadowolony. Ma pan przeciwnika, jakiego pan lubi.

— Bardzo lubię — przytaknął Kaczanowski z ponurym wyrazem twarzy.

— Odczuwam jednak pewien zawód i zdziwienie — przyznał prokurator — że Miecio ani się do mnie nie zgłosił osobiście, ani nawet nie nawymyślał telefonicznie. Przecież na pewno wie, że ja go ubrałem w tę „urzędówkę”. Ale jakoś przełknął to w milczeniu.

— Niech się pan nie cieszy, prokuratorze. Ruszyński to chytra sztuka. Trzymam zakład, że szykuje jakieś mocne uderzenie. Z tą obroną z urzędu raczej się liczył i raczej dobrze się orientuje, że nie panu przede wszystkim ją zawdzięcza, tylko milicji. Toteż na nas skierował pierwszy ogień. Do ataku posłał zaprzyjaźnionych reporterów sądowych. Pułkownik Niemirowicz nie mógł ich całkowicie splawić. Musiał im udzielić pewnych informacji. Ostatecznie nie szkodzą one naszemu śledztwu.

— Przeciwnie. Uważam, że raczej nam pomogą. Przyjdzie wiele listów. Odezwą się najrozmaitsi świadkowie z różnych stron kraju. To nie żart, że prasa jest trzecią światową potęgą.

— Tak, pan prokurator ma rację. Przyjdą setki, a może i tysiące listów. A w nich nie będzie niczego, co by się nam przydało. Albo prawie niczego, o czym byśmy przed tym nie wiedzieli. Za to każdy list trzeba będzie uważnie przeczytać i jeszcze uważniej sprawdzić. Znam to doskonale z mojej wieloletniej praktyki. A kto to będzie robił? Nikt inny tylko Kaczanowski.

— Zbyt wielkim pan jest pesymistą, pułkowniku. W tych listach mogą być jakieś bardzo ważne wiadomości.

— Oby tak było.

— Tak czy inaczej, sprawa jest zupełnie prosta — stwierdził Szczypiorski — najważniejszym problemem było ustalenie tożsamości podejrzanego z Baumvogellem. To już mamy za sobą. Posiadamy dowód. Jest nim ekspertyza Zakładu Kryminalistyki. Mamy zeznanie Barańskiego. Zresztą podobnych zeznań będziemy mieli jeszcze na pewno więcej. Uważam, że wszystkich świadków, a przypuszczam, że ich w Bradomsku nie zabraknie, będziemy musieli konfrontować z aresztowanym.

— Chyba nie ma zbyt wielkiego sensu tych ludzi wozić na konfrontację do Warszawy. Nawet obrona nie będzie tego żądać.

— Chcę, aby sprawa trafiła do sądu zapięta na ostatni guzik. Jeżeli znajdzie się wielu świadków w Bradomsku, po prostu zbierzemy ich jednego dnia i przywieziemy Baumvogella do tego miasta.

— Razem z pozostałą dziewiątką pozorantów?

— Co za problem? Raptem trzy samochody osobowe albo jeden niewielki autobusik.

— Problemu nie ma, poza odrywaniem dziewięciu ludzi od ich codziennej pracy. Nie licząc już mnie i pana prokuratora. A pracowników, jak pan sam wie, nie mamy za dużo.

— Uważam to jednak za konieczne.

— Pan prokurator prowadzi śledztwo, a mnie nie pozostaje nic innego, jak dostosować się do otrzymanych poleceń.

— Nie chcę tego tak stawiać — zachnął się Szczypiorski — przecież pan pułkownik równie dobrze zdaje sobie sprawę z tego, jak głośna będzie to sprawa. Dlatego tak bardzo mi zależy, aby pan jak najprędzej rozpoczął zbieranie materiału w Bradomsku.

— Jutro tam jadę. Zawiadomiliśmy tamtejszą komendę milicji o ujęciu Baumvogella i prosiliśmy ich o wstępne przygotowanie materiałów, a zwłaszcza ustalenie z kim powinniśmy rozmawiać.

Jednakże z planowanego wyjazdu podpułkownika do Bradomska na razie nic nie wyszło. Oto bowiem do komendy miejskiej zgłosił się obywatel Antoni Gałęcki, twierdząc, że

chciałby dorzucić ważne zeznanie w sprawie osobnika, którego zdjęcie opublikowała prasa jako szefa gestapo w Bradomsku. Gałęcki opowiedział oficerowi milicji, przyjmującego interesanta w zastępstwie nieobecnego Janusza Kaczanowskiego, że na zdjęciu rozpoznał jednego z partyzantów z czasów wojny. Porucznik Rogowski, bo to do niego zupełnie przypadkowo skierowano Gałęckiego, nie znając planów podpułkownika, polecił świadkowi zgłosić się nazajutrz rano. W ten sposób plany wyjazdu wzięły w łeb.

Antoni Gałęcki, mężczyzna po siedemdziesiątce ale jeszcze dobrze się trzymający, zgłosił się punktualnie o ósmej rano. Wyjaśnił, że przed wojną i w czasie okupacji miał gospodarstwo rolne w jednej ze wsi w powiecie parczewskim, Obecnie tę gospodarkę przejął najmłodszy syn, zaś pan Antoni po śmierci żony przeniósł się do córki, która wyszła za mąż za rolnika spod Nadarzynia. W czasach okupacji w tej wsi, w Sewerynowce, partyzanci z różnych ugrupowań byli częstymi gośćmi. Kupowali tutaj żywność, kontaktowali się z wysłannikami z Lublina, bo osada leżała przy szosie łączącej Parczew z tym miastem. Tutaj także chorzy i ranni ukrywali się u miejscowych chłopów.

— Kiedy zobaczyłem w gazecie zdjęcie tego gestapowca, pomyślałem sobie, że ja go przecież znam. Nie raz i nie dwa bywał w mojej chałupie, a nawet i zdarzało mu się przemocować. Wtedy nie nosił jednak munduru niemieckiego, ale udawał partyzanta. Pewnie był nasłanym do nich szpiegiem. Bo niedługo potem przyszli żandarmi, wermacht oraz SS i rozpoczęły się walki z partyzantami. Wielu wtedy poległo, reszta przebiła się przez bagna na wschód i na północ w stronę Wołynia. Kilka wsi hitlerowcy także spalili, a ludzi wymordowali.

— Dobrze pamiętacie tego partyzanta?

— Pewnie, że pamiętam. Po tej bliźnie czerwonej i w piekle bym go poznał. Wtedy to był młodzik. Opowiadał, że cała rodzina została przez hitlerowców wybita. Jedyne on ocalał, 'bo pojechał do lasu po drzewo. Takie to było rzekomo nierozgarnięte i zabiedzone, że aż żal było patrzeć. Kto by

wówczas pomyślał, że to taki drań! Kiedy zobaczyłem tę fotografię, zaraz mówię do córki „pamiętasz go?” Ona tylko spojrzała i z miejsca rozpoznała. „To przecież ten »Dzikus«, co z leśnymi do nas przychodził”. Od razu, bo sąsiad jechał do Warszawy i mnie podwiózł swoim samochodem, przyjechałem do milicji. Tutaj kazali mi przyjść dzisiaj.

— Doskonale pan zrobił — Kaczanowski pochwalił byłego mieszkańca Sewerynowki — pamiętacie może z jakiego oddziału partyzanckiego ten człowiek pochodził?

Starszy pan długo szukał w pamięci.

— On był od porucznika Żbika.

— Żbika?

— Tak. Taki leśny kot. Na drzewach siedzi i stamtąd skacze na zwierzynę.

— A może Ryś?

— Ryś, Ryś! — zawołał uradowany Gałęcki — to także dziki kot, ale większy. W naszych lasach przed wojną dużo było rysi. Później je kłusownicy wytepiłi. Ale jak byłem w przeszłym roku u syna, powiadał, że jeszcze i teraz można je spotkać.

— A nie znaliście nazwiska tego „Dzikusa” albo porucznika Rysia?

— Nie znałem. Oni tam wszyscy takie sobie dziwne imiona ponadawali, żeby hitlerowcy nie mogli ich rodzin prześladować. Pamiętam różne „Sowy”, „Kmicice”, „Bohuny”, „Orliki”, kto by ich zliczył, ale nazwiska nie znałem ani jednego.

— A co się stało z Rysiem?

— Hitlerowcy ich otoczyli. W nocy się przebijali. Porucznik szedł na czele i on chyba pierwszy poległ. Tak przynajmniej mówiono. To pewnie ten gestapowiec na nich żandarmów sprowadził.

— Czy potem spotykał pan „Dzikusa” albo innych ludzi z oddziału porucznika Rysia?

— Nikogo. Oddział poszedł w rozsypkę. Kto nie zginął, wywędrował z tych stron i jak miał szczęście, to przyłączył się do jakichś innych oddziałów. Albo uciekał do rodzinnej chaty i tam się krył.

— Z Sewerynowki nie było w tym oddziale młodych ludzi?

— Nie. Porucznik Ryś przyszedł tutaj z północy. Może z puszczy Białowieskiej? Kto nie miał broni, tego do swojego oddziału nie przyjmował. Nasi chłopcy, jak już musieli uciekać ze wsi, to szli do Batalionów Chłopskich albo do AL. Różne oddziały kryły się w naszych lasach. Nie brakowało i Ruskich.

Po sporządzeniu protokołu Antoni Gałęcki podpisał go i bardzo z siebie zadowolony opuścił Pałac Mostowskich. Spełnił swój obywatelski obowiązek.

Tak więc część zeznań Richarda Baumvogella vel Stanisława Wróblewskiego została potwierdzona zeznaniami mieszkańca wsi Sewerynowka. Ale to bynajmniej nie wyjaśniało sprawy. Przeciwnie, jeszcze bardziej ją komplikowało. Czy w oddziale porucznika Rysia przebywał dezerterski czy też szpieg?

Zbierając różne informacje o Wróblewskim, czy też Baumvogellu, Kaczanowski nie mógł pominąć i miejsca pracy inżyniera. Wybrał się więc na ulicę Tamka, do dyrektora biura projektów Zygmunta Barczyka. Kiedy już obaj panowie po ceremoniach przywitania zasiedli przy niewielkim stoliku, a sekretarka ciekawie zerkając na przystojnego oficera milicji, postawiła przed nimi czarną kawę, inżynier Barczyk zagaił.

— To bardzo dziwna sprawa. Trudno mi uwierzyć, żeby Wróblewski był gestapowcem. Ale, naturalnie, widziałem to zdjęcie w książce i muszę przyznać, podobieństwo jest uderzające.

— Czy Wróblewski był lubiany w biurze?

— Zdecydowanie nie. Zwłaszcza przez młodszych kolegów. Trzymał ich krótko, wymagał solidnej pracy. Był czas, kiedy delegacje wręcz żądały usunięcia go z biura. Grożono, że go wywiozą na taczkach i to razem ze mną. Oparłem się temu, bo to najlepszy kierownik pracowni w całym przedsiębiorstwie.

— Czy wtedy także zarzucano mu, że jest Niemcem?

— Wprost przeciwnie. Nazywano go bolszewikiem lub Białoruszem. Zresztą, nawiasem mówiąc, Wróblewski także nie był zupełnie bez winy. Nieraz był dla ludzi za ostry. Nie umiał się wczuć w położenie kolegów. Niektórzy opuszczali się w pracy z jakichś osobistych motywów, jak na przykład niesnaski rodzinne lub trudne warunki mieszkaniowe czy choroba w

domu. Dla niego to nie były argumenty. Sam był bardzo pracowity, ale i orał w innych. Zaprowadził w swojej pracowni prawdziwie, jak to się mówi, „pruski dryl”. Może dlatego ludzie tak szybko uwierzyli tej fotografii.

— A co pan myśli o tym wszystkim? — zapytał podpułkownik.

— Sam nie wiem. Ja bym powiedział, że według mnie, jedno przemawia przeciwko Wróblewskiemu. Za bardzo się przechwalał swoimi bohaterskimi czynami. Tą partyzantką, walkami na Płycie Czerniakowskiej, czy w Kamieniu Pomorskim. Kłuł w oczy tymi swoimi orderami. Ciągłe podkreślał, że jest kawalerem krzyża Virtuti Militari. To ludzi, nudziło, to ich w końcu złościło. Zwłaszcza tych, którzy nie mieli żadnej wojennej przeszłości. Na każdym zebraniu, na każdym odczycie czy też obchodzie święta narodowego, Wróblewski pchał się do prezydium, bo przecież on jest bohaterem, ma aż trzy ordery.

— To się często zdarza wśród byłych kombatantów, że całe życie nie umieją wrócić do cywila.

— Zgadzam się z panem, pułkowniku. Ale sędzę, że tak właśnie zachowywałyby się były gestapowiec. Kamuflaż tak wszedłby mu w krew, że ciągle by chciał wszystkich przekonywać, że on nie jest esesmanem, tylko stuprocentowym patriotą. Nic więc dziwnego, kiedy na takiego „bohatera” padło podejrzenie, że był szefem gestapo w Bradomsku, wielu ludzi ogarnęła prawdziwa Schadenfreude. Tym się też chyba tłumaczy zaciekleść nagonki, jaką niektórzy koledzy prowadzili przeciwko Wróblewskiemu.

— A może po prostu patriotyzmem i poczuciem obywatelskiego obowiązku?

Dyrektor tylko ręką machnął.

— Mógłbym dużo mówić o tym poczuciu obowiązku. Na pewno, gdyby Wróblewski był, jak to się mówi „brat-lata” sprawa tak szybko by nie wypłynęła. Może w ogóle uwierzono by, że to tylko dziwne podobieństwo?

VI Pierwszy atak obrońcy

Prokurator Władysław Szczypiorski bardzo się zdziwił, kiedy adwokat Mieczysław Ruszyński zjawił się w jego gabinecie dopiero w dwa tygodnie po zaarrestowaniu Richarda Baumvogella. Był jednak przygotowany, że rozmowa z bojowym i czupurnym obrońcą nie będzie łatwym orzechem do zgryzienia. Pod tym względem wcale się nie omylił.

— To tak ładnie — zagaił Ruszyński po przywitaniu się z prokuratorem — śledztwo w sprawie mojego klienta dokonuje najrozmaitszych czynności prawnych. Przesłuchania podejrzanego, przesłuchania świadków, konfrontacje, zbieranie dokumentów, ekspertyzy, a ja nie tylko nie mam wglądu do akt, ale nie jestem w ogóle zawiadamiany o różnych poczynaniach śledztwa.

— Nie widziałem potrzeby, aby obronie umożliwić przeglądanie akt w tej fazie postępowania przygotowawczego.

— To jest odmowa, panie prokuratorze?

— Nie — Szczypiorski nie chciał otwartej wojny z obrońcą z urzędu, wyznaczonym zresztą na jego wniosek — pan mecenas nie zwracał się do mnie w tej sprawie.

— Właśnie się zwracam. Mam napisać podanie?

Prokurator się roześmiał. Sięgnął do szuflady i wyjął niezbyt jeszcze grubą teczkę z czerwoną naklejką „areszt” i podał ją Ruszyńskiemu. — Proszę, oto akta. Jeśli pan mecenas chce je teraz przejrzeć, nie mam nic przeciwko temu. Jak na razie niedużo tego jest. Ale i to wystarcza.

Miecio czytał jedynie tytuły i kartkował akta. Doskonale wiedział, co się znajduje w tej szarej teście. Zanim tutaj przyszedł, odbył długą rozmowę z Baumvogellem.

— Taka konfrontacja nic nie znaczy — zauważył.

— Dlaczego?

— Facet ma przez dwa lata u siebie w mieszkaniu fotografię i dobrze wie, że człowiek podobny do tego zdjęcia został

aresztowany. Nic więc dziwnego, że w czasie konfrontacji od razu go poznaje. Ale nie poznał szefa gestapo w Bradomsku, lecz postać z fotografii.

— Jakie to ma znaczenie?

— Cały wasz dowód, że jest to zdjęcie Richarda Baumvogella opiera się na tych kilku słowach namazanych ołówkiem na odbitce ze zbiorów Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Słów zresztą opatrzonych znakiem zapytania. A skąd wiecie, że to zdjęcie zostało wykonane w Bradomsku? Jaką macie pewność, że więzień to Polak? A może to jakiś niemiecki bandyta lub inny zwykły kryminalista narodowości niemieckiej przesłuchiwany przez prowadzącego śledztwo? Przecież takie wypadki także się zdarzały.

— Śledztwo w sprawach kryminalnych prowadziło „Kripo”. Policja kryminalna.

— Mogły być wyjątki. Na przykład w jakimś małym miasteczku, gdzie nie było takiej policji. Ta fotografia nie stanowi żadnego dowodu.

— Toteż — zgodził się prokurator — nie uważamy tego zdjęcia za dowód jakiejś pojedynczej zbrodni popełnionej przez Baumvogella. Zdjęcie dokumentuje, że człowiek, który podaje się za byłego partyzanta Stanisława Wróblewskiego, nim się dostał do polskiej partyzantki, a ściślej mówiąc do oddziału AK dowodzonego przez porucznika Rysia, przedtem nosił mundur Hauptsturmführera SS. To zostało bardzo wyraźnie stwierdzone ekspertyzą Zakładu Kryminalistyki.

— Opieranie się w tak ważnej sprawie wyłącznie na ekspertyzie porównawczej dwóch fotografii jest zasadniczym niedociągnięciem śledztwa — obstawał adwokat.

— Nikt inny, ale właśnie pan mecenas zaproponował przeprowadzenie takiego eksperymentu. Przeprowadzono także badania antropologiczne.

— Zaproponowałem — zachnął się Miecio — ale teraz zmieniłem zdanie. Wtedy nie byłem obrońcą rzekomego Baumvogella. Nawiasem mówiąc, jestem wdzięczny pułkownikowi Kaczanowskiemu, że to właśnie mnie powierzono tę misję. Mam nadzieję, że zdołam udowodnić, jak bardzo

jednostronnie milicja przeprowadziła dotychczasowe czynności śledztwa.

— Szybko pan mecenas zmienia zdanie.

— Kiedy nie mam racji, to się nie upieram. Tylko krowa, podobno, nigdy nie zmienia zdania.

— A więc?

— Będę żądał przeprowadzenia podobnej, tym razem bardzo poważnej ekspertyzy.

— Przez kogo?

— Na przykład przez Zakład Medycyny Sądowej w Krakowie.

— Zgoda. Niech się pan mecenas nie fatyguje ze składaniem wniosku w tej sprawie. Sam dzisiaj wydam decyzję. Jak pan widzi, idę obronie na rękę, bo wiem, że to w niczym nie zmieni zaistniałej sytuacji.

— Nawet ponowna ekspertyza niekorzystna dla mojego klienta jeszcze nie będzie o niczym świadczyła. To może być ludzkie podobieństwo — zastrzegł się adwokat.

— Nie ma dwóch ludzi o takich samych wymiarach czaszki, jak i nie ma dwóch ludzi o takich samych liniach papilarnych.

— Pan zbyt kategorycznie formułuje swoje zdania, prokuratorze. Ja bym powiedział, że dotychczas nie znaleziono dwóch ludzi o takich samych liniach papilarnych. Ale to nie dowód, że to nie może się zdarzyć. Na świecie żyje trzy i pół czy też cztery miliardy ludzi, z tego zaledwie około stu czy dwustu milionów zostało poddanych daktyloskopii. Czy w tej ogromnej reszcie nie ma identycznych palców? A co do budowy czaszki, to tutaj kryminologia w ogóle rozporządza małym materiałem porównawczym. Sądzę, że dużo łatwiej znaleźć dwóch lub więcej mężczyzn o identycznym układzie kostnym czaszki, niż dwa takie same odciski palca. Gdyby wszystkie ekspertyzy wypadły dla mojego klienta niekorzystnie, to także sprawa nie jest przesądzona. Bo może właśnie mamy tutaj rzadki, ale nie wykluczony przypadek. I wtedy na podstawie fałszywych przesłanek naukowych, skażecie niewinnego.

— Dajmy spokój z tą niewinnością Baumvogella — prokurator machnął ręką — oskarżenie na pewno nie będzie narzekało na brak świadków. Dziesiątki czy nawet setki ludzi

rozpoznają w aresztowanym tego zbrodniarza wojennego.

— Naturalnie, że rozpoznają. Każdy przeczytał w gazetach i przyjrzał się tam tej fotografii. Teraz bezbłędnie, na podstawie tego zdjęcia, będą sobie przypominać, że tak właśnie wyglądał Richard Baumvogell. Co warte jest rozpoznanie człowieka, którego się nie widziało przeszło czterdzieści lat? Gotowy jestem przeprowadzić doświadczenie z panem prokuratorem. Odszukam pańskich kolegów ze szkoły podstawowej i przeprowadzimy konfrontację. Ilu z nich pan pozna?

— Byliśmy wtedy dziećmi — bronił się Szczypiorski — dorastając, człowiek bardziej się zmienia niż kiedy ma lat dwadzieścia pięć i potem sześćdziesiąt pięć. Tacy ludzie raczej się poznają. A miejscowa ludność już na pewno dobrze się przyjrzała swojemu katowi.

— W jaki sposób? Bywali na przyjęciach u szefa gestapo? On, korzystając z każdej wolnej chwili, spacerował po ulicach Bradomska? — kpił adwokat — Wchodził do sklepów i lokali dla Polaków? Jeżeli go widziano, to raczej przez moment, jak im mignął w samochodzie. A co do świadectw przesłuchiwanym więźniów, sam byłem przez cztery lata w różnych obozach koncentracyjnych od Majdanka poczynając a na Lutomerzycach kończąc i najmniej pamiętam właśnie tych, którzy mnie najbardziej katowali. Zaś komendantów obozów albo w ogóle nie widywałem, albo z daleka. Chyba żadnego bym nie poznał. Pod tym względem pamięć ludzka jest zawodna. Paraliżuje ją strach i rozpacz. Dobrze natomiast pamiętam tych hitlerowców, których widywałem często, ale którzy mnie osobiście nie prześladowali.

— A jednak na setkach procesów byłych hitlerowców świadkowie rozpoznają ich.

— Tak, zgoda! Ale tam nie ma zagadnienia stwierdzenia czyjejs autentyczności, tylko ustalenie jakich czynów dopuszczali się ci zbrodniarze. Pewnego dnia na Majdanku hitlerowcy wymordowali wszystkich chorych. Pamiętam nazwiska tych łotrów i także bym ich rozpoznał, bo przecież mnie, jako zdrowemu, wtedy nie groziło niebezpieczeństwo.

— To są, panie mecenasie, teoretyczne rozważania. Oskar-

zenie dostarczy wszelkich możliwych dowodów przeciwko Baumvogellowi, sąd będzie decydował o jego winie i karze.

— Tak, ale to będą dowody przeciwko Baumvogellowi, ale nie przeciwko Stanisławowi Wróblewskiemu — upierał się adwokat — dowodu na tożsamość tych dwóch nie macie i nie będziecie mieli. Tak samo, jak nie będziecie mieli żadnej bezstronnej konfrontacji, bo wszyscy wasi świadkowie będą się sugerowali tą fotografią z książki Józefa Barańskiego.

— Nikt inny, tylko właśnie pan mecenas zadbał o to, aby tak było.

— Ja? — Miecio zrobił zdziwioną minę.

— Tak, pan — potwierdził prokurator — dzięki pana manewrom, ta fotografia dostała się na łamy prasy i została rozpowszechniona w całej Polsce.

— Nikomu jej nie dawałem. Sam jej zresztą także nie mam, prócz odbitki zamieszczonej w publikacji „Przeżyłem piekło i Oświęcim”.

— Niemniej to pan, mecenasie, poinformował dziennikarzy, że milicja zatrzymała Stanisława Wróblewskiego jako podejrzanego, że jest byłym szefem gestapo w Bradomsku i że prokuratura prowadzi śledztwo w tej sprawie. A także prasa dowiedziała się od pana, że podstawą zdemaskowania Baumvogella było właśnie to zdjęcie w książce. Więcej dziennikarzom nie trzeba było mówić. Sami doskonale wiedzieli, że odbitki tego zdjęcia mogą zdobyć w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. I zdobyli je, a potem opublikowali. Powiem także, pan to zrobił celowo, aby nam utrudnić zadanie. Żeby potem kwestionować wyniki konfrontacji.

— Nie ja się zgodziłem do obrony Baumvogella czy też Stanisława Wróblewskiego. Ponieważ jednak jestem jego obrońcą, robię wszystko, aby ocalić niewinnego człowieka przed niesłusznym wyrokiem.

— Mówiąc „niewinnego człowieka”, pan w to sam nie wierzy.

— W co wierzę, a w co nie wierzę, to moja osobista sprawa. Zaś obrona to mój zawodowy obowiązek. Staram się wywiązać z niego jak najlepiej.

— Ale to nie powinno działać się kosztem normalnego, bezstronnie przeprowadzanego śledztwa.

— A teraz to pan prokurator nie wierzy w swoje słowa. Jak można mówić o bezstronnym śledztwie, skoro prowadzone ono jest przy współudziale pułkownika Kaczanowskiego. Z góry założył sobie, że Wróblewski jest winien i do tej teorii dopasowuje każdy swój krok.

— A kto posłał Wróblewskiego właśnie do pułkownika?

Tym razem strzał był celny. Miecio wyraźnie się zmieszał i dopiero po kilku sekundach znalazł odpowiedź:

— Posłałem, nie zaprzeczam. Ale myślałem, że ta pomyłka szybko się wyjaśni. Nawet zatelefonowałem na drugi dzień do komendy milicji i poradziłem im, co mają zrobić.

Prokurator uśmiechnął się.

— Dzięki tej radzie — zauważył — pułkownik Kaczanowski zdobył niepodważalny dowód, że Wróblewski i postać na fotografii to jedna i ta sama osoba. A razem to gestapowiec z Bradomska.

— Już panu prokuratorowi mówiłem, że jedna ekspertyza i to przeprowadzona przez organ milicyjny, jakim jest Zakład Kryminalistyki, nie może być miarodajna.

— Dobrze, będzie pan miał i drugą ekspertyzę z Krakowa. A jeśli pan chce, naturalnie nie na nasz koszt, może pan mecenas także wynająć prywatnych ekspertów.

— Mam w tej teczce — to mówiąc Miecio uderzył ręką po starej i dość mocno zniszczonej, skórzanej teczce brązowego koloru — oficjalne dokumenty. Jeden od amerykańskich władz okupacyjnych, a drugi z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Oba są identyczne i oba stwierdzają, że Hauptsturmführer Richard Baumvogell poległ w 1943 roku w bitwie pod Kurskiem. W najbliższych dniach przedłożę te dokumenty prokuraturze z wnioskiem o umorzenie śledztwa.

— Znam te dokumenty i wiem, że otrzymał pan ich odbitki z Głównej Komisji. Są one doskonałym dowodem, że Baumvogell uciekając z wojska, postarał się o dobrą dokumentację, aby go nie poszukiwano jako dezertera. A może zresztą nie był dezerterskim, ale szpiegiem posłanym do partyzanckich

ugrupowań na Lubelszczyźnie? Mogę bowiem panu mecenasowi zdradzić jeszcze jedno odkrycie śledztwa. Nie mam na razie tego protokołu w aktach, ale do milicji zgłosił się świadek, który rozpoznał ze zdjęć w prasie Baumvogella jako członka oddziału AK porucznika Rysia. Świadek zapamiętał pseudonim człowieka ze znamieniem na prawym policzku. Ten oddział stacjonował w lasach koło wsi Sewerynowka i wkrótce potem został otoczony przez przeważające siły hitlerowców oraz całkowicie rozbity. Między innymi poległ dowódca, porucznik Ryś.

— Przecież mój klient nigdy nie ukrywał, że był w tym oddziale AK.

— Tak. Teraz mamy potwierdzenie jego tam bytności. Jednakże przybycie „Dzikusa” jakoś dziwnie się łączy z zagładą tej formacji. A po jej zniszczeniu „Dzikus” odnajduje się w Janowskich Lasach i tragedia powtarza się, ale na jeszcze większą skalę. Drugi dziwny zbieg okoliczności. Nie uważa pan, mecenasie?

— Mogę panu prokuratorowi podać dziesiątki i setki takich historii, kiedy oddziały partyzanckie wpadały w zasadzki lub bywały otoczone w lasach przez hitlerowców i poniosły wielkie straty. Sam mieszkam przy ulicy Małego Franka, który także zginął otoczony przez żandarmów. Czy pan prokurator wszędzie tam będzie widział rękę mojego klienta? Jakie w ogóle macie dowody na działalność szpiegowską Wróblewskiego?

— Jeszcze nie mamy, ale będziemy prowadzili śledztwo i w tym kierunku. A co do tego podania z wnioskiem o umorzenie śledztwa, niech pan mecenas da spokój. Skutku to nie odniesie najmniejszego, nawet gdyby się pan odwołał do Sądu Wojewódzkiego, a jedynie przeciągnie postępowanie przygotowawcze, co chyba nie leży w interesie obrony?

— Być może, że tego nie zrobię, ale wyłącznie przez przyjaźń do pana prokuratora.

— Bardzo dziękuję.

— Nasuwa mi się kolejna wątpliwość.

— Słucham?

— Pan prokurator dobrze przyjrzał się tej fotografii?

— Naturalnie — przytaknął Szczypiorski.

— Oficer SS, o którym wy twierdzicie, że to Richard Baumvogell, jest mężczyzną w wieku około dwudziestu pięciu lat.

— Zgadza się. Na takiego wygląda.

— To się także zgadza z oficjalnymi dokumentami — potwierdzi! adwokat Ruszyński — Baumvogell był szefem gestapo w Bradomsku poczynając od 1940 roku a kończąc gdzieś w grudniu 1942 roku lub też w styczniu następnego roku. Po styczniu już go nikt w Bradomsku nie widział. Zresztą potwierdza to pismo z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, które ściśle podaje, że Richard Baumvogell urodził się w Gliwicach w dniu dwudziestego trzeciego października 1917 roku. Fotografia odpowiada tej dacie. Przyjmując więc nawet, że jest to rzeczywiście zdjęcie Baumvogella, fotografia ta musiała być zrobiona najpóźniej wiosną 1942 roku.

— Dlaczego wiosną?

— Konwalie.

— Jakie konwalie?

— Jednak pan prokurator niezbyt dobrze obejrzał tę fotografię. Na biurku widać wyraźnie wazonik czy też szklanekę z pękiem kwitnących konwalii. Tych kwiatów nie można znaleźć w innej porze roku. To wiosna i to wczesna wiosna.

— Cenne spostrzeżenie — ugodził się prokurator.

— A więc mamy wiosnę 1940 roku lub rok później i w najgorszym razie rok 1942.

— Nie przeczę. To w niczym nie podważa wiarygodności tego zdjęcia.

— Ale nie zgadza się z wiekiem mojego klienta.

— Jak to?

— Stanisław Wróblewski trafił do oddziału porucznika Rysia w lecie lub już pod jesień 1943 roku.

— To się zgadza. Baumvogell po upozorowaniu swojej śmierci w bitwie na Łuku Kurskim w lipcu 1943 roku, po tej dacie wśliznął się do partyzantki. '

— Tak. Tylko że wtedy Stanisław Wróblewski miał dziewiętnaście lat.

— To on tak twierdzi.

— Macie podobno świadka, który tego Człowieka przypomina sobie z partyzantki. Zapytajcie go, na ile lat wyglądał wtedy „Dzikus”.

— Przyznaję, że Antoni Gałęcki, tak się bowiem nazywa nasz świadek, określając „Dzikusa” nazwał go „młodzikiem”.

— A widzi pan, prokuratorze — tryumfował adwokat.

— To jednak były wspomnienia sprzed czterdziestu lat. Ten człowiek, chociaż mówił „młodzik”, poznał jednak Baumvogella z niezbyt wyraźnego zdjęcia opublikowanego w gazecie. Znacznie gorszego niż nasza odbitka. Pamięta, że był to młody człowiek, ale świadka nie można uważać za eksperta, który by miał orzec, że wtedy rzekomy partyzant miał lat dziewiętnaście a nie dwadzieścia pięć.

— Dwudziestopięcioletniego nie nazywałby młodzikiem.

— Gałęcki był dużo starszy od Baumvogella i mógł go tak nazwać. Tym bardziej teraz, kiedy przekroczył siedemdziesiątkę. W jego wspomnieniach ci wszyscy młodzi ludzie z lasu byli „młodzikami”.

— Nie mogę się z tym zgodzić.

— Cały spór o jedno słowo — zadrwił prokurator.

— Nie o jedno słowo, ale o wolność czy też więzienie dla mojego klienta.

— Tak pan sądzi?

— Jeżeli obrona dowiedzie, że Stanisław Wróblewski jest o sześć lat młodszy i urodził się w 1923 roku, to automatycznie nie może być Baumvogellem.

— A ekspertyza Zakładu Kryminalistyki?

— Wtedy pułkownik Kaczanowski będzie sobie mógł zrobić z tym dokumentem, nie powiem co.

— A jak obrona tego dowiedzie?

— Zażądamy przeprowadzenia ekspertyzy. Oględzin Stanisława Wróblewskiego celem ustalenia wieku tego człowieka.

— Przez Zakład Kryminalistyki?

— Chociażby. Tam są przecież także lekarze.

— Jak to jest, mecenasie? Neguje pan rzetelność ekspertyzy Zakładu Kryminalistyki, która ustaliła tożsamość Wróblew-

skiego i osoby na fotografii, a zgadza się pan na inny eksperyment.

— Jeżeli ta druga ekspertyza będzie niekorzystna dla mojego klienta — spokojnie odpowiedział Miecio — zażądam także jej powtórzenia. W takiej sprawie muszę mieć wyniki nie ulegające żadnej wątpliwości.

— Dwie sprzeczne ekspertyzy będą budzić jeszcze większe wątpliwości.

— To będziemy żądać i trzeciej.

— Aż się sądowi znudzi? — znowu zakpił prokurator.

— Aż sąd wyrobi sobie zdanie o tym zagadnieniu — poprawił go adwokat — obawiam się zresztą, że jeśli badania wieku mojego klienta wypadną dla niego pomyślnie, to właśnie prokuratura będzie szukała nowych biegłych.

— Być może — zgodził się Szczypiorski — żeby jednak dać panu mecenasowi dowód naszej bezstronności, z góry zapowiadam zgodę na te oględziny. Proszę, niech pan napisze i prześle mi odpowiedni wniosek.

Ruszyński otworzył swoją starą teczkę i wyjął z niej arkusz zapisany maszynowym pismem.

— Oto on.

— Jakie tam pan mecenas ma jeszcze papierki dla mnie?

— Przy tak jednostronnie prowadzonym przez milicję postępowaniu przygotowawczym, będę miał dużo różnych wniosków. Na razie mam jeszcze jeden.

— Słucham?

— Stanisław Wróblewski w swoich zeznaniach dość szczegółowo opisał zagładę jego rodzinnej wsi, śmierć swoich bliskich i morderstwa popełnione przez hitlerowców na mieszkańcach tej wsi. Podał także datę, kiedy to się stało. Również dość dokładnie opisuje w jaki sposób wędrował spod Nieświeża do Lublina. Wymienia nazwy miejscowości, gdzie się zatrzymywał na dłużej. Wymienił także nazwisko chłopca, u którego przezimował. Te zeznania są do sprawdzenia.

— Po przeszło czterdziestu latach? Te wsie są na dawnych mapach. To już(sprawdziliśmy. Hauptsturmführer przygotowując swoją dezercję lub też idąc na robotę szpiegowską, miał

dostęp do wojskowych sztabówek i na pewno dobrze sobie ułożył i wyuczył się na pamięć takiej rzekomej marszruty. Być może sam brał udział w zagładzie wsi Brzeźnica.

— Ułożyliście sobie sami swój scenariusz i wszystko usiłujecie do niego dopasować. Widzę, że i pan prokurator zaraził się metodami Kaczanowskiego.

— Naszym scenariuszem — ostro przerwał prokurator — jest dowiedzenie winy oskarżonemu. A scenariuszem obrony jest, jak słyszę, niedopuszczenie do tego, z tym, że obrona zaczyna stosować niezbyt dozwolone chwyt.

— Przepraszam pana prokuratora. Niemniej jednak pan z urzędu powinien badać i to wszystko, co przemawia za aresztowanym.

— Przecież bez mrugnięcia okiem uwzględniłem dwa wnioski obrony o ekspertyzy.

— Wróblewski — ciągnął dalej adwokat — wymienia kilka nazwisk ludzi, z którymi się zetknął w czasie swojej wędrówki. Trzeba ich odszukać.

— Co nam to da?

— To, że ten człowiek był na tamtych ziemiach wtedy, kiedy Baumvogell rezydował w Bradomsku. Pan się omylił, prokuratorze, szef gestapo nie mógł być w Brzeźnicy. Jej zagłada nastąpiła w maju 1942 roku. Siedemnastego maja. Baumvogell jeszcze przez przeszło pół roku był panem życia i śmierci powiatu bradomskiego. Zaś do bitwy pod Kurskiem, czyli do lipca 1943 roku, był w jednej z dywizji Waffen SS. Odnalezienie choćby jednego człowieka, który do lipca 1943 roku zetknął się z Wróblewskim, byłoby potwierdzeniem i jego zeznań, i jego niewinności. Dlatego przywiązuję tak wielką wagę do tych poszukiwań.

— Łatwo panu mówić. Ale jak znaleźć takiego człowieka po czterdziestu latach? Nawet gdyby przyjąć, że pański klient mówi prawdę.

— Zgadzam się, że dla obrony to jest niemożliwe, ale nie dla prokuratury rozporządzającej ogromnymi możliwościami użycia całego aparatu władzy.

— Poszukiwani przez nas świadkowie mogą od dawna nie

żyć.

— Ale także mogą mieszkać w Warszawie przy tej samej ulicy, gdzie my teraz rozmawiamy.

— Wróblewski wymienia jedynie nazwiska. Zresztą poważnie białoruskich chłopów. Nie zna ich imion, imion rodziców, dat urodzenia.

— Ale mówi, w jakich wsiach ci ludzie żyli. Tam ich trzeba szukać.

— To są obecnie tereny Białoruskiej Republiki Radzieckiej.

— Mogli repatriować w 1946 roku. Albo i później. Są przecież w archiwach dokumenty Państwowego Urzędu Repatriacji.

— Pan sobie zdaje sprawę, jaka to robota?

— Nie ma zbyt wielkiej roboty, aby uwolnić człowieka od niesłusznego oskarżenia i pomyłki sprawiedliwości. Przecież mojemu klientowi grozi nawet kara śmierci.

— Tak źle z nim chyba nie będzie — powątpiewał prokurator.

— Niemniej mecenas ma rację. Będziemy sprawdzać w Centralnym Biurze Adresowym, a jeśli zajdzie potrzeba, sięgniemy i do akt PUR.

— Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Szukajcie jednak nie tylko nazwisk ludzi wymienionych przez Wróblewskiego, ale w ogóle jakichkolwiek mieszkańców tych wsi. Oni mogą sobie przypominać, że u sąsiada ukrywał się, bądź pracował jakiś młody chłopak z Brzeźnicy. Podczas widzenia z moim klientem, mówiłem mu, aby spróbował sobie przypomnieć szczegóły zdarzeń z tamtych lat i wynotował wsie, przez które przechodził i u kogo się zatrzymywał. Jeżeli nie pamięta imienia i nazwiska, niech przynajmniej opisz, gdzie stała i jak wyglądała chata mieszkańca udzielającego mu schronienia.

— Tego nie sprawdzimy.

— Dlaczego? — zdziwił się Ruszyński. — Jeżeli nie będzie można znaleźć tych ludzi w Polsce, trzeba się zwrócić do władz radzieckich o pomoc prawną. Na pewno jej nam nie odmówią. Pojedzie pan prokurator do Nieświeża i stamtąd szlakiem Wróblewskiego.

— Jeżeli razem z panem mecenasem — roześmiał się Szczypiorski — to zgoda.

— Cieszę się, że dogadaliśmy się w najważniejszych sprawach — adwokat pożegnał swojego rozmówcę, który jednak wcale nie był taki zachwycony tą rozmową. Natychmiast też poprosił podpułkownika Janusza Kaczanowskiego, o przyjęcie do gmachu prokuratury. Oficer milicji aż się za głowę złapał usłyszawszy relację z przebiegu spotkania adwokata z prokuratorem.

— Ciekawy jestem, kto wykona tę gigantyczną i nikomu niepotrzebną pracę?

— Z punktu widzenia obrony, Ruszyński miał rację — zauważył prokurator — i tak przyzwoicie postąpił, że te wszystkie wnioski zgłosił zaraz na początku śledztwa, a nie na sali sądowej. Kto wie, czy wtedy sąd nie przerwałby rozprawy i nie zwrócił prokuraturze aktu oskarżenia dla uzupełnienia śledztwa.

— Zgoda na to badanie antropologiczne, czy też somatyczne dla ustalenia wieku aresztowanego. Nie protestuję, chociaż (to właściwie przelewanie z próżnego w próżne, bo wieku żywego człowieka nie uda się ustalić w granicach jednego roku, czy nawet pięciu lat. Co innego, gdyby Zakład Kryminalistyki rozporządzał choćby kawałkiem kości. Nie będziemy jednak amputowali Baumvogellowi ręki lub nogi. Ale skoro nasz kochany mecenas chce, niech się bawi.

— Z tego też powodu nie protestowałem zarówno przeciwko temu eksperymentowi, jak i przeciwko powtórzeniu ekspertyzy Zakładu Kryminalistyki, tym razem przez Kraków.

— Co innego poszukiwanie rzekomych świadków wędrówki Baumvogella. Wędrówki, której nigdy nie było. To zupełnie niepotrzebna praca. Przecież ekspertyza wyraźnie stwierdziła, że osobnik z fotografii i aresztowany to jedna i ta sama osoba. To jest niepodważalne. Może Ruszyński robić jeszcze sto ekspertyz zarówno w kraju, jak i na całym świecie. Niczego nie wygra. Wczoraj rozmawiałem w Zakładzie Kryminalistyki. Wyjaśnili mi wszystkie tajemnice swojej pracy. O omyłce nie może być mowy. Więc po co zatrudniać cały sztab ludzi do przeglądania setek tysięcy czy nawet milionów nazwisk z list repatriacyjnych?

— Mecenas Ruszyński operuje przewrotnym argumentem, że nikt nie może dowieść istnienia na świecie, wśród trzech miliardów ludzi, dwóch identycznych odcisków palców, lub dwóch absolutnych sobowtórów. Na negatywne twierdzenie nie ma kontrdowodu.

— Temu żaden sąd nie uwierzy.

— Mieciowi wystarczy, jeśli wzbudzi w sędziach wątpliwości i zarzuci nam, że nie uwzględniono postulatów obrony. Dlatego musimy tę żabę połknąć.

— Cholera z tym Ruszyńskim. Dziury nie robi, a krew wysie. Miał rację jeden z kolegów, który mnie przestrzegał, że będę gorzko żałował chwili, kiedy namówiłem prokuratora na powołanie Mięcia jako obrońcy z urzędu w tym procesie. I rzeczywiście, nie omylił się.

— Obawiam się, że każdy inny obrońca przyjąłby identyczną taktykę. Zresztą narzuconą przez linię postępowania swojego klienta. Nie zakładałbym się nawet o jeden grosz, że Ruszyński wierzy w niewinność Wróblewskiego i nie utożsamia go, tak jak i my, z Baumvogellem. Ale jest jego obrońcą i robi wszystko, co tylko możliwe dla polepszenia szans swojego podopiecznego.

— To przecież znacznie przedłuży śledztwo. W ogóle nie wyobrażam sobie, skąd weźmiemy ludzi dla przeprowadzania tego rodzaju akcji. Jak pułkownik Niemiwoch dowie się o jej rozmiarach, obawiam się, że szlag go gotów trafić.

— Nie będzie tak źle z Niemiwochem, ale pogimnastykować to się pogimnastykujecie. Chyba, że w Centralnym Biurze Adresowym traficie przed tym na jakiś ślad. A co do przedłużenia śledztwa, to niezbyt ważne. I tak Baumvogell przez długie lata pozostanie na państwowym wikcie i opierunku. A czy przed wyrokiem, czy po nim, to już dla niego niewielka różnica.

— Jutro jadę do Bradomska — zdecydował podpułkownik — taki jestem wkurzony na tego najmimordę, że bym go chyba rozszarpał, gdybym go spotkał.

— No to nie radzę dzisiaj — przestrzegł prokurator ze śmiechem — wstępować do „Szanghaju”. Na pewno Miecio będzie tam święcił swój sukces.

— I to na domiar złego z bardzo ładną blondynką — gorzko dorzucił Kaczanowski.

VII

Tortura nadziei

— Nie będzie miał pułkownik żadnych trudności — powiedział major Mieczysław Musiał, komendant milicji w Bradomsku — z zebraniem dowodów zbrodni Baumvogella. Do tej pory babcie straszą wnuków tym gestapowcem. Ja wprawdzie jestem z tych stron, ale w czasie, kiedy tu rządził pupilek Heydricha miałem zaledwie sześć lat. Nie zetknąłem się więc z nim osobiście, a także chwala Bogu i moja rodzina nie miała tego „szczęścia”. Powiem tylko tyle, że wiadomość podana przez prasę o aresztowaniu naszego kata wywołała w całym mieście i okolicy ogromną sensację. Zgłaszało się do nas wiele osób w tej sprawie. Przede wszystkim prosząc o potwierdzenie prawdziwości notatki w gazecie. Byli także ludzie, którzy ofiarowywali się na świadków. Ich nazwiska i adresy wynotowaliśmy, bo byliśmy pewni, że Warszawa prędzej czy później skontaktuje się z nami.

— Daję wam słowo, majorze — podpułkownik zrozumiał wymówkę komendanta — że już trzykrotnie byłem zdecydowany przyjechać do Bradomska. W ostatniej chwili zawsze wyskakiwało coś nagłego i musiałem tę podróż odkładać.

Kaczanowski dokładnie opowiedział majorowi, w jaki sposób Richard Baumvogell został ujęty w Warszawie, jakimi dowodami przeciwko niemu rozporządza oskarżenie i jaką taktykę obrony przyjął sam aresztowany i jego adwokat.

— Ciekawe — stwierdził Mieczysław Musiał — że ten facet idzie na całego i zaprzecza. Cokolwiek można by powiedzieć o Baumvogellu, nikt mu nigdy nie zarzucał, że jest głupi. Zresztą całe postępowanie tego człowieka świadczy, że nie był pozbawiony sprytu. Ta dezercja z dywizji SS, upozorowana zrzęcznie śmiercią w bitwie pod Kurskiem, to ukrywanie się najpierw w naszym wojsku, a później w Gdańsku i w Warszawie, wiadomo pod lampą najciemniej, ta nieskazitelna

opinia zarówno z wojska, jak uczelni i miejsca pracy dowodzą zarówno dużej zręczności, jak i inteligencji. Czyżby ten człowiek nie rozumiał, iż przegrał? Wypieranie się, nic mu nie da. Na jego miejscu szukałbym okoliczności łagodzących, aby ocalić przynajmniej głowę i otrzymać jak najniższy wyrok.

— Nie raz i nie dwa tłumaczyłem to Baumvogellowi w czasie przesłuchiwań. To samo mówił mu pan prokurator, który nawet mu obiecywał, że nie będzie żądał kary śmierci.

— Za to, co Baumvogell robił w Bradomsku, ta kara należy mu się dziesięciokrotnie. Skoro ktoś tutaj trafił do gmachu gestapo, bardzo rzadko z niego wychodził. Albo jechał do lasu nad Wartę, gdzie niemal co tydzień rozstrzeliwano Polaków, albo wędrował do Oświęcimia. Kiedy Richarda w styczniu 1943 roku skierowano do Waffen SS i wysłano na front wschodni, ludzie odetchnęli z ulgą, chociaż jego następcą na pewno nie był lepszy. Był po prostu głupszy i dużo gorzej orientował się w terenie oraz dużo gorzej znał Polaków.

— A mimo to Baumvogell zacięcie milczy i broni się w bardzo naiwny sposób.

— Tego właśnie nie mogę zrozumieć — dziwił się major.

— Wracając jednak do sprawy, sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli pan pułkownik przede wszystkim porozmawia z profesorem Wincentym Raczkowskim. On panu niewątpliwie poda więcej szczegółów o okupacji hitlerowskiej w Bradomsku i o samym jej szefie.

— Kto to jest?

— Wincenty Raczkowski, to były nauczyciel miejscowego liceum. Obecnie ma chyba siedemdziesiąt pięć lat, ale znajduje się w doskonałej formie tak fizycznej, jak i umysłowej. Z zawodu historyk, z zamiłowania badacz dziejów naszego miasta. Napisał na ten temat interesującą książkę. Na pewno ją pułkownikowi ofiaruje.

— Był prześladowany przez Baumvogella?

— Na początku 1940 roku szef gestapo postanowił oczyścić miasto z inteligencji. Aresztowano adwokatów, księży, nauczycieli, lekarzy. Tylko niewielu osobom udało się wydostać z rąk hitlerowców. Większość wysłano do obozów

koncentracyjnych, skąd mało kto wrócił. Raczkowski miał szczęście. Z rąk gestapo wydostał go jakiś generał, Austriak z pochodzenia, z którym ojciec profesora razem służył w wojsku austriackim, w czasie pierwszej wojny światowej i z którym wtedy był bardzo zaprzyjaźniony. Rodzinie profesora jakoś udało się odnaleźć tego generała i porozumieć się z nim. Z kolei generał umiał tak zadziałać, że chcąc nie chcąc Baumvogell musiał Raczkowskiego odesłać do Krakowa, skąd nauczyciel wrócił po paru tygodniach.

— Baumvogell nie zemścił się na profesorze za tę porażkę?

— Nie. Stanowisko szefa gestapo w Bradomsku nie było jakimś wielkim osiągnięciem, ale stanowiło doskonałą odskocznię do dalszej kariery. A Baumvogell osiągnął je już w wieku dwudziestu trzech lat. Naturalnie tylko dzięki protekcji. Nic więc dziwnego, że wołał nie zadzierać z cudzą, być może jeszcze silniejszą, protekcją. Wołał więc milczeć. Przecież Baumvogella Niemcy, a nawet gestapowcy, nienawidzili równie silnie, jak i Polacy. Najlepszy dowód, że po śmierci Heydricha, Richard natychmiast pojechał na front wschodni. Taka zsyłka równała się prawie wyrokowi śmierci. Byłym dygnitarzom wyznaczano tam najbardziej niebezpieczne stanowiska.

— Tym łatwiej Baumvogell mógł upozorować swoją śmierć — zauważył Kaczanowski. — Muszę jednak stwierdzić, że pan major świetnie się orientuje w dziejach okupacji Bradomska, jak i w życiorysie naszego bohatera.

Musiał uśmiechnął się, zadowolony z pochwały przybysza z Warszawy.

— No cóż — powiedział — wprawdzie okupację pamiętam jako mały chłopak, ale pochodzę stąd. Tutaj także rozpocząłem pracę po ukończeniu szkoły oficerskiej i szczebelek po szczebelku doszedłem do stopnia majora i komendanta miejscowej placówki. Człowiek więc dużo słyszał o tamtych dziejach. Poza tym, przyznaję, po wiadomości o zatrzymaniu Baumvogella, licząc się z wizytą z Warszawy, przygotowałem się do tej rozmowy.

— Nie macie, majorze, żalu do mnie, że to właśnie Warszawa prowadzi śledztwo, a nie Komenda Miejska MO w Bradomsku?

— Wprost przeciwnie. Zdjęście mi brzemię z pleców. Takie długie i żmudne śledztwo zbyt by absorbowало zarówno mnie, jak i moich ludzi. A tych mi brakuje nawet do normalnych służb. Co innego stolica. Wy macie większe możliwości.

— Nie za wielkie — westchnął Kaczanowski przypominając sobie ostatnie posunięcia swojego przyjaciela, adwokata Ruszyńskiego — walczę z moim starym, aby mi przydzielił kilku ludzi do tej sprawy i jak dotąd wydebiłem zaledwie dwóch. Jak trafić do tego profesora? Nie chciałbym, żebyście go wzywali do komendy.

— Naturalnie, że nie. Ale pan Wincenty mieszka niedaleko stąd. W małym domku z pięknym ogródkiem. To mój nauczyciel. Uczył mnie w szkole. Chętnie pułkownika do niego zaprowadzę.

Stary profesor wyraźnie się ucieszył, kiedy się dowiedział, kogo mu przyprowadzono i w jakiej sprawie podpułkownik Kaczanowski przyjechał do Bradomska.

— Kiedy zobaczyłem fotografię Baumvogella w gazecie, rozpoznałem tego drania — powiedział Wincenty Raczkowski.

— Przed wszystkim po tej tak wyraźnej bliznie od kuli na prawym policzku.

— To nie blizna, to znamię.

— Być może. Ja tego nie sprawdzałem. Hitlerowcy mówili, że Baumvogell był ranny we wrześniu 1939 roku i że otrzymał Żelazny Krzyż z rąk samego führera.

— Odbitka w gazecie jest niewyraźna. Tutaj mam lepszą fotografię — oficer milicji pokazał profesorowi zdjęcie uzyskane w Główniej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich.

— Tak, to jest lepsze. Znamię widać bardzo wyraźnie — potwierdził profesor — przyznam się, że pierwszy raz widzę na tej fotografii Baumvogella w mundurze. Zawsze urzędował w cywilnym ubraniu. Mundur zakładał chyba tylko na jakieś oficjalne odprawy poza granicami Bradomska.

— Pan go często widywał?

— Staralem się jak najrzadziej.

— Pan był aresztowany. Czy Baumvogell przesłuchiwał pana?

— Nie. On raczej nikogo osobiście nie przesłuchiwał.

Czasami, zresztą rzadko albo wchodził do jakiejś celi i rozmawiał z więźniem, co kończyło się zwykle tragicznie dla więźnia, gdyż zostawał wkrótce rozstrzelany, albo też wzywał na krótko do swojego gabinetu. Dlatego dziwi mnie pejcz leżący na biurku. To nie było w stylu tego gestapowca. On był katem zza biurka. Jego ludzie dokonywali łapanek i aresztowań. Przesłuchiwali i torturowali więźniów. On później na aktach wypisywał krótką notatkę „rozstrzelać” albo „zesłać do obozu”. Ale to on sam zawsze decydował o losach każdego z nas siedzących w piwnicy siedziby gestapo. Od jego humoru zależało czyjeś życie lub śmierć. A brudną robotę zostawiał innym.

— Bano się go?

— Pyta pan o Niemców?

— Tak, bo przecież wiemy, że Polacy bali się każdego gestapowca. Każde z nimi spotkanie mogło skończyć się tragicznie.

— Hitlerowcy bali się go tak samo, jak i my. To był przecież pupilek samego Heydricha. Po Himmlerze drugiej osobie w SS i policji. Wprawdzie w Bradomsku jako w powiatowym mieście, istniały różne urzędy niemieckie, teoretycznie niezależne od gestapo, ale Baumvogell rządził wszystkim. Nawet starosta hitlerowski nigdy nie ośmielił się mu przeciwstawić.

— Jego przełożeni nie próbowali go utemperować?

— Słyszałem — odpowiedział profesor — o jednej takiej próbie. Jak panu pułkownikowi wiadomo, gestapo w Bradomsku podlegało szefowi gestapo na całą Generalną Gubernię, rezydującemu w Krakowie. Widocznie tam doszły skargi na samowolę Baumvogella, bo pod koniec 1941 roku przyjechała z Krakowa specjalna komisja, na której czele stał Obergruppenführer Hans Schmidt. Ale po kilku dniach ta komisja rozkazem z Berlina została odwołana. Zaś po zaledwie miesiącu Obergruppenführer został przeniesiony do Jugosławii jako dowódca oddziału SS do zwalczania partyzantki. Wkrótce potem tam zginął. To jeszcze bardziej powiększyło strach i nienawiść nawet kół gestapowskich do pupilka Heydricha.

Wszyscy tylko czekali, żeby mu się powinęła noga.

— Czy szef gestapo stykał się z Polakami, nie więźniami?

— Zdarzało się, że rodziny zatrzymanych przychodziły prosić Baumvogella o łaskę. Zawsze przyjmował żony czy też matki aresztowanych i ze złośliwą satysfakcją obwieszczał, że ich bliscy zostaną straceni lub zesłani. Był przy tym uprzedzająco grzeczny. Sadysta o wersalskich manierach. Rozmawiał z Polakami po polsku. W swoim urzędzie, jak zresztą w całym Bradomsku, zaprowadził żelazny rygor. Podwładnych za najmniejsze uchybienie natychmiast wysyłał na front. Nic więc dziwnego, że po śmierci możnego opiekuna Heydricha, w 1942 roku, los Baumvogella został przesądzony. Utrzymał się jeszcze przez kilka miesięcy na swoim stanowisku, potem poradzono mu podobno w Berlinie, żeby na ochotnika zgłosił się do Waffen SS na front wschodni. Taka propozycja równała się rozkazowi. „Przyjaciele” postarali się, aby go posłano na najniebezpieczniejszy odcinek frontu. Na Łuk Kurski. Później sam czytałem nekrolog w „Völkischer Beobachter”, że Richard Baumvogell poległ „für Führer und Vaterland”.

— Jak widzimy nie poległ, lecz bardzo zręcznie zdezerterował. Jako dezertor nie znalazłby schronienia w Trzeciej Rzeszy, przystał więc do partyzantów, zaś później do Wojska Polskiego. Udało mu się ukrywać prawie do dzisiaj.

— Dziwnie ułożyły się losy tego człowieka. Zresztą i on sam był bardzo dziwnym i skomplikowanym charakterem. Jedną z jego głównych cech była chęć wyróżnienia się za wszelką cenę od innych. Choćby sprawa nazwiska. Przecież nazwisko niemieckie „Baumvogel” pisze się normalnie przez jedno „l”. Tak też pisał się jego ojciec. Syn dla wyróżnienia się od innych dodał sobie jeszcze drugie „l”. Z matki Polki i ojca górnika, wychowany raczej w duchu polskim, nagle stał się zajadłym hitlerowcem. A jednocześnie chętnie posługiwał się językiem polskim i jak im mówiono dużo czytał po polsku.

— Widzę, że pan profesor interesował się tą postacią.

— Przyznaję, że tak. Z punktu widzenia psychologii, niecodzienny typ. Na przykład, kiedy Baumvogell dowiedział

się, że jego dni w Bradomsku są już policzone, nagle zwolnił z aresztu większość siedzących tam Polaków. Taka łaskawość, nie z przekonania, ale na złość swoim władzom. Bo Polaków nienawidził. Represje w Bradomsku miały dużo większy zasięg, niż w innych tej wielkości miastach. Były także bardziej krwawe. Przecież to chyba właśnie Baumvogell jako pierwszy na terenie Generalnego Gubernatorstwa wprowadził publiczne egzekucje. Jeżeli gdzie indziej jeszcze można było czasami liczyć, że człowiek zupełnie niewinny zostanie jednak wypuszczony lub chuchy uda się mu wykupić, w Bradomsku, kto trafił do gestapo, to czekał go albo obóz albo rozwałka. O szczególnym sadyzmie tego człowieka świadczy fakt, że osobiście wybierał miejsca dla przeprowadzania egzekucji i potem śmiał się, że rozstrzeliwani przed śmiercią mają piękny widok na malowniczy las i płynącą w pobliżu Wartę. Powinien pan pułkownik koniecznie porozmawiać z panią Jakubiak.

— Kim jest ta pani?

— Wdowa po Pawle Jakubiaku, pracowniku fabryki mebli. W czasie okupacji fabryka musiała pracować na potrzeby Wehrmachtu. Robotnicy starali się opóźniać produkcję i uprawiali sabotaż. Pewnego dnia Baumvogell na ślepo zaaresztował kilkudziesięciu pracowników tych zakładów. Przede wszystkim byłych działaczy związkowych i byłych członków związku. Część tych ludzi rozstrzelano. Reszta została zesłana do obozów koncentracyjnych. Większość nie wróciła stamtąd. Pani Jakubiak odważyła się iść do gestapo i prosić o wypuszczenie męża. Rozmawiała z Baumvogellem. Twierdzi, że do śmierci tej rozmowy nie zapomni.

Podpułkownik Kaczanowski pytająco spojrział na majora Mieczysława Musiała.

— Mamy adres tej obywatelki — wyjaśnił major — rozmawiałem z nią przed paru dniami. Uprzedziłem nawet, że prawdopodobnie będzie wezwana do naszej komendy na przesłuchanie. Chętnie się na to zgodziła.

Pani Maria Jakubiak, emerytowana pielęgniarka, aż się popłakała wspominając swoją tragiczną przygodę z szefem gestapo.

— To było w styczniu 1942 roku. Ściśle biorąc dwunastego stycznia. Wtedy nagle gestapo obsadziło fabrykę mebli. Mieli gotową listę ludzi. Spędzili wszystkich pracowników na plac przed fabryką i tam odczytano dwadzieścia parę nazwisk. Wśród nich mojego męża. Całą grupę popędzono do gmachu gestapo. Oskarżano ich o organizację sabotażu w fabryce pracującej wtedy na potrzeby wermachtu. Wiedzieliśmy dobrze, czym grozi takie aresztowanie. Rodziny zatrzymanych szukały dróg ratunku swoich bliskich. Ja postanowiłam iść do Baumvogella i prosić o życie męża.

— Przyjął panią?

— Prawie natychmiast. Czekałam na niego najwyżej piętnaście minut. Potem wartownik wprowadził mnie do gabinetu Baumvogella, który odprawił żołnierza i zostaliśmy sami. Szef gestapo wskazał mi fotel stojący przy okrągłym stoliku i sam usadowił się na drugim, naprzeciwko mnie.

— Pani go poznaje? — podpułkownik wyjął zdjęcie.

— Tak, ten sam. Ta bardzo wyraźna blizna.

— To nie blizna, to znamię, niektórzy ludzie mają takie od urodzenia.

— Wtedy Baumvogell wyraźnie mi powiedział, że to blizna od odłamka szrapnela i że tę ranę odniósł w walkach pod Częstochową.

— Powiedział? Jak to było?

— Najpierw uważnie wysłuchał w jakiej sprawie przychodzę, a następnie zapytał, czy mąż służył w wojsku i czy był na francie? Wyjaśniłam, że nie zdążono go zmobilizować. Na to się uśmiechnął i zauważył, że mąż miał szczęście, gdyż wyszedł z wojny bez szwanku w przeciwieństwie do niego, który ten znak będzie nosił już do końca życia. Ponieważ jestem z zawodu pielęgniarką, wyjaśniłam, że takie blizny po kilku latach zarastają się i stają się prawie niewidoczne. Wyraźnie się tym ucieszył. Był tak uprzejmy, że kazał podać dwie kawy. W obawie o losy męża nie mogłam odmówić tego gestapowskiego poczęstunku.

— A dalej?

— Baumvogell szczegółowo wypytywał o naszą sytuację

materialną i o nasze dzieci. Mieliśmy trójkę. Dwóch synków i córeczkę. Najmłodszy Andrzejek nie miał jeszcze siedmiu miesięcy. Gestapowiec żywo interesował się, czy dzieci są zdrowe, na co chorowały i czy są grzeczne. Był taki miły, że nabrałam już nadziei, iż moja interwencja powiedzie się i Zygmunt odzyska wolność. Kiedy go zapewniałam, że zarówno mąż, jak i inni zatrzymani są niewinni i padli ofiarą czyjejś złośliwości, bo w fabryce pracowało dużo volksdeutscheów, którzy załatwiali w ten sposób swoje prywatne porachunki, Baumvogell ze zrozumieniem kiwał głową. Potwierdzał, że takie rzeczy się zdarzają, ale on umie odróżnić prawdę od fałszu i u niego nigdy żaden niewinny człowiek nie poniósł najmniejszej krzywdy.

— Prawda była — wtrącił major Mieczysław Musiał.

— W pewnym momencie — opowiadała dalej pani Maria — Baumvogell wstał i podszedł do biurka. Nacisnął przycisk dzwonka. Kiedy zjawił się wartownik, gestapowiec przemówił innym tonem: „Wziąć tę wariatkę i wyrzucić za drzwi. Gdyby się jeszcze raz ośmieliła tutaj przyjść, zastrzelić w bramie”. Do mnie zaś powiedział: „Pani mąż jest niebezpiecznym bandytą. Nawet przed wojną był notowany przez polską policję za swoje wyrotowe przekonania. Już dawno powinno się go zlikwidować. Ale to nic strasznego. Będzie jutro rozstrzelany”. Wartownik złapał mnie za ramię i wywłókł z gabinetu, a później z budynku gestapo. To zwierzę dotrzymało swoich pogrózek. Zatrzymani w fabryce zostali nazajutrz rozstrzelani — pani Maria sięgnęła po chusteczkę, aby otrzeć łzy.

Janusz Kaczanowski znowu wyjął fotografię.

— Pani poznaje ten pokój?

— Na zdjęciu widać tylko fragmenty gabinetu — wyjaśniła Maria Jakubik — pamiętam, że tam także wisiał portret Hitlera i stało biurko. Ale ozy to ten gabinet, nie mogę powiedzieć. Straszne przeżycia zatarły w mojej pamięci te drobne szczegóły. Przypominam sobie, że było to duże pomieszczenie z dwoma oknami.

— A tych dwóch gestapowców pani widziała?

— Nie.

— A może twarz tego więźnia jest pani znajoma?

— Mam wrażenie, że tę twarz już widywałam, ale nie wiem gdzie.

— W czasie okupacji, czy już po wojnie?

— Nie umiem panu powiedzieć.

— Czy wtedy na biurku także leżał pejcz?

— Nie. Na pewno nie. Ale, pamiętam, stały tam jakieś kwiaty.

— W tym samym wazonie?

— Tego nie mogę pamiętać.

— Ten wazon to bardzo ładny kryształ. Charakterystyczny w swojej formie.

— Kwiaty pamiętam, wiem, że ani na stole, ani nigdzie indziej nie widziałam pejcza. Ale to już wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć. Chciałabym być na sprawie sądowej tego zbrodniarza. Spojrzeć mu w oczy i przypomnieć tamtą naszą rozmowę. Jakże to skromna satysfakcja za te cierpienia, które przeżyłam przez tego człowieka. Nawet najwyższa kara nie wskrzesi przecież tych umarłych, którzy zginęli na jego rozkaz.

— Pani jest bardzo ważnym świadkiem — wyjaśnił podpułkownik — na pewno prokurator będzie chciał, aby pani swoje zeznania potwierdziła także przed sądem.

— Zawsze to powtórzę, słowo w słowo — zapewniła pani Maria — przecież powiedziałam szczerą prawdę.

Takich spotkań i takich rozmów podpułkownik Kaczanowski odbył w Bradomsku kilkadziesiąt. Nie potrzebował szukać świadków. Kiedy po mieście rozeszła się wiadomość, że milicja zbiera dowody zbrodni Richarda Baumvogella, ludzie sami się zgłaszali. Opowiadali historie, które jeszcze dzisiaj, po prawie czterdziestu latach mroziły krew w żyłach. Oficer milicji wszystkie te zeznania nagrywał na taśmy magnetofonowe i sporządzał oficjalne protokoły. Kiedy zaś po tygodniowym pobycie w Bradomsku, Kaczanowski powrócił do Warszawy, prokurator Szczypiorski nie krył swojego zadowolenia z tak szybko postępującego śledztwa.

— Właściwie — stwierdził prawnik - już dzisiaj mamy sprawę tak zapiętą, że można by przystąpić do pisania aktu oskarżenia. W tej chwili wnioski obrony i samego podejrzanego

przedłużają akcję. Wprawdzie odpowiednie władze Białoruskiej Republiki Rad idą nam na rękę i mamy zapewnioną pomoc naszego konsulatu w Mińsku, poszukiwania ewentualnych świadków na tamtym terenie muszą potrwać dłuższy czas.

— To zrozumiałe — mruknął Kaczanowski — ale ciekawy jestem celowości tych poszukiwań. Odnoszę bowiem wrażenie, że adwokatowi Ruszyńskiemu zależało jedynie na tym, abyśmy mieli jak najwięcej roboty z tą sprawą. Idę o największy zakład, że on także nie wierzy w niewinność swojego klienta.

— Może i nie wierzy — zgodził się prokurator — jednak jako solidny obrońca uważa, że oskarżony musi mieć wszystkie szanse dowiedzenia swojej niewinności. Stąd wnioski Ruszyńskiego.

— A moi ludzie, przez widzimisię tego pana — zachnął się oficer milicji — jeszcze przez kilka miesięcy nie będą robić nic innego, jak grzebać się w starych archiwach byłego Urzędu Repatriacyjnego.

— Znaleźli coś ciekawego?

— Trochę ludzi z okolic Nieświeża. Potwierdzają oni wymordowanie przez hitlerowców całej wsi Brzeźnica. Podobno tam mieszkało kilku Wróblewskich. Taka drobna szlachta zaściankowa, siedząca tam z dziada pradziada i trzymająca się klamki Radziwiłłów, do których należały ogromne latyfundia nieświeżskie. Ale nikt nie słyszał o cudownym ocaleniu jednego z tych Wróblewskich i o jego dalszych losach. To po prostu sprytna bajeczka Baumvogella, który dobrze sobie przygotował tego rodzaju opowiadanko. Dzięki niemu Wsłiznął się do partyzantki, a następnie do Wojska Polskiego i zdobył fałszywe dokumenty tożsamości.

— Ale my — dokończył prokurator — musimy mu to udowodnić. Dlatego praca pańskich ludzi i cała ta akcja na Białorusi jest konieczna.

W kilka dni później podpułkownik Kaczanowski nie mógł sobie odmówić satysfakcji zatelefonowania do adwokata Mieczysława Ruszyńskiego. Poprosił obrońcę Baumvogella, aby mecenas przechodząc koło Pałacu Mostowskich wstąpił do stołecznej komendy MO, właśnie do podpułkownika.

Ruszyński zameldował się tam następnego dnia. Obaj panowie przywitani się z fałszywą serdecznością, po czym oficer milicji wyjaśnił:

— Miło mi zakomunikować panu mecenasowi, że zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, aby wnioski złożone przez obronę, zostały jak najszybciej rozpatrzone.

— Cieszy mnie to ogromnie — odpowiedział Ruszyński — dobrze pamiętam, że moja współpraca z panem pułkownikiem zawsze w przeszłości układała się jak najlepiej. Jeżeli ze strony milicji zdarzały się kiedyś jakieś niedociągnięcia, a bywało to dość często, starałem się władze naprowadzić na właściwą drogę — gdyby wąż umiał mówić i przed tym najadł się miodu, jego głos byłby identyczny jak ten, którym przemawiał adwokat.

— Tak, tak — podpułkownik udawał, że nie zauważył przytyku — dlatego i teraz posłaliśmy materiały do Krakowa, do tamtejszego Zakładu Medycyny Sądowej, a ponadto zarządziliśmy odpowiednie badania zatrzymanego, dla określenia jego wieku. I mamy już wyniki tych badań. Uważałem za swój obowiązek podzielić się tą wiadomością z panem mecenasem.

Miecio uśmiechnął się tak, jak człowiek, któremu dentysta boruje bolący ząb.

— Jestem drogiemu pułkownikowi niewymownie wdzięczny za jego uprzejmość.

— Nie ma za co. Przyjaciel powinien przyjacielowi pomagać. Oto, panie mecenasie — to mówiąc Kaczanowski sięgnął do szuflady biurka — ekspertyza z Krakowa. Stwierdza ona, że osoba z fotografii i nasz rzekomy Stanisław Wróblewski, to ta sama postać. O jakiegokolwiek omyłce nie może być mowy. Jeśli obrona zechce na swój koszt dokonywać dalszych badań, nie mam nic przeciwko temu.

Adwokat nawet nie wyciągnął ręki po okazany mu papier.

— Tu jest jeszcze drugi dokument. Badanie zatrzymanego dla określenia jego wieku. Biegli ustalili, że ten człowiek urodzony jest gdzieś około 1920 roku, z dopuszczalną omyłką trzech lat w górę lub w dół od tej daty. Ponieważ wiemy, że Baumvogell

urodził się w 1917 roku, ekspertyza potwierdza tę datę.

— Potwierdza także i to, że Wróblewski przyszedł na świat sześć lat później — spokojnie zauważył Ruszyński.

— A co z tą fotografią? — zadrwił oficer milicji.

— Po prostu mamy tu do czynienia z całkowicie identycznym sobowtórem. Bardzo ciekawy przypadek, którym powinni się zainteresować uczeni całego świata. Obalona zostaje teoria, że nie ma dwóch ludzi o identycznej budowie czaszki i identycznych rysach twarzy.

— Pan mecenas jest dzisiaj jak widzę, w wyjątkowo dobrym humorze. Jednakże w takie bajeczki żaden sąd nie uwierzy.

— To do was będzie należało przeprowadzenie dowodu, że taki zbieg okoliczności jest niemożliwy.

— To potwierdzi każdy lekarz i każdy kryminolog. Poza tym muszę pana mecenasa poinformować, że byłem w Bradomsku.

— Wiem o tym — spokojnie przyznał adwokat — widywano tam nawet pułkownika z pewną przystojną, mniejsza zresztą z kim...

Kaczanowski z lekka poczerwieniał. Cios był celny. Skąd ten najmimord a mógł wiedzieć o tym flirciku?

— Przywożem z Bradomska pięćdziesiąt trzy protokoły przesłuchań ludzi, którzy padli ofiarą represji Richarda Baumvogella lub których rodziny były przez niego represjonowane.

— Naturalnie cała ta pięćdziesiątka odznacza się tak fenomenalną pamięcią — zadrwił adwokat — że od razu poznała Baumvogella na okazanej im fotografii.

— Tak jest, rozpoznali go.

— Ale przed tym już oglądali to zdjęcie w prasie i wyczytali, kogo ono przedstawia. Winszuję panu pułkownikowi nowego sukcesu.

— Ci ludzie nie mają żadnego interesu w tym, aby kłamać.

— Nie zarzucam im świadomego kłamstwa, jedynie stwierdzam, że są pod wpływem sugestii wywołanej publikacją zdjęcia i wspomnieniem doznanej krzywdy.

— W najbliższym czasie przewieziemy Baumvogella do Bradomska i skonfrontujemy z tymi świadkami. Jeśli pan

mecenas zechce nam towarzyszyć w tej podróży, zapraszam.

— Dziękuję. Szkoda czasu. Ta konfrontacja także niczego nam nie da. A co do tych pięćdziesięciu trzech protokołów, pan pułkownik pozwoli, że przyślę tutaj któregoś dnia mojego aplikanta, aby je przejrzał. Na pewno skorzysta dużo na tym. Nauczy się, jak bardzo trzeba być ostrożnym przy ocenie pracy niektórych organów milicji. A teraz serdecznie dziękuję panu pułkownikowi za spotkanie i tak miłą rozmowę.

Obaj panowie wymienili uśmiechy i pożegnali się. Tak zapewne żegnałby się pies z kotem, gdyby u tych zwierząt panowały zwyczaje podobne do ludzkich.

— Ten cholerny Miecio — zaklął podpułkownik połykając pastylkę „Paksilu” zawsze mnie doprowadza do białej gorączki.

— Znowu będę musiał łyknąć „Elenium” — mruzczał adwokat schodząc z drugiego piętra Pałacu Mostowskich.

VIII

Obrona przegrywa pierwszą bitwę

Minęło kilka miesięcy. Miesiące wypełnionych znużoną pracą prokuratora i milicji. Drobiazgowo badania świadków, przesłuchiwanie podejrzanego Stanisława Wróblewskiego vel Richarda Baumvogella, zbieranie dowodów winy, czy też niewinności tego człowieka, który na każdym przesłuchaniu uporczywie stwierdzał, że jest mieszkańcem wsi Brzeźnica pod Nieświeżem. Nigdy nie służył w gestapo, a tym bardziej nie był szefem tej zbrodniczej organizacji w Bradomsku, w latach okupacji hitlerowskiej.

Prokuratura i milicja usiłowały sprawdzić wiarygodność zeznań podejrzanego. Ustalono jedynie, że istotnie ten człowiek przebywał w różnych oddziałach partyzanckich, między innymi w oddziale AK, dowodzonym przez porucznika Rysia, który działał w Lubelskiem. Ustalono także, że podejrzany zgłosił się na ochotnika pod nazwiskiem Stanisław Wróblewski do Wojska Polskiego i odbył całą kampanię wojenną od Lublina aż do Kamienia Pomorskiego, gdzie został ciężko ranny, zaś po wyleczeniu, co przypadło już po końcu wojny, został zdemobilizowany. W czasie służby wojskowej rzekomy Wróblewski odznaczony był dwukrotnie Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari.

Nie udało się natomiast, pomimo usilnych poszukiwań i w Polsce i na terenie Białoruskiej Republiki Radzieckiej, odnaleźć jakiegokolwiek świadka, który by sobie przypominał młodego chłopca ze wsi Brzeźnica wędrującego w Lubelskie i zatrzymującego się we wsiach polskich i białoruskich na dłuższy pobyt. Nazwiska, podawane w zeznaniach rzekomego Wróblewskiego, albo w ogóle w spisach ludności tych wsi nie figurowały, albo też ci ludzie nie żyli. Inni zaś mieszkańcy tamtych okolic potwierdzali, że przez ich tereny wędrował cały potok ludzki. Uciekinierzy z obozów jenieckich, ludzie

pochodzenia żydowskiego, partyzanci z różnych, często, rozbitych formacji i w ogóle każdy, kto w czasie okupacji musiał się ukrywać przed hitlerowskim wrogiem. Czy jednak w tej masie ludzkiej był także i człowiek podający się dzisiaj za Stanisława Wróblewskiego, nikt tego nie mógł potwierdzić. Ludzie oglądali twarz tego człowieka (z fotografii znalezionej w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, wycięto tylko samą głowę, - do której rysownik po usunięciu esesmańskiej czapki domalował czoło i włosy) i wzruszając ramionami na znak bezradności, mówili najczęściej:

— Panie, tyle już lat upłynęło, tylu. ludzi wtedy się oglądało, czy ja mogę wszystkich spaamiętać? Już przecież nie te lata i nie ten wzrok...

Prowadzący śledztwo wiedzieli, że obrońca Richarda Baumvogella, adwokat Mieczysław Ruszyński także gromadzi dowody mające przemawiać za jego klientem. Czy rozporządzał jakimikolwiek dokumentami, nie wiadomo. Natomiast po otrzymaniu aktu oskarżenia, adwokat zgłosił listę świadków obrony, prosząc sąd o powołanie ich na rozprawę.

Pewnego dnia prokurator Szczypiorski zatelefonował do podpułkownika Kaczanowskiego z prośbą, żeby oficer milicji przyszedł do prokuratury.

— Niech pan patrzy, pułkowniku, co mi dzisiaj poczta przyniosła — powiedział prokurator podając Kaczanowskiemu długą białą kopertę. Na niej maszynowym pismem ktoś umieścił adres: An Herm Staatsanwalt Stadt Warschau — Warschau, Litzmannstrasse 127. Na odwrocie brak było nadawcy. Koperta miała znaczki pocztowe Republiki Federalnej Niemiec.

— Co to za prowokacja?

— Nie wiem? Znalazłem to w dzisiejszej poczcie.

— Taki list powinien być po prostu zwrócony do RFN.

— Powinien — potwierdził prokurator — ale dotarł do mnie. A oto co było w środku. Od razu przetłumaczono to w naszym biurze na język polski.

Panie prokuratorze,

Dowiedziałem się z prasy, że prowadzicie śledztwo przeciwko Richardowi Baumvogellowi z Bradomska. Widziałem w „Die Woche” to zdjęcie. W czasie wojny pracowałem w Rządzie Generalnego Gubernatorstwa w Krakau. Znałem osobiście i często się stykałem z Baumvogellem. Nie mam jego fotografii, ale stwierdzam, że zdjęcie opublikowane w prasie przedstawia właśnie szefa gestapo w Bradomsku. Baumvogell zajmował to stanowisko do początków 1943 roku. Po nikczemnym zabójstwie Obergruppenführera Heydricha na skutek różnych intryg, Baumvogell został odwołany z Bradomska i na ochotnika zgłosił się do Dywizji „Adolf Hitler Leibstandarte”. Później słyszałem o jego śmierci pod Kurskiem. Ale najwidoczniej zdezerterował, zdradził naszego führera i ukrywał się w Polsce. To nawet lepiej, że będzie sądzony w Warschau, bo w Niemczech nie ma kary śmierci. Nawet dla takich lajdaków.

W razie potrzeby, gotów jestem przed odpowiednimi władzami niemieckimi lub przed notariuszem złożyć oficjalne zeznanie.

*Wenzel Raume Darmstadt Stuttgartstr 7
Bundesrepublik*

— Szkoda — roześmiał się Kaczanowski — że ten pan Raume nie pofatyguje się sam do „Warschau”. Miałby Baumvogell towarzystwo na ławie oskarżonych. Ale poważnie mówiąc, co pan prokurator o tym myśli?

— Są dwa powody napisania tego listu przez Raume, zagorzałego hitlerowca. Albo chęć zemsty na Baumvogellu za jego dezercję. To nam wyraźnie sugeruje treść tego pisma.

— Albo?

— Albo w ogóle nienawiść do wszystkiego, co polskie. Może ten człowiek naprawdę wie, że Baumvogell poległ w walkach na Łuku Kurskim? A teraz się cieszy, że popełniamy omyłkę i stawiamy przed sądem niewinnego człowieka.

— To chyba niemożliwe? Przecież przeprowadziliśmy tak długie i drobiazgowo śledztwo. Człowiek na fotografii, nie ulega

wątpliwości, jest Stanisławem Wróblewskim. Każda ekspertyza to zawsze potwierdzi.

— No tak, ale... — prokurator urwał, jak gdyby się bał, że może za wiele powiedzieć.

— Ten hitlerowiec zdawał sobie przecież sprawę — głośno myślał Kaczanowski — że i bez jego świadectwa potrafimy wyświecić sprawę. A jednak napisał do nas. I umieścił na kopercie tak prowokacyjny adres. Już nie mówię o treści listu i o „podłym zabójstwie Obergruppenführera Heydricha”. Co pan prokurator ma zamiar zrobić z tym listem?

— Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym trudniej mi podjąć jakąkolwiek decyzję.

— Ja bym go w ogóle podarł i wyrzucił do kosza.

— To byłoby najprostsze, ale tego właśnie mi nie wolno zrobić.

— Diabli nadali — mruknął oficer milicji.

— Dzwoniłem już do adwokata Ruszyńskiego. Obiecał, że wpadnie do mnie, jak tylko skończy się rozprawa na sali siódmej... Ale uprzedzał, że to potrwa jeszcze ze dwie godziny.

— Tym lepiej. Wolałbym nie spotykać się z tym panem.

Zawsze po takiej rozmowie mam nadszarpnięte nerwy na parę godzin. Co za przebrzydły krętacz, A jaki dziwkarz. Afiszuje się z coraz młodszymi.

Prokurator Szczypiorski nie podjął tego tematu.

— List muszę załączyć do akt sprawy. Naturalnie ani myślę zwracać się do odpowiednich władz RFN o przesłuchanie Raunego w ramach pomocy prawnej. Zarówno w akcie oskarżenia, jak i we wszystkich moich wystąpieniach na procesie, pomnę zupełnym milczeniem ten dokument. Jak gdyby w ogóle nie istniał. Mam nadzieję, że mecenas Ruszyński zgodzi się ze mną. A co do wysokiego sądu, on przecież ma swobodną ocenę wszystkich dokumentów znajdujących się w aktach.

— Tak, to będzie najlepsze.

— Nie widzę innego wyjścia.

— Żeby tylko kochany Miecio — przestraszył się podpułkownik — nie zechciał podważać treści, czy też auten-

tyczności tego listu.

— Nie obchodzą mnie — rozgniewał się prokurator — stosunki, jakie pana łączą z mecenasem, ale proszę nie zapominać, że jest to znakomity adwokat i szlachetny człowiek.

— Bardzo pana przepraszam, prokuratorze, ale ten list zrobił mi taki mętlik w głowie.

— Ja myślę.

— Dotychczas bez zastrzeżeń wierzyłem w winę Wróblewskiego. Ale ten cholerny list zabił mi porządnego ćwieka. Przecież nie mogę uwierzyć, że istnieje dwóch zupełnie identycznych ludzi, mających identyczne blizny, czy też znamiona na twarzy. To byłoby czyste wariactwo. A jednak po raz pierwszy zrodziły się we mnie wątpliwości, czy nie popełniamy potwornej omyłki.

Nadszedł wreszcie pierwszy dzień procesu. Największa sala Sądu Wojewódzkiego na godzinę przed terminem wyznaczonym na rozprawę była wypełniona po brzegi. Najmniej w niej było zwykłej publiczności, gdyż wydano niewiele kart wstępu. Całą resztę wielkiego pomieszczenia wypełniali przedstawiciele prasy. Wśród nich nie brakło także i dziennikarzy z innych państw. Przede wszystkim z Niemieckiej Republiki Demokratycznej i z Republiki Federalnej Niemiec. Byli także korespondenci wielkich agencji prasowych.

Punktualnie o godzinie dziesiątej rozległo się sakramentalne „Proszę wstać, sąd idzie”. Otworzyły się drzwi za podium sędziowskim i ukazał się w nich przewodniczący kompletu sędziowskiego, a za nim jeszcze jeden sędzia zawodowy i ławnicy. W takim zwiększonym składzie sąd rozpatruje zawsze sprawy, w których może zapaść wyrok śmierci. Sąd zajął swoje miejsca, padło „proszę usiąść” i przewodniczący zwrócił się do ławy oskarżenia, gdzie pomiędzy dwoma milicjantami zasiadał człowiek, którego miano tu dzisiaj sądzić.

— Oskarżony, proszę wstać.

Wysoki szatyn o pociągłej twarzy ze śladami wielomiesięcznego pobytu w więzieniu, o regularnych rysach i niebieskich oczach, podniósł się ze swojego miejsca. Zaciśnięte aż do bólu pięści świadczyły o zdenerwowaniu oskarżonego.

— Imię i nazwisko? — zapytał sędzia.

— Stanisław Wróblewski. Syn Kajetana i Adeli z domu Pencak. Urodzony w Brzeźnicy w byłym powiecie Nieśwież, w dniu dziesiątego listopada 1923 roku. Magister, inżynier mechanik. Żonaty, dwoje dzieci. Żona Krystyna z domu Grodzicka — oskarżony bez dalszych pytań recytował swoje personalia.

— A jak się oskarżony poprzednio nazywał? — zapytał drugi z sędziów.

— Nigdy nie zmieniałem nazwiska. Nie jestem Richardem Baumvogelem, nigdy nie byłem członkiem gestapo. Nigdy nie byłem w SS i nigdy nie byłem szefem gestapo w Bradomsku.

— Oskarżony będzie miał możliwość złożenia później wyjaśnień — pouczył przewodniczący — teraz proszę siadać.

Sprawdzimy, czy świadkowie wezwani na rozprawę są obecni?

Z ponad trzydziestu osób powołanych na świadków nie stawilo się czterech. Trzech z nich nadeszło świadectwa lekarskie, a czwarty zaświadczenie, że jest obecnie zatrudniony w jednym z polskich przedsiębiorstw i przebywa służbowo za granicą.

— Pan prokurator? — zapytał przewodniczący.

— Wnioskuje o odczytanie w czasie rozprawy zeznań tych świadków.

— Obrona?

— Nie oponujemy — odpowiedział adwokat Mieczysław Ruszyński.

— Świadkowie złożą przyrzeczenie. Proszę powtarzać za mną — przewodniczący wypowiedział słowa przyrzeczenia — a teraz świadkowie opuszczą salę rozpraw. Udzielam głosu panu prokuratorowi.

Prokurator Władysław Szczypiorski podniósł się ze swojego miejsca, poprawił togę z czerwonym żabotem i rozpoczął czytanie długiego, bo aż liczącego przeszło siedemdziesiąt stron aktu oskarżenia. W absolutnej ciszy padały zarzuty popełnienia przez oskarżonego rozlicznych zbrodni. Setki ludzi rozstrzelanych, setki zesłanych do obozów koncentracyjnych.

Torturowanie więźniów w lochach gestapo. Znęcanie się moralne nad rodzinami tych ludzi.

Spojrzenia obecnych na sali kierowały się w stronę ławy oskarżonych. Siedzący tam człowiek słuchał słów prokuratora tak, jakby to chodziło o kogoś zupełnie innego. Czasami pochylał się do przodu i zamieniał jakieś uwagi z obrońcą siedzącym tuż przed nim. Mecenas Ruszyński najwidoczniej wyjaśniał swojemu klientowi, że będzie miał możliwość zabrania głosu zaraz potem, kiedy prokurator zakończy czytanie aktu oskarżenia.

Kiedy prokurator skończył, przewodniczący ze względu na późną porę odroczył rozprawę do dnia następnego na tę samą godzinę. Znowu wszyscy powstali i komplet sędziowski opuścił salę. Publiczność rozchodząc się, komentowała akt oskarżenia.

— Na pewno dostanie czapę — twierdził jeden z bywalców sal sądowych.

— Takiego by końmi rozrywać — denerwował się człowiek, który dzięki takim, jak Baumvogell zbrodniarzom, spędził cztery lata w różnych hitlerowskich obozach — co to jest dla niego kara śmierci? To za mało.

Po wznowieniu rozprawy, zainteresowanie procesem jeszcze wzrosło. Na sali pojawiło się nawet sporo adwokatów, którzy na ogół nie interesują się innymi sprawami poza swoimi.

— Czy oskarżony zrozumiał akt oskarżenia? — zapytał przewodniczący.

— Zrozumiałem.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy? — padło najważniejsze w tym procesie pytanie.

— Nie!

— Czy oskarżony chciałby udzielić jakichś wyjaśnień?

Stanisław Wróblewski vel Richard Baumvogell szczegółowo mówił o swoim dzieciństwie, opisywał rodzinną wieś, opowiadał o gospodarce prowadzonej przez ojca. Potem opowiedział historię pacyfikacji wsi. Pewnego majowego poranka udał się po drzewo do pobliskiego lasu. Tam usłyszał szum wielu nadjeżdżających samochodów ciężarowych. Będąc na skraju lasu widział z daleka, jak hitlerowcy otaczają wieś.

Wkrótce usłyszał strzały, przeraźliwe krzyki ludzi i zobaczył płomień ogarniające coraz większą liczbę domów. Przez cały dzień i noc młody chłopiec przeleżał w gęstym zagajniku i dopiero nazajutrz ośmielił się wejść do opustoszałej wioski. Tam nie ocalał ani jeden człowiek, płomieniom nie ostał się żaden budynek. Półprzytomnego z żalu i przerażenia, blakającego się pomiędzy zgliszczami młodego człowieka znaleźli ludzie z sąsiedniej miejscowości i jeden z tamtejszych gospodarzy zabrał go do siebie. Ale i on bał się trzymać w swojej zagrodzie byłego mieszkańca Brzeźnicy. Chłopiec zaopatrzony w bochenek chleba, ruszył w drogę do Lublina, gdzie mieli się znajdować jego jedyni krewni.

Oskarżony i tę wędrówkę opisywał z wieloma szczegółami. Wymieniał nazwy wsi, przez które przechodził. Cytował niektóre nazwiska ludzi, gdzie się zatrzymywał na dłuższy lub krótszy pobyt. Następnie dokładnie opowiedział o spotkaniu z oddziałem partyzanckim porucznika „Rysia”. Streścił wszystkie akcje tego małego zgrupowania i wszystkie potyczki stoczone z hitlerowcami aż do tej ostatniej, kiedy to dowódca oddziału i większość partyzantów poległ w nierównym boju. Reszta zaś przedarła się w Janowskie Lasy, gdzie wkrótce potem AK spotkała straszliwa klęska. Przebieg tych walk oskarżony opisał drobiazgowo.

Ostatnią częścią życiorysu była już historia zgłoszenia się do Wojska Polskiego w Lublinie, walki na Płycie Czerniakowskiej w Warszawie, przełamywanie Wału Pomorskiego i zdobycie Kamienia Pomorskiego. Tutaj przy obronie ruin wysadzonego przez hitlerowców browaru, oskarżony odniósł bardzo ciężką ranę i w ten sposób zakończył swój szlak bojowy.

— Jeszcze raz powtarzam — zaakcentował oskarżony — że nie jestem Richardem Baumvogellem. Nigdy nie byłem szefem gestapo w Bradomsku.

Przewodniczący sądu wyjął z akt fotografię przedstawiającą Richarda Baumvogella przesłuchującego jakiegoś więźnia i pokazał ją oskarżonemu.

— Czy oskarżony zna to zdjęcie?

— Znam. Pochodzi ono¹ z książki Józefa Barańskiego

„Przeżyłem piekło i Oświęcim”. Pan prokurator podczas przesłuchania poinformował mnie, że zdjęcie to znajdowało się w archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Na podstawie tego zdjęcia zostałem aresztowany.

— Czym oskarżony tłumaczy ogromne podobieństwo zdjęcia do wyglądu oskarżonego? Podobieństwo potwierdzone zresztą specjalnymi badaniami.

— Tylko zbiegiem okoliczności.

— Wysoki sędzie — mecenas Ruszyński zerwał się ze swojego miejsca — nie kwestionujemy wyników obu ekspertyz, ale uważamy, że zaszedł tu szczególnie przypadek znalezienia dwóch ludzi o identycznej budowie czaszki, a co zatem idzie o ogromnym podobieństwie rysów twarzy.

— To jest niemożliwe, proszę wysokiego sądu — replikował prokurator Szczypiorski — jak nie ma dwóch ludzi o identycznych liniach papilarnych palców, tak nie może być dwóch identycznych czaszek.

— Czy wygłaszając te pewniki pan prokurator zbadał te cztery i pół miliarda ludzi zamieszkujących kulę ziemską?

— zadrwił obrońca.

Na sali rozległy się śmiechy, które jednak natychmiast umilkły, gdy sędzia przewodniczący wyciągnął rękę po dzwonek.

— Oskarżony ma to znamię od urodzenia? — zapytał jeden z ławników.

— Tak.

— Osoba na fotografii ma identyczne znamię. Czy to również zbieg okoliczności?

— Niewątpliwie.

— Mógłbym uwierzyć, że istnieją dwaj ludzie o identycznych czaszkach, ale jeszcze z takimi samymi znamionami na prawym policzku. Jak to oskarżony wytłumaczy?

— Nie wiem — Wróblewski był bliski rozpaczy. — Wiem jedno, nie jestem Richardem Baumvogellem.

— Oskarżony zarówno w czasie śledztwa, jak i tutaj w swoich wyjaśnieniach opisał nam szlak wędrówki ze wsi Brzeźnica aż po miasto Parczew, gdzie zetknął się z oddziałem AK

dowodzonym przez porucznika Rysia. Oskarżony wymienił wiele nazwisk ludzi, którzy go powinni znać i pamiętać. Zarówno śledztwo prowadzone na terenie Polski, jak też i pomoc prawna ze strony władz Białoruskiej Republiki Radzieckiej nie zdołały odnaleźć ani jednej z tych osób. Inni mieszkańcy tamtych wsi nie przypominają sobie takiego młodego człowieka z Brzeźnicy.

— Wysoki sądzie — odpowiedział oskarżony — w drugiej wojnie światowej zginęło przeszło sześć milionów obywateli polskich i co najmniej cztery razy tyle obywateli radzieckich. Zwłaszcza na byłych wschodnich terenach Polski i na Białorusi represje hitlerowskie były szczególnie krwawe. Takich spalonych wraz z ludźmi wsi, jak Brzeźnica, było bardzo wiele. Ich symbolem jest duża wieś białoruska Chatyń, gdzie hitlerowcy żywcem spalili wszystkich jej mieszkańców. A poza tym od tamtych wypadków upłynęło prawie czterdzieści lat. Ludzie, których wymieniłem, jeśli nie zginęli nawet w czasie okupacji, pomarli naturalną śmiercią. Ze inni mnie nie pamiętają? Nie można się dziwić. Jeśli ktoś udzielił zbiegowi schronienia, nikomu się tym nie chwalił. A ja nie spacerowałem po wsi i nie afiszowałem się swoją osobą. Siedziałem cicho jak mysz pod miotłą, szczęśliwy, że mann dach nad głową i trochę strawy. Zresztą na tamtych terenach nie było nocy, aby do jakiejś chaty nie pukał uciekinier lub partyzant prosząc o schronienie. Któż mógł ich zapamiętać?

— Oskarżony — sarkastycznie zauważył prokurator — nieustannie powołuje się na różne zbiegi okoliczności. Strasznie dużo tych zbiegów okoliczności.

— Czy oskarżony był konfrontowany ze świadkami, którzy znali Baumvogella z Bradomska? — znowu zapytał przewodniczący sądu.

— Byłem.

— Z wieloma?

— Nie umiem podać dokładnej liczby. Ale było ich wielu.

— Sześćdziesięciu ośmiu — odpowiedział prokurator — protokoły konfrontacji są w aktach.

— Sąd zna akta i sąd nie pytał pana prokuratora.

— Bardzo przepraszam, wysoki sędzie.

— Czy w czasie konfrontacji tamci świadkowie poznawali oskarżonego jako Richarda Baumvogella? — przewodniczący sądu kontynuował zadawanie pytań.

— Większość poznawała — przyznał Wróblewski — ale byli i tacy, którzy wskazywali na inne osoby razem ze mną stojące.

— Chciałbym w imieniu oskarżonego wyjaśnić tę sprawę

— mecenas Ruszyński prosił o głos.

— Proszę.

— Wysoki sędzie, to zdjęcie, które znajduje się w aktach sprawy, przed konfrontacją oskarżonego ze świadkami było publikowane chyba w całej polskiej prasie. Nie ma więc nic w tym dziwnego, że świadkowie rozpoznawali oskarżonego. Ale nie jako Baumvogella, ale jako osobę oglądaną parę dni przed tym na zdjęciu. Podpis pod nim wyjaśniał, że to właśnie jest Richard Baumvogell. Każdy na zdjęciu widział charakterystyczną bliznę i po niej poznawał oskarżonego. Takie konfrontacje nie mają żadnej wartości.

— Ocena dowodów należy do sądu — z kolei obrońca otrzymał reprimendę z ust przewodniczącego. Ruszyński uklonił się i przeprosił wysoki sąd.

— Opublikowanie tych zdjęć w dziennikach — zauważył prokurator — było manewrem obrony celem podważenia wiarygodności późniejszych konfrontacji. To właśnie pan mecenas Ruszyński poinformował dziennikarzy, gdzie szukać tego zdjęcia i jak je zdobyć.

Ruszyński poderwał się z miejsca, jak gdyby dźgnięty szpilką w czule miejsce.

— Wysoki sędzie! — zawołał — Kategorycznie protestuję przeciwko podobnym insynuacjom pana prokuratora. Owo zdjęcie ukazało się w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy i było dostępne w każdej księgarni w całym kraju. Taki bowiem nakład miała książka pana Józefa Barańskiego. Kiedy mianowano mnie obrońcą z urzędu dzisiejszego oskarżonego, rzeczywiście powiedziałem o tym któremuś ze sprawozdawców sądowych. Udzielenie dziennikarzowi takiej informacji nie jest żadnym naruszeniem tajemnicy śledztwa, do którego zresztą

nie miałem wówczas żadnego dostępu. Zaznaczam również, że nigdy nie prosiłem ani nie zabiegałem o tę obronę.

Siedzący na sali w jednym z pierwszych rzędów podpułkownik Janusz Kaczanowski zacisnął pięści. Jakże chętnie prowadziłby śledztwo w sprawie, w której podejrzanym byłby adwokat Ruszyński.

— Publikacja zdjęcia w prasie nie jest przedmiotem tej rozprawy — przewodniczący tym razem pouczał zarówno oskarżenie, jak i obronę — proszę więc nie poruszać dalej tych problemów. Czy pan prokurator ma pytania do oskarżonego?

Szcypiorski zadawał oskarżonemu wiele pytań. Zarówno dotyczących pobytu w partyzantce, jak i działalności Baumvogella w Bradomsku. Wróblewski uporczywie zaprzeczał, że należał do gestapo. Oświadczał, że nie zna Bradomska i panujących tam stosunków w czasie okupacji. Co zaś do tego, że on jako partyzant znalazł się w dwóch bitwach, które skończyły się kompletnym pogromem oddziałów AK, oskarżony już mocno zdenerwowany odpowiedział:

— Czy pan prokurator zarzuca mi, że będąc w partyzantce informowałem o tych oddziałach hitlerowców?

— Takiego oskarżenia prokuratura nie stawia, nie posiadamy na to żadnych dowodów, chociaż jak zwykle w losach oskarżonego i tutaj mamy do czynienia z przedziwnym zbiegiem okoliczności. Poza tym od stawiania pytań jest sąd, prokurator i obrona, a nie oskarżony.

— Wysoki sędzie — znowu interweniował obrońca — w pytaniach pana prokuratora kryły się wyraźne inwektywy co do roli oskarżonego w partyzantce.

— Proszę, niech obie strony zadają rzeczowe pytania i trzymają się ściśle aktu oskarżenia.

— Na razie nie mam więcej pytań do oskarżonego.

— Obrona?

— Co oskarżony zrobił po obejrzeniu fotografii w książce Józefa Barańskiego „Przeżyłem piekło i Oświęcim”?

— Udałem się na milicję, do pana podpułkownika Janusza Kaczanowskiego z prośbą o wyjaśnienie sprawy. Tłumaczyłem milicji, że padłem ofiarą jakiejś dziwnej pomyłki. W kilka dni

potem zostałem aresztowany przez podpułkownika. Aresztowania dokonano na podstawie ekspertyzy, którą mi okazano.

— Czy pan zgłosił się na milicji przed tym, nim tam wpłynął donos na pana?

— Tego nie wiem. W ogóle nie wiem, czy były jakieś donosy?

— Może pan prokurator byłby uprzejmy wyjaśnić tę sprawę wysokiemu sądowi.

Prokurator Szczypiorski dość niechętnie przyznał, że oskarżony zgłosił się do Pałacu Mostowskich jeszcze przed tym, zanim jakikolwiek donos wpłynął w tej sprawie. Jednak oskarżenie ten fakt interpretowało jako zręczny manewr. Baumvogell prosząc milicję o wzięcie go w obronę nie podejrzewał, że obecnie kryminalistyka rozporządza szeregiem metod badawczych pozwalających bezbłędnie identyfikować osoby na podstawie ich zdjęć fotograficznych.

— Gdyby oskarżony był rzeczywiście Richardem Baumvogellem — replikował adwokat — na pewno przed pójściem na milicję zbadałby ten problem. Wystarczyło przecież kupić w księgarni pierwszą lepszą książkę z zakresu kryminologii. Choćby Horoszowskiego czy Hołysta. Albo jeszcze prościej, iść na Koszykową, do Biblioteki Publicznej i tam przeczytać te dzieła. Oskarżony w dobrej wierze udał się do władz prosząc o opiekę, a w zamian spotkał się ze śledztwem, delikatnie mówiąc, prowadzonym wybitnie jednostronnie. W dalszym ciągu obrona ma wiele wątpliwości, czy poszukiwania świadków obrony prowadzone były z dostateczną starannością.

— Wysoki sędzie — oburzył się prokurator — to właśnie są inwektywy. Inwektywy wysoce krzywdzące zarówno prokuratorę, jak i milicję. Nie szczędziliśmy żadnych wysiłków, aby zbadać całokształt sprawy.

— Pan mecenas będzie uprzejmy liczyć się ze słowami — pouczył sędzie.

Adwokat skłonił się, ale nie złożył broni:

— Wróblewski w najlepszej wierze natychmiast zgłosił się do milicji. Mój zarzut jednostronności śledztwa nie jest gołosłowny. Mam zaszczyt przedstawić wysokiemu sądowi dwa

dokumenty. Jeden okupacyjnych władz amerykańskich z 1946 roku, drugi z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, z Berlina. Oba te dokumenty są w pewnym miejscu identyczne. Stwierdzają one, że Richard Baumvogell, Hauptsturmführer SS poległ w lipcu 1943 roku w bitwie pod Kurskiem. Pomimo że te dokumenty były doskonale znane zarówno prokuraturze, jak i milicji, gdyż ich oryginały znajdują się w archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, nie zostały jednak dołączone do akt śledztwa.

Prokurator wyraźnie zmieszał się, zaś Kaczanowski zaklął półgłosem. Cios był tym razem celny. Niewątpliwie ten szczegół został przeoczony przez oskarżenie.

— Mam jeszcze jeden dokument, który także chyba łatwiej byłoby zdobyć oskarżeniu niż obronie. Oto on — to mówiąc mecenas Ruszyński wyjął ze swojej podniszczonej teczki dużą fotografię i złożył ją na stole sędziowskim — to jest grób Richarda Baumvogella na jednym z cmentarzy berlińskich. Na tym zdjęciu doskonale widać napis „Richard Baumvogell, Hauptsturmführer” i datę śmierci: szesnastego lipca 1943 roku.

Sędziowie z zacięciem pochyliłi się nad podanym im zdjęciem. Następnie tę fotografię przewodniczący podał prokuratorowi. Prowadząca protokół aplikantka sądowa ciekawie zerkała na wędrującą z rąk do rąk fotkę.

— Proszę wysoki sąd o włączenie do dowodów procesowych tych trzech dokumentów — Miecio Ruszyński był dumny z efektu, jaki wywołało jego wystąpienie.

— Pan prokurator? — zapytał przewodniczący.

— Nie sprzeciwiam się.

Przewodniczący chwilę szeptął ze swoim kolegą i z ławnikami, po czym ogłosił:

— Sąd przyjmuje złożone przez obronę dokumenty.

Adwokat Ruszyński znowu poprosił o głos.

— Wysoki sądzie — powiedział — w świetle zarówno urzędowych, państwowych zaświadczeń amerykańskich i niemieckich, jak również opierając się na fotografii grobu Richarda Baumvogella uważam, że obrona dostarczyła niezbitych dowodów, że były szef gestapo w Bradomsku poległ w

bitwie pod Kurskiem. A zatem nie może się znajdować dzisiaj na ławie oskarżonych. Tam siedzi Stanisław Wróblewski tragicznie wmieszany w tę sprawę wskutek błędów i jednostronności śledztwa. Dlatego też mam zaszczyt prosić wysoki sąd o odrzucenie w całości aktu oskarżenia i uniewinnienie oskarżonego. Uważam także, że dalsze prowadzenie rozprawy sądowej jest w tych warunkach bezcelowe, gdyż sprawa została wyjaśniona.

— Kategorycznie się sprzeciwiam wnioskowi obrony — zaprotestował prokurator — dowody, jakie złożył pan obrońca, świadczą jedynie o tym, że oskarżony Baumvogell bardzo zręcznie przygotował swoją dezercję z dywizji SS, w której służył. Ten człowiek orientował się, że po śmierci swojego protektora Richarda Heydricha, jego przyszłość została przesądzona. Odwołanie z Bradomska, wysłanie na front wschodni i skierowanie Hauptsturmführera na najniebezpieczniejszy odcinek tego frontu było niedwuznacznym dowodem, że wrogowie Baumvogella postanowili się go pozbyć. Nie na Łuku Kurskim, to poległby gdzie indziej. Rozumiał także, że po klęsce stalingradzkiej los wojny jest nieodwracalny. Baumvogell był zbyt mądry, aby czekać na ostateczny moment klęski. Wiedział, że wtedy nadejdzie dzień obrachunku z takimi jak on zbrodniarzami wojennymi. Pozostała mu tylko jedna droga — dezercja. Pieniądzy byłemu szefowi gestapo nie brakowało, zdobył je choćby w getcie w Bradomsku. Prócz wrogów, musiał również mieć i przyjaciół. Trzeba było zorganizować dezercję w ten sposób, aby ciągle jeszcze potężne gestapo nie szukało odstępcy. Najłatwiej to było uczynić wysyłając spod Kurska, czy z innego szpitala polowego zalutowaną trumnę do Berlina. Zaś najpewniejszym schronieniem dla dezercera znającego doskonale język polski była właśnie partyzantka. A później służba w Wojsku Polskim. Tam już gestapo nie mogło go dosięgnąć. Fotografia oficera w mundurze z odznakami Hauptsturmführera SS, w czapce z trupią główką i dwie ekspertyzy stwierdzające identyczność tej postaci z osobą oskarżonego wyjaśniają wszystko. Nie trzeba nawet sięgać po te tak liczne protokoły konfrontacji

Baumvogella z jego ofiarami. Tymi, którym udało się przeżyć. Wnoszę, wysoki sędzie, o odrzucenie wniosku obrony.

— Wysoki sędzie — replikował adwokat — fotografia, na którą się tak często powołuje pan prokurator i na której oparł cały akt oskarżenia, nie może być traktowana jako bezwzględny dowód. Nie ma żadnego potwierdzenia, że jest to rzeczywiście zdjęcie Richarda Baumvogella. Na odwrocie tego zdjęcia ktoś nieznany umieścił napis zwykłym ołówkiem „Richard Baumvogell, kat Bradomska”. Ale nawet ten nieznany autor nie był pewien swojego zdania, bo napis opatrzył znakiem zapytania. Oskarżenie nie przedstawiło żadnego innego zdjęcia Richarda Baumvogella z czasów jego pobytu w Bradomsku, służby w dywizji SS lub bodaj jakiegoś wcześniejszego zdjęcia. Cała teoria oskarżenia opiera się jedynie na tym słabo czytelnym napisie ołówkowym. Naturalnie oskarżenie z miejsca odrzuciło znajdujący się na zdjęciu znak zapytania.

— Oskarżenie — prokurator Szczypiorski znowu zabrał głos — czyniło starania dla zdobycia innych zdjęć Baumvogella. Niestety, zarówno w Berlinie, jak i w Zachodnich Niemczech zachowane tam akta byłego gestapo i formacji SS są niekompletne. Zwracaliśmy się w tej sprawie do odpowiednich władz Niemieckiej Republiki Demokratycznej, jak również do dowództwa Wojsk Amerykańskich w RFN, które posiada część tych akt. Otrzymaaliśmy odpowiedź, że jeśli chodzi o Baumvogella, takich zdjęć w tych aktach nie ma. Na żądanie sądu prokuratura złoży te pisma.

— Chciałbym zwrócić uwagę wysokiego sądu — Ruszyński nie dawał za wygraną — że w aktach sprawy, karta 387, znajduje się świadectwo oględzin oskarżonego. Świadectwo to stwierdza, że na ciele oskarżonego nie znaleziono tatuażu „SS”, jaki każdy esesman musiał posiadać. Wysoki sąd oczywiście doskonale zna akta sprawy, obowiązkiem jednak obrońcy jest zwrócenie uwagi sądu na ten szczegół.

— To samo świadectwo lekarskie — prokurator także prawie na pamięć znał zawartość dwudziestu kilku tomów akt sprawy — stwierdza, że na ciele oskarżonego jest bardzo dużo różnych blizn. Któraś z nich może być śladem po usuniętym tatuażu.

Adwokat Ruszyński jeszcze chciał przemawiać, ale przewodniczący sądu krótko oznajmił:

— Sąd udaje się na naradę dla rozpatrzenia wniosków obrony.

Po dwudziestu minutach sędziowie wrócili na salę rozpraw. Wniosek obrony został odrzucony.

Mecenas Ruszyński niezbyt przejął się przegraną pierwszej bitwy z oskarżeniem i kontynuował zadawanie pytań swojemu klientowi. Nie udało mu się jednak pobudzić pamięci oskarżonego. W swoich wyjaśnieniach powtarzał on jedynie to, co przedtem już zeznał w czasie śledztwa, lub co powiedział w czasie składania wyjaśnień. Wreszcie Miecio zrezygnował i oświadczył:

— Nie mam więcej pytań.

— Panowie? — przewodniczący spojrzął na ławników.

— Dziękujemy.

— Pan prokurator?

— Także nie mam pytań.

Wszyscy, zarówno oskarżony, jak i prokurator, obrońca i sędziowie wraz z ławnikami byli mocno zmęczeni toczącym się cały dzień procesem. Przewodniczący nie zarządził dzisiaj półgodzinnej przerwy na tradycyjną kawę w bufecie sądowym. Z ulgą też przyjęli decyzję przewodniczącego.

— Odraczam rozprawę do jutra, do godziny dziesiątej. Nastąpi przesłuchanie świadków oskarżenia. Pouczam oskarżonego, że w czasie zeznań świadków wolno mu składać dodatkowo wyjaśnienia i zadawać świadkom pytania.

Sąd opuścił salę rozpraw, milicja wyprowadziła oskarżonego. Prokurator i adwokat zbierali swoje akta. Publiczność przysłuchująca się procesowi wychodziła na korytarz, Dziennikarze biegli do telefonów, aby jak najprędzej przedyktować do swoich redakcji przebieg dzisiejszego dnia rozprawy.

Podpułkownik Janusz Kaczanowski wysunął się z sali jako jeden z pierwszych. Nie chciał nawet przypadkowo spotkać się w gmachu sądu z Mieczysławem Ruszyńskim. Obawiał się, że mogłyby go ponieść nerwy i doszłoby do jakiejś nieprzyjemnej

wymiany zdań pomiędzy obu panami, bo i Miecio nie grzeszył brakiem temperamentu i zapalczywości.

Jako ostatnia opuściła salę aplikantka adwokacka pisząca protokół. Ta dziewczyna także nie mogła narzekać na brak pracy w tym dniu.

IX

Znamię czy blizna?

Pierwszym świadkiem, który stanął przed tradycyjną „kratką”, był Józef Barański, autor wspomnień obozowych „Przeżyłem piekło i Oświęcim”. Historyk dokładnie opowiedział, jak w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku został przypadkowo aresztowany, kiedy wracał z Piotrkowa i miał przy sobie „gazetki”, tak bowiem wówczas nazywano nielegalną polską prasę. Siedział w gestapo w Bradomsku, następnie w Piotrkowie, skąd zesłano go do Oświęcimia. Był jednym z tych właśnie, których z obozu uwolniła Armia Radziecka.

— Czy świadek poznaje oskarżonego? — zapytał jeden z ławników.

— Naturalnie. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że na ławie oskarżonych zasiada Richard Baumvogell, szef gestapo w Bradomsku.

— Mam pytanie do świadka— obrońca podniósł się z miejsca.

Przewodniczący pytająco spojrział na prokuratora, który zwyczajowo ma pierwszeństwo w pytaniu swojego świadka. Ale Szczypiorski zadowolony z kategorycznych twierdzeń Barańskiego nie kwapił się z pytaniami.

— Proszę.

— Oskarżony był torturowany w gestapo w Bradomsku?— Tak, bito mnie, wieszano za ręce. Bito w pięty. Głodzono i nie dawano wody do picia. Cały normalny repertuar gestapowskiego śledztwa.

— Czy świadek może zeznać, że te tortury zadawano mu na wyraźny rozkaz Baumvogella?

— Nie.

— Czy Baumvogell był obecny przy katowaniu świadka?.

— Nie.

— Na zdjęciu w pana książce, zdjęciu, jak pan już przed’

chwilą wyjaśnił, znalezionym przez pana, widać trzech gestapowców. Pan rozpoznał Baumvogella. A ci dwaj pozostali?

— Nie znam ich.

— Widział pan ich w gestapo w Bradomsku?

— Nie.

— Jak liczna była obsada tamtego gestapo?

— Nie wiem, ale przypuszczam, że około trzydziestu ludzi, nie licząc kompanii wartowniczej.

— Jak długo był pan więziony w Bradomsku?

— Około trzech tygodni.

— Siedział pan cały czas w celi?

— Nie. Czasami kazano mi myć podłogi i sprzątać korytarze oraz inne pomieszczenia.

— A więc widywał pan kręcących się tam gestapowców?

— Widywałem.

— Baumvogella też?

— Czasami przechodził korytarzem, kiedy ja sprzątałem.

— Przyjrzał się pan mu dobrze?

— Wolałem się mu nie przyglądać. Wolałem także, aby on nie zwracał na mnie uwagi. To mogłoby się źle skończyć.

— A pomimo to bez wahania poznał pan na konfrontacji Baumvogella w oskarżonym. Jak to się stało?

— Przecież ta blizna, czy też znamię jest bardzo wyraźnej. Identyczne jak na zdjęciu. O omyłce nie może być mowy.

— Proszę się zastanowić. Czy pan poznał w czasie konfrontacji Baumvogella, szefa gestapo w Bradomsku, czy też osobę z pańskiej fotografii?

— To przecież to samo — bronił się świadek.

— A jeśli nie to samo?

— Raczej tego z fotografii.

— Widywał pan na korytarzach najrozmaitszych gestapowców. Chyba wszystkich, jacy pracowali w Bradomsku. A tych dwóch ze zdjęcia?

— Tych nie widziałem.

— Był pan w gabinecie Baumvogella?

— Na szczęście nie. W ogóle nie sprzątałem żadnych pokoi. Bito mnie i przesłuchiowano w małym pomieszczeniu w piwnicy

obok celi, w której siedziałem.

— Na zdjęciu są trzy pejczy. Widział pan te pejczy w Bradomsku? Bito pana nimi?

— Do katowania oprawcy używali stalowych prętów lub kawałków kabla. U żadnego z nich nie widziałem pejczy.

— Baumvogell chodził w mundurze?

— Zawsze widywałem go w cywilnym ubraniu. W popielatym garniturze.

— Jeszcze jedno pytanie. Pan w czasie pierwszego przesłuchania, jeszcze przez milicję, mówił o bliznie. Teraz pan używał także słowa „znamię”. Czy to milicja pouczyła pana?

— Protestuję, wysoki sędzie — sprzeciwił się prokurator.

— Uchylam to pytanie.

— Czy wtedy, w czasie okupacji, mówiło się w Bradomsku o tym, że Baumvogell ma na twarzy bliznę?

— Mówili o tym współwięźniowie. Podobno Baumvogell przechwalał się tą raną i miał za nią otrzymać Żelazny Krzyż z rąk samego Hitlera. Zresztą to czerwone znamię jest bardzo podobne do blizny po ranie szarpanej. Takiej, jak po odłamku granatu lub szrapnela. To przecież od razu widać. Trzeba być lekarzem, aby odróżnić bliznę od znamienia.

— Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Prokurator widząc, że sprawy przyjęły niezbyt korzystny obrót, pośpieszył na ratunek swojemu świadkowi.

— Gdzie się mieściło gestapo w Bradomsku?

— W budynku jednej ze szkół, zaadaptowanym na potrzeby tej instytucji.

— Duży budynek?

— Raczej średniej wielkości. W ogóle Bradomsk przed wojną nie był zbyt wielkim miastem. Na siedzibę gestapo wybrano jednopiętrowy budynek stojący w głębi, nieco odsunięty od ulicy.

— Jaki był rozkład pomieszczeń tego budynku w czasach, gdy tam urzędowało gestapo?

— Na parterze mieściły się koszary kompanii wartowniczej oraz jakieś pomieszczenia gospodarcze. Na piętrze były biura gestapo. W piwnicy areszt i salki do „przesłuchań specjalnych”.

Tak bowiem w oficjalnym języku nazywały się tortury.

— Czy byłoby możliwe, aby szef gestapo nie wiedział, że w tych piwnicach ludzie są torturowani?

— Oczywiście, że to niemożliwe. Wszyscy wiedzieli, kiedy rozpoczynają się „przesłuchania specjalne”, bo wtedy puszczano bardzo głośno jakąś wesołą muzykę, aby zagłuszyć krzyki torturowanych.

— Czy widział pan, jak z aresztu zabierano ludzi na rozstrzelanie?

— Po prostu zabierano więźnia, czy też więźniów z celi i ci ludzie więcej tam nie wracali. Słyszeliśmy tylko odjazd samochodów ciężarowych, które po paru godzinach wracały puste. W czasie mojego pobytu w areszcie dwa razy wywieziono taki transport. Sądzę, że i mnie by ten los spotkał, gdyby nie odesłano mnie do Piotrkowa na dalsze przesłuchiwanie. Tam byłem bity i torturowany jeszcze gorzej niż w Bradomsku, ale w czasie mojej obecności w piotrkowskim gestapo nikogo nie rozstrzelano, natomiast masowo wysyłani do Oświęcimia. Nie znaczy to, że w Piotrkowie było lepiej; Po prostu inna metoda wykańczania ludzi.

Następnym świadkiem był Kazimierz Wyględa, długoletni pracownik magistratu w Bradomsku. Obecnie emeryt. Na pytanie „co świadkowi wiadomo w tej sprawie?” odpowiadał opisując przebieg okupacji w Bradomsku.

— Przed wojną pracowałem w magistracie, czyli jak się teraz to nazywa, w zarządzie miasta. Ponieważ dobrze znałem język niemiecki, pozostałem na swoim stanowisku. Burmistrz i kierownicy działów byli Niemcami. Resztę urzędników skompletowano ze starych pracowników magistratu. Po zniesieniu administracji wojskowej i utworzeniu tak zwanej „Generalnej Guberni”, gdzieś w początkach 1940 roku zjawił się w Bradomsku Richard Baumvogell wraz ze swoją ekipą gestapo. Początkowo był grzeczny i łagodny. Nikogo jeszcze nie aresztowano. Przebudowywano gmach szkoły na biura i więzienie. Baumvogell kilka razy odwiedzał naszego niemieckiego burmistrza. Raz przeszedł się po wszystkich pokojach magistratu. Pozdrowiał pracujących i rozmawiał z

nami po polsku. Kiedyś w marcu mój niemiecki kierownik powiedział, że będą redukcje polskich pracowników. Tego podobno zażyczył sobie Baumvogell i zapewne wymógł to na burmistrzu. Mało się tym przejęliśmy, bo przecież nasze ówczesne pensje i tak nie wystarczały na życie. Jakiś tydzień upłynął spokojnie i nagle zaczęły się aresztowania. Wśród urzędników magistratu, niemieckiego starostwa, nauczycieli i w ogóle inteligencji bradomskiej. Co noc zabierano kilkunastu czy kilkudziesięciu ludzi. Po krótkim pobycie w piwnicy gestapo, więźniów wywożono do obozów koncentracyjnych. Nie pomagały żadne interwencje. Na nic się nie zdały starania naszego niemieckiego burmistrza i Landrata, czyli niemieckiego starosty. Mnie jakoś na szczęście te aresztowania ominęły. Tak to Baumvogell organizował „redukcję” polskiego personelu magistratu. Bardzo też szybko gestapo uzyskało zdecydowaną przewagę nad innymi urzędami niemieckimi. Baumvogell miał duże wpływy w Berlinie. Otwarcie mówiło się, że popiera go sam szef Sicherheitsdienst, Richard Heydrich. Tych hitlerowców, którzy usiłowali się przeciwstawić szefowi gestapo, Baumvogell umiał różnymi sposobami pozbywać się z Bradomska. Kilku aresztował pod zarzutem nadużyć gospodarczych, i brania łapówek od Polaków i Żydów. Brali przecież wszyscy. Oni także mieli niewiele większe pensje od naszych. Zresztą każdy z nich uważał, że przyjechał do Polski po to jedynie, aby się jak najszybciej dorobić i aby móc wysyłać paczki żywnościowe i odzieżowe do Niemiec. Nie mówię, że w ogóle nie było porządnych i uczciwych Niemców, ale w administracji okupacyjnej, w Generalnej Guberni, zebrały się wyjątkowe szumowiny. Tym łatwiej było Baumvogellowi podporządkować sobie tych ludzi.

— Pan często widywał Baumvogella? — zapytał prokurator.

— Początkowo dość często, bo przyjeżdżał do magistratu. Później, kiedy już był absolutnym panem miasta, te wizyty ustały.

— Pan poznaje Baumvogella?

— Tak. Poznałem go zarówno na konfrontacji, jak i teraz, kiedy go widzę na ławie oskarżonych. Zestarzał się, stracił tę

swoją pruską butę, ale to ten sam człowiek. Po tym znamieniu w piekle bym go poznał.

— Czy Baumvogell brał także łapówki?

— Od Polaków chyba nie. Przynajmniej nie słyszałem o takim wypadku. Wobec więźniów był tak bezwzględny i tak nas nienawidził, że raczej nie brał pieniędzy, bo za nie musiałby coś dla takiego człowieka zrobić. Natomiast było publiczną tajemnicą, że Żydzi musieli się stale okupywać gestapo. Przewodniczący gminy żydowskiej regularnie dostarczał gestapo futer, biżuterii, cennych mebli i obrazów, nie licząc już sum w okupacyjnych złotych. Nie uchroniło to zresztą Żydów przed zagładą. Część wywieziono do Piotrkowa i do Łodzi, a stamtąd do Treblinki i Oświęcimia do komór gazowych. Z około trzystu osób utworzono mały obóz i ludzi tych zatrudniano w fabrykach w Bradomsku. Ale i tych później Baumvogell rozstrzelał, chociaż Żydzi pracujący w podobnym obozie w Częstochowie przetrwali i doczekali się wyzwolenia w styczniu 1945 roku. Wiem na pewno, że zagłada tych ludzi była tylko osobistą „zasługą” Baumvogella, bo zarówno burmistrz, niemieccy zarządcy fabryk i Landrat kategorycznie się temu przeciwstawiali. Nie z miłości do Żydów, ale nie chcieli tracić rąk roboczych. Całą akcją eksterminacji ludności żydowskiej kierował osobiście Baumvogell.

— Wysoki sędzie — przerwał prokurator — o zagładzie Żydów będą mówili inni świadkowie. Dlatego nie uważam, aby świadek Wyględa, który przecież obserwował tę tragedię z boku mógł do tej sprawy wnieść coś nowego. Jak długo Baumvogell rządził Bradomskiem?

— Od początku 1940 roku aż do stycznia 1943 roku. Jego odejście z Bradomska powitane zostało przez wszystkich, włącznie z podwładnymi mu gestapowcami, z wielką ulgą. Terror wprawdzie nie ustał, bo nadal aresztowano, wywożono do obozów czy też rozstrzeliwano Polaków, ale można było wielu ludzi wyciągnąć z więzienia lub zamienić rozstrzelanie na wywóz do obozu, co dawało pewną szansę przeżycia. A Baumvogell niszczył Polaków systematycznie i bezwzględnie. Po prostu nas nienawidził. Zresztą, jak mówili inni Niemcy,

nieraz przechwalał się, że nie zostawi w mieście ani jednego człowieka, który umie coś więcej niż trochę pisać i czytać. Tylko tacy potrzebni są do pracy fizycznej, resztę należy zlikwidować.

— Czy były próby zastrzelenia go? — zapytał prokurator.

— Zbyt był ostrożny. Bradomsk to przecież małe miasto. Techniczne przygotowanie takiego zamachu było w nim znacznie trudniejsze niż na przykład w Warszawie. Nasze organizacje polityczne i wojskowe były stosunkowo słabe, bo samo miasto nie dawało ludziom możliwości schronienia. Mieliśmy przecież w Bradomsku dużo volksdeutschów. Także we wsiach istniały stare kolonie niemieckie. Jednakże nasza partyzantka była dużo silniejsza i lepiej zorganizowana niż komórki wojskowe w mieście. Obawiano się także krwawych represji na niewinnych ludziach, jakie wywołałby taki zamach. Tym bardziej zamach nieudany.

Ponieważ prokurator nie miał więcej pytań, świadka wziął w obroty mecenas Ruszyński. Zaczął od pytania:

— Pan widywał Baumvogella z bliska?

— Tak. Raz czy dwa razy w towarzystwie niemieckiego burmistrza wszedł on do pokoju, w którym urzędowałem.

— Był w mundurze?

— Nie. Po cywilnemu.

— W którym to było roku?

— W 1940. W lutym, może w marcu. Później szef gestapo nie odwiedzał magistratu. To hitlerowski burmistrz i inni urzędnicy biegali do niego.

— I pan po przeszło czterdziestu latach widząc na fotografii jakiegoś oficera gestapo w mundurze i w czapce, bezwzględnie poznał w nim Baumvogella?

— Przecież pod fotografią był napis, że to właśnie Baumvogell. Poza tym na zdjęciu wyraźnie widać bliznę.

— Bliznę czy znamię?

— Nie wiem, jaka jest różnica. Jedni mówią blizna, inni zaś znamię.

— Czy słyszał pan, że Baumvogell był ranny w czasie kampanii w Polsce?

— Tak, Niemcy to mówili. Opowiadali, że ta blizna pochodzi

od kuli czy też odłamka granatu spod Częstochowy.

— Blizna — wyjaśnił świadkowi Mieczysław Ruszyński

— to ślad, jaki pozostaje na skórze po iranie lub skaleczeniu. Znamię zaś jest deformacją tkanki skórnej, z którą się człowiek najczęściej już rodzi. Znamionami są na przykład tak zwane „myszki”. Więc świadek powiada, że widział fotografię człowieka w mundurze i że na zdjęciu był podpis informujący o zatrzymaniu przez milicję Richarda Baumvogella, szefa gestapo.

— Tak było — przyznał świadek.

— A później, jak się odbywała konfrontacja?

— Stało dziesięciu ludzi w rzędzie. Każdy miał jakąś czerwoną plamkę na twarzy. Pamiętałem, jak wygląda znamię na fotografii Baumvogella i od razu wskazałem na człowieka mającego ten znak. Poza tym, jak sobie przypominałem, istniało podobieństwo tego mężczyzny z takim Baumvogellem, jakiego zapamiętałem sprzed czterdziestu lat.

— A gdyby nie to znamię widziane na fotografii, poznałby pan dzisiaj Baumvogella?

Świadek poważnie się namyślał, wreszcie wzruszając ramionami przyznał:

— Raczej bym nie poznał. Chyba, żeby mi ktoś przypomniał o tym znamieniu. Przecież widziałem szefa gestapo kilka razy i on miał rzeczywiście czerwoną szramę na prawym policzku. Ale czy bym o tym pamiętał, nie wiem.

— Wysoki sąd widzi — stwierdził adwokat — ile są warte konfrontacje przeprowadzane przez milicję.

Z kolei przed sądem stanęła Maria Jakubiak. Powtórzyła ona, w jaki sposób zetknęła się z Richardem Baumvogellem i jaki był przebieg oraz skutek tej rozmowy. Prokurator tym razem nie stawiał żadnych pytań, za to mecenas Ruszyński był niezadowolony. Zasypał świadka gradem pytań.

— Świadek poznała Baumvogella na 'konfrontacji'?

— Tak, poznałam.

— Dzięki widzianej przed tym fotografii?

— Raczej dzięki tej szramie na policzku. Kiedy ujrzałam ludzi ustawionych w rzędzie z czerwonymi znamionami na twarzy,

przypomniał mi się Baumvogell i jego długa ciemnoczerwona blizna. Byłam nieco zdziwiona, że po tylu latach ta blizna jest ciągle tak widoczna. Z takim przypadkiem, jako pielęgniarka, nigdy się nie spotkałam. Wprawdzie ślady po ranach na skórze zawsze pozostają, ale z biegiem lat robią się one prawie niewidoczne.

— Pani ciągle mówi „blizna”, a nie „znamię”.

— Baumvogell w rozmowie ze mną wyraźnie zaznaczył, że jest to blizna po ranie, jaką odniósł na froncie. Nawet się ucieszył, kiedy go zapewniałam, że z biegiem czasu blizna będzie blednąc i stanie się niewidoczna.

— Ale zdjęcie Baumvogella opublikowane w prasie pani widziała?

— Widziałam. Trafił mi się jednak egzemplarz gazety, gdzie ta odbitka była zamazana i bardzo niewyraźna.

— Znamię było widoczne?

— Wtedy nie zwróciłam na nie uwagi. Może po prostu uważałam to za plamkę na papierze wywołaną złym drukiem, czy też złą, zalewającą farbą. To w naszych dziennikach często się zdarza. Dopiero w czasie konfrontacji przypomniałam sobie o tej bliźnie.

— Pamięta pani, jak wyglądał gabinet Baumvogella?

— Trudno mi go opisać. Byłam wtedy bardzo zdenerwowana i drżałam o losy męża. Był to jednak duży pokój o dwóch oknach. W głębi stało biurko, na nim dwa lub trzy aparaty telefoniczne. Stały tam także jakieś kwiaty. Za biurkiem chyba fotel z wysokim oparciem. Przed biurkiem dwa krzesła. Na środku pokoju duży, barwny dywan. Ten dywan poznałam. Widywałam go w willi doktora Goldsztajna, gdzie nieraz jako pielęgniarka byłam przez lekarza wzywana do pomocy w różnych zabiegach. Doktor Goldsztajn był znakomitym lekarzem i miał prywatną praktykę. Uchodził za jednego z najbogatszych mieszkańców Bradomska. Kiedy go zabrano do getta, jego willę zajął niemiecki starosta. Jeszcze przed tym gestapo wywiozło z niej co najcenniejsze meble i urządzenia.

— Syn doktora Goldsztajna — wyjaśnił prokurator — został wezwany na świadka w tej sprawie i będzie zeznawał.

— Pamiętam także — ciągnęła dalej Maria Jakubiak — że na ścianie pomiędzy oknami wisiał portret Hitlera. To nie była zwykła fotografia, ale duży obraz olejny w ciężkich dębowych ramach. W rogu pokoju stał okrągły mahoniowy stół i przy nim trzy skórą obite fotele. Za tym właśnie stołem siedzieliśmy wtedy z Baumvogellem.

Mecenas Ruszyński wyjął z teczek dużą odbitkę słynnej już na cały kraj fotografii. Taką samą odbitkę, jaką miał prokurator i jaka znajdowała się w aktach sprawy. Podał ją świadkowi.

Czy to ten sam gabinet? — zapytał — Czy też pani widzi jakieś różnice?

— Trudno mi powiedzieć — pani Jakubiak wpatrywała się w podane jej zdjęcie — przecież wtedy umeblowanie gabinetu Baumvogella było dla mnie najmniej ważne. Poza tym na zdjęciu widać jedynie fragment pokoju. Jeśli jednak chodzi o różnice, to na biurku nie ma ani jednego aparatu telefonicznego, a w pokoju dywanu.

— Czy poznaje pani biurko?

— Nie mogę powiedzieć. Portret Hitlera także jest inny. Tamten był większy. Ten tutaj, to zwykła fotografia, którą Niemcy wieszali w każdym biurze. Poza tym tamten portret wisiał pomiędzy oknami, a ten na ścianie za biurkiem.

— Wysoki sędzie — przerwał prokurator Szczypiorski — wydaje mi się, że obrona swoimi pytaniami niepotrzebnie! przedłuża rozprawę. Oskarżenie nigdy nie twierdziło, że zdjęcie przedstawia właśnie gabinet Baumvogella, a nie jakiś inny pokój w pomieszczeniu gestapo w Bradomsku. To może być pokój w Piotrkowie lub w Częstochowie, a nawet w Berlinie, gdzie przecież szef gestapo był często wzywany przez swojego przyjaciela i protektora Richarda Heydricha. To dla sprawy jest rzeczą obojętną. Najważniejsze natomiast, że na tym zdjęciu widać oskarżonego w mundurze z odznakami Hauptsturmführera SS i że tym człowiekiem jest Richard Baumvogell. Reszta nie ma znaczenia.

— Moje pytania zmierzają do wykazania, że to zdjęcie nie przedstawia ani gabinetu Baumvogella w Bradomsku — wyjaśnił adwokat — ani też samego Baumvogella. Jest po

prostu jakąś nieznaną fotografią, która dziwnym trafem zaplątała się w archiwach Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Cały akt oskarżenia zbudowany wyłącznie na tej fotografii i na jakże wątpliwych, wysoki sąd to słyszał przed chwilą, konfrontacjach, w ogóle jest bezzasadny.

— Nie ulega wątpliwości — replikował prokurator — że osoba na zdjęciu i człowiek - siedzący na ławie oskarżenia to ta sama postać. Potwierdziło ten fakt badanie dokonane w Krakowie, właśnie na wniosek obrony. A co do tych, jak obrona mówi, dziwnych konfrontacji, także jest faktem, że na sześćdziesiąt osiem osób tylko cztery nie miały pewności, że okazywany im osobnik jest Richardem Baumvogellem.

— Przeczytałem protokoły tych konfrontacji. Nie zarzucam złej woli śledztwu. Stwierdzam jednak, że prawie wszystkie te osoby powiedziały to samo, co przed chwileczką świadek Marta Jakubiak. Poznawały rzekomego Baumvogella po „bliźnie”, podkreślam „po bliźnie”. Wszyscy w Bradomsku wiedzieli, że szef gestapo miał bliznę po ranie odniesionej w walkach wrześniowych. Ta blizna mogła być podobna do znamienia, jakie ma oskarżony. Nikt tej bliźnie nie przyglądał się z bliska. Nikt dzisiaj, po czterdziestu latach, nie może twierdzić, że tamten znak jest identyczny ze znamieniem, którym los obdarzył człowieka niesłusznie posadzonego na ławie oskarżonych.

— Pan mecenas zapomina o dwóch ekspertyzach — zauważył z przekąsem prokurator.

— Nie zapominam, lecz neguję ich wyniki. Proszę mi najpierw dowieść, że nie ma dwóch ludzi o identycznych czaszkach.

— I czerwonych znamionach na prawym policzku?

— Tamta blizna, gdyby Baumvogell żył do dnia dzisiejszego, a nie spoczywał na berlińskim cmentarzu, byłaby dawno już niewidoczna.

— Zarówno oskarżenie, jak i obrona — zdecydował przewodniczący — będą mieli możliwość wypowiadać swoje argumenty w dalszym przebiegu procesu. A na razie zamykam dzisiejszą sesję i odraczam rozprawę do jutra.

X

Dzień zagłady

— Proszę wezwać świadka Henryka Goldsztajna — zarządził przewodniczący kompletu sędziowskiego po wznowieniu rozprawy.

Przed sądem stanął szpakowaty mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Wyjaśnił, że jest z zawodu lekarzem. Mieszka w Opolu, gdzie jest ordynatorem w jednym z tamtejszych szpitali. Pochodzi z Bradomska. Tam się urodził i tam jego ojciec, Dawid Goldsztajn, był także lekarzem.

— Po wkroczeniu hitlerowców do Bradomska — wyjaśniał świadek — początkowo kazano Żydom nosić opaski z gwiazdą Dawida. Często hitlerowcy łapali przechodzących Żydów i gnali ich do fizycznej pracy. Przy takiej okazji upokarzano tych ludzi na różne sposoby. Pewnego razu znalazłem się wśród złapanych. Miałem wówczas piętnaście lat. Wyładowywaliśmy na rampie kolejowej jakieś skrzynie. Bardzo ciężkie. Pilnujący nas żołnierze bili ludzi kolbami, straszili rozstrzeliwaniem, a po skończonym rozładunku kazali nam się gimnastykować na placu przed rampą kolejową. Cała gimnastyka polegała na padaniu na rozkaz w błoto i pelzaniu w tym błocie. Później uczono nas piosenki, z której do dzisiaj zapamiętałem słowa „...dopiero Hitler złoty, nauczył Żydków roboty...” Były to szykany, ale poważniejszych represji jeszcze nie było. Ojciec pracował jak dawniej w szpitalu i-nawet przyjmował w domu prywatnych pacjentów.

— W którym roku to było? — zapytał prokurator.

— To był 1939 rok i początek 1940 roku. Ale już wtedy kilka razy wpadali do willi ojca gestapowcy i pod pozorem rewizji lub bez pozoru, rabowali, co im w ręce wpadło. Między innymi zabrali wiele cennych mebli i dywany.

— Czy to Baumvogell rabował te rzeczy?

— Widziałem wtedy człowieka z blizną na twarzy, o którym

później mówiono, że jest szefem gestapo. Zjawił się on w naszym domu przy pierwszym najściu na ten dom hitlerowców. Wtedy niczego nie zrabowano. Baumvogell przeszedł się po pokojach, zamienił kilka słów z ojcem i matką, po czym wraz ze swoim orszakiem opuścił naszą willę. W dwa dni później podjechała ciężarówka i gestapo zabrało całe umeblowanie gabinetu ojca, meble z salonu i wszystkie dywany. Wywieziono także kilka obrazów. Wyłącznie te najcenniejsze, wśród nich były między innymi pejzaż Józefa Brandta, jakiś portret malowany przez Gieryskiego, obrazy Malczewskiego i Rapackiego. Zrabowano akwarele Fałata i Nehringa.

— Ojciec świadka był zamożnym człowiekiem?

— Tak. Miał prywatną praktykę i otrzymał spory spadek po rodzicach.

— Czy wśród zrabowanych mebli było biurko i fotel z wysokim oparciem oraz mahoniowy stół z trzema fotelami obitymi skórą?

— Tak. Mówiono nam, że te meble zdobiły gabinet Baumvogella. Co do obrazów, podobno wysłał je w prezencie swojemu protektorowi, Heydrichowi. Później jeszcze kilkakrotnie gestapo odwiedzało naszą willę, która w ten sposób stawała się coraz przestronniejsza. Wreszcie, kiedy w kwietniu czy też w maju utworzono w Bradomsku Dzielnicę Żydowską kazano nam w ciągu godziny opróżnić nasz dom. Wkrótce zamieszkał tam niemiecki starosta. On z kolei naszą willę meblował rzeczami zrabowanymi u innych Żydów.

— Co było dalej?

— Getto w Bradomsku istniało stosunkowo bardzo krótko. Jego mieszkańców zaczęto wywozić najpierw do Piotrkowa, a później do Łodzi. Tam też zabrano moich rodziców i dwie młodsze siostry. Więcej już ich nigdy nie ujrzałem. Zginęli w komorach gazowych w Oświęcimiu. Przed likwidacją getta niemieccy komisaryczni dyrektorzy dwóch fabryk mebli wybrali trzysta osób do roboty w tych fabrykach. Około dwustu mężczyzn i sto młodych dziewcząt. Ponieważ byłem wysportowanym i nad wiek wyrośniętym chłopcem, trafiłem do tej grupy. Na terenie fabryk postawiono baraki otoczone

drutem kolczastym. Tam mieszkaliśmy. Co rano pędzono nas do roboty. Żywiono nędznie. Zupa z pokrzyw, brukiew i chleb z trocin. Gdyby nie pomoc polskich robotników, z którymi razem pracowaliśmy, nikt by długo nie wyżył. Dzięki jednak takiemu dożywianiu, jakoś dotrwaliśmy do jesieni 1942 roku.

— Do ostatecznej likwidacji Żydów w Bradomsku? — zapytał prokurator.

— Pracowałem w kotłowni. Byłem pomocnikiem palacza. Pewnego dnia mój przełożony przybiegł do kotłowni i powiedział, że gestapo otoczyło całą fabrykę i zabiera wszystkich Żydów. Wtedy już wiedzieliśmy, co znaczą takie aresztowania i co to jest Oświęcim, Treblinka i inne obozy zagłady. W naszej kotłowni znajdowały się trzy piece. Jeden z nich był zawsze nieczynny. Mój palacz kazał mi wejść do paleniska i zamknął kocioł. Przez trzy dni ukrywałem się w (ten sposób. Wtedy także dowiedziałem się, że resztę moich towarzyszy wywieziono na znajdujący się nieco za miastem żydowski cmentarz i tam rozstrzelano. Czwartego dnia mój palacz został na nocną zmianę. Po północy wyprowadził mnie z hali fabrycznej. Było ciemno, padał deszcz ze śniegiem. Dopełzłem do muru otaczającego fabrykę, udało mi się przeleźć przez mur. Mój opiekun przechowywał mnie jeszcze kilka dni w swoim małym domku stojącym na skraju miasta, zaopatrzył w żywność i pieniądze. On też skierował mnie do swoich krewnych w Rzeszowskiem, gdzie wystarano mi się o fałszywe papiery i pracę salowego na oddziale zakaźnym w szpitalu. Tam 'hitlerowcy w obawie przed tyfusem bali się zagładać. Dzięki temu jakoś udało mi się przeżyć.

— A ta willa i zrabowane meble?

— Niczego nie odzyskałem. Landrait uciekając przed wojskami radzieckimi, które nagłym wypadem czołgów zajęły Bradomsk w styczniu 1945 roku, zdążył uprzednio co cenniejsze wysłać do Rzeszy, zaś sam budynek podpalić. Meble z gestapo podobno jeszcze sam Baumvogell wywiózł, zanim go zdjęto ze stanowiska. Zresztą nie znam dokładnie przebiegu tych zdarzeń, bo nie było mnie wtedy w Bradomsku. Po wojnie dokończyłem przerwana naukę, zdałem maturę i skończyłem

Akademii Medycznej we Wrocławiu. Od tamtej pory mieszkam w Opolu. Obecnie z Bradomskiem nic mnie nie łączy prócz koszmarnych wspomnień czasów okupacji.

— Czy świadek był konfrontowany z Richardem Baumvogellem? — zapytał prokurator.

— Nie.

— A świadek poznaje w osobie siedzącej na ławie oskarżonych tegoż Baumvogella?

Lekarz spoglądał uważnie na oskarżonego.

— Widziałem raz w życiu Baumvogella z bliska. Wtedy, kiedy „złożył wizytę” w naszym domu. Ale i wówczas przecież nie przyglądałem mu się natarczywie. Byliśmy przerażeni najściem gestapo. Toteż nie mogę kategorycznie stwierdzić, że to ten sam człowiek, chociaż istnieje duże podobieństwo pomiędzy oskarżonym, a tamtym mężczyzną.

— Podobieństwo wywołane tą czerwoną blizną? — zapytał adwokat Ruszyński.

— Nie. Ja w ogóle tej blizny wówczas u Baumvogella nie widziałem. Może stałem z lewej strony, może po prostu nie zauważyłem tego znaku. Zresztą większą uwagę zwracaliśmy na gestapowców w mundurach. Ich bardziej się baliśmy niż tego grzecznego, spokojnego człowieka w szarym garniturze. Nie wiedzieliśmy, że to jest sam szef. Raczej, ponieważ bezbłędnie mówił po polsku, braliśmy go za tłumacza. Dopiero później wyjaśniono nam, że tym cywilem był Richard Baumvogell. Dopatruję się podobieństwa do tamtego człowieka w kształcie głowy, tych bardzo jasnych, niebieskich, jak gdyby wypłowiałych oczach i w charakterystycznie wysuniętym w przód podbródku. Ale jeszcze raz zaznaczam, widziałem Baumvogella krótko przed czterdziestu laty. A pamięć ludzka jest zawodna.

Adwokat Ruszyński nie ukrywał zadowolenia z takiej odpowiedzi świadka. Z kolei prokurator zadał Henrykowi Goldsztajnowi następne pytanie:

— Pan jest lekarzem. Czy zetknął się pan lub choćby słyszał, że mogą być dwaj ludzie o identycznej budowie czaszki i o identycznych znamionach na policzku?

— Uważam to za niemożliwe. Jeszcze mógłbym się zgodzić na identyczne lub prawie identyczne znamiona, ale dwie takie same czaszki, to wykluczone. Nigdy o podobnym wypadku nie słyszałem ani nie zetknąłem się z takim opisem w literaturze fachowej. Byłby to przecież ewenement na skalę światową. Ale zaznaczam — doktor wykazał i tutaj ostrożność — nie jestem uczonym anatomem, lecz zwykłym lekarzem, chirurgiem ortopedą.

— Na świecie żyje w przybliżeniu cztery i pół miliarda ludzi — adwokat próbował ratować sytuację — czy naprawdę nie może być dwóch sobowtórów?

— Tak zwane sobowtóry, to osobnicy — wyjaśnił lekarz — o bardzo zbliżonym wyrazie twarzy. Przy szczegółowym badaniu anatomicznym każdy lekarz bez trudu odkryje zasadnicze różnice. Nawet bliźnięta jednojajowe mają nieco odmienną budowę czaszki, całego układu kostnego, różniące się Unie papilarne palców, niejednakowe wymiary kończyn oraz wiele innych odrębnych cech organicznych.

Adwokat Ruszyński znowu sięgnął po leżącą przed nim fotografię.

— Pan to zna?

— Naturalnie.

— Skąd?

— Już przy pierwszym przesłuchaniu milicja pokazała mi to zdjęcie i poinformowała, skąd pochodzi.

— No tak — mruknął adwokat — pokazuje się zdjęcia, a potem robi konfrontacje.

— Proszę się trzymać faktów — pouczył przewodniczący sądu — świadek przed chwilą zeznał, że nie był konfrontowany z oskarżonym.

— Poznaje pan ten pokój?

— Nie. Nigdy nie byłem w gestapo w Bradomsku, ani na szczęście, w żadnym innym gestapo. Tylko dlatego mogę dziś stać przed wysokim sądem.

— A może to pokój w waszej willi?

— Nie. Na pewno nie.

— A te meble? Biurko i ten fotel?

Świadek wziął fotografię w rękę i długo się jej przyglądał.

— Nie. Wprawdzie w ojca gabinecie stało piękne biurko, które zaraz po pierwszym najeździe gestapowców na nasz dom, zostało nam zabrane, ale tamto biurko było zupełnie inne niż mebel na fotografii. Co do fotela, trudno mi coś powiedzieć, bo na zdjęciu widać tylko jego mały fragment. Raczej także nie pochodzi z naszej willi.

— Tam widać kryształowy wazon z konwaliami. Bardzo charakterystyczny w kształcie kryształ.

— Nie mieliśmy takiego kryształu — zaprzeczył Henryk Goldsztajn.

— Czy z zagłady, wtedy w 1942 roku, nikt poza świadkiem nie ocalał?

— Nie wiem i nie słyszałem, aby jeszcze do kogoś przeznaczenie tak się uśmiechnęło. Gestapo przeprowadziło swój nalot tak nagle i tak dokładnie, że chyba nikt nie miał ani czasu, ani możliwości ucieczki. Ja ocalałem jedynie dlatego, że gestapo nie wiedziało, iż któregoś z Żydów zatrudniono w kotłowni odizolowanej od reszty zabudowań fabrycznych.

Dlatego tam się zjawili nieco później, kiedy już siedziałem zamknięty w palenisku kotła. Ten człowiek, który mnie tam zamknął, ryzykował życie swoje i swoich najbliższych. Do dziś dnia gnębi mnie myśl, że nie mogłem nigdy odwdzińczyć się jemu za jego szlachetność. Kiedy wróciłem do Bradomska, aby go odszukać, już nie żył.

— Hitlerowcy go zamordowali? — zapytał przewodniczący.

— Pijany kierowca wpadł na jego motocykl i zabił go na miejscu. W 1953 roku.

— Czy pan prokurator ma jakieś pytania dla świadka?

— Dziękuję, nie.

— Obrona?

— Nie mam.

— Jeszcze raz pouczam oskarżonego, że ma także prawo zadawania pytań.

Stanisław Wróblewski wstał z miejsca.

— Wysoki Sądzie — powiedział — wysłuchałem zeznań świadka Henryka Goldsztajna z równym przerażeniem i takim

samym współczuciem jak zapewne wysoki sąd, pan prokurator i wszyscy obecni na tej sali. Te wstrząsające zeznania jednak mnie nie dotyczą. Nie jestem bowiem Richardem Baumvogellem, ale Stanisławem Wróblewskim. Sprawy zachowania się Baumvogella w Bradomsku i w ogóle cały okres okupacji hitlerowskiej w Bradomsku mnie nie dotyczą. Nie mam żadnych pytań do żadnego ze świadków z tamtego miasta. Niestety, ani oskarżenie, ani mój obrońca nie potrafili znaleźć innych świadków. Jestem zdany wyłącznie na sprawiedliwość sądu i wierzę w nią.

— Wobec braku pytań — zdecydował przewodniczący — świadek jest wolny. Jeśli świadek chce, może zająć miejsce na sali.

Doktor Goldsztajn obejrzał się za siebie. Miejsca na sali były zajęte. Nie było najmniejszej możliwości, aby choćby przycupnąć na skraju ławki.

— Jeśli wysoki sąd pozwoli — odrzekł lekarz — chciałbym jak najprędzej wrócić do Opoła. W szpitalu chorzy czekają na mnie.

Przewodniczący zapytał o coś swojego kolegę z kompletu sądującego, a później pytająco spojrzął na prokuratora, który lekko kiwnął głową. Także mecenas Ruszyński zrozumiał, o co chodzi wysokiemu sądowi i potwierdził to ruchem ręki.

— Dalsza obecność świadka na rozprawie nie jest konieczna — zwrócił się sędzia do lekarza. — A teraz proszę wezwać Adama Leśniaka.

Świadek prowadzący obecnie stację benzynową, w czasie okupacji pracował jako robotnik w magistrackim zakładzie oczyszczania miasta. Opowiadał, że gdzieś w drugiej połowie 1942 roku hitlerowcy polecieli, aby śmieci wywozić na cmentarz żydowski znajdujący się za granicami miasta. Na cmentarzu trzeba było kopać długie rowy, w które zwalano śmieci. Pod koniec września tamtego roku robotnicy otrzymali polecenie wykopania dołu znacznie większego i głębszego niż czynili to zwykle. W czasie tej pracy na cmentarz zajeżdżał samochód z oficerami gestapo, którzy osobiście sprawdzali rozmiary dołu. Wśród gestapowców był także i Baumvogell. Świadek Leśniak

kilka razy widział tego esesmana przejeżdżającego ulicami Bradomska swoim wielkim horchem. Tym razem Baumvogell był w czarnym, skórzanym płaszczu, jaki nosili oficerowie gestapo, ale na głowie miał zwykły kapelusz, a nie czapkę z trupa główką. Ponieważ w mieście wiadano, że Baumvogell wtrąca się do wszystkiego cokolwiek w Bradomsku się działo, ta wizyta na cmentarzu nie wzbudziła większego zaciekawienia lub przerażenia. Gestapowiec kazał wykonywany rów bardziej pogłębić. A w parę dni później — zakończył swoje zeznania świadek — przywieziono tam Żydów, wszystkich rozstrzelano i pochowano w tym rowie.

Adam Leśniak także był konfrontowany z oskarżonym, jednakże nie potrafił go odróżnić od innych mężczyzn stojących obok niego. W czasie okupacji świadek widywał szefa gestapo tylko wówczas, kiedy on przejeżdżał przez Bradomsko. Nigdy nie zdołał zauważyć, czy Baumvogell miał na twarzy jakieś znamię. Zdjęcie publikowane w prasie świadek widział, ale nie zwrócił na nie większej uwagi. Zresztą zdjęcie było niewyraźne. Dużo lepszych odbitek, jakie były zamieszczone w różnych tygodnikach, Leśniak nie oglądał.

— Jak głęboki był ten rów? — zapytał prokurator.

— Myśmy kopali te rowy w tej części cmentarza, gdzie nie było grobów. W głębi, na górcie, pod samym murem z czerwonej cegły. Zazwyczaj kopaliśmy na metr głęboko i tam zwałało się śmieci, które później przykrywało się ziemią wydobytą z rowu. Powstawały długie kopce. W podobnych chłopci dołują ziemniaki. Tym razem kazano nam kopać dwa razy głębiej, zaś Baumvogell polecił dodatkowo wybrać ziemię na dwa szpadle.

— Kto kazał kopać ten rów?

— Tak jak i poprzednie, polecił nam to kierownik Wrześniewski. On zaś dostawał rozkazy bezpośrednio od Niemców.

— Czy domyślaliście się, że kopiecie mogiłę dla ludzi?

— Nawet nam to przez myśl nie przeszło. Hitlerowcy rozstrzeliwali ludzi w lesie nad Wartą. Niedaleko mostu i szosy prowadzącej do Częstochowy. Żydowski cmentarz był czynny

do końca wywożenia Żydów do Łodzi. Później także chowano tutaj tych, którzy umarli w obozie przy fabryce mebli.

Z kolei składał zeznania Waclaw Jezierski, gospodarz ze wsi Gosławice pod Bradomskiem.

— W październiku, zaraz na samym początku miesiąca — opowiadał świadek — przyszedł do nas sołtys i powiedział, że Niemcy kazali na jutro rano dostarczyć dziesięć podwód do wyładunku wapna z rampy kolejowej w Bradomsku. Sołtys wyznaczył także i ojca, bo mieliśmy dwa konie. Gdyby Niemcy zabrali nam jednego konia, co się często zdarzało, w gospodarstwie pozostałby drugi. Podwozy miały się stawić na godzinę szóstą rano na stacji. Miałem wtedy osiemnaście lat. Byłem najstarszym z czworga rodzeństwa. Ojcu było po pięćdziesiątce i ostatnio często chorował. Matka postanowiła, że to ja pojedę furmanką do Bradomska.' Sołtys wprawdzie zapewniał, że Niemcy mu obiecywali, iż wszyscy po skończonej robocie jeszcze tego samego dnia wrócą do domu, ale im nie można było wierzyć. Zabierali człowieka do jakiejś roboty, a potem przychodziło zawiadomienie z Oświęcimia o jego śmierci. Słuszniej było, aby ojciec pozostał w domu, niż ja młody. Matka sama nie dałaby rady prowadzić gospodarstwo i wychowywać troje małych dzieci.

— Proszę mówić dalej — polecił przewodniczący.

— Pojechałem. Razem z innymi. Było tak, jak kazano. Stawiło się dziesięć furmanek.

— Wszystkie z Gosławic?

— Z samej wsi i z kolonii położonych pod wsią. Kiedy przyjechaliśmy na stację kolejową w Bradomsku, przy rampie stał już wagon z wapnem. Koło niego kilku Niemców w mundurach z trupimi główkami na czapkach. Jak podjechał pociąg osobowy z Częstochowy, „czarni” złapali kilkunastu mężczyzn i kazali im rozładować wagon. Obiecywali, że jak wapno znajdzie się na furmankach, wszyscy zostaną zwolnieni. Robota więc szła szybko.

— „Czarni” czyli Bahnschutz? — zapytał jeden z ławników.

— Tak. Taka niemiecka straż kolejowa. Oni najwięcej rabowali ludziom żywność.

— Wtedy zwolnili tych ludzi?

— Puścili wolno. Ale zabrali wszystkie paczki. I tak każdy był zadowolony, że się tylko tym skończyło, bo mogło być gorzej. Nieraz tacy złapani wędrowali do obozu. Zdarzało się też, że za zabicie swojego wieprza chłop został rozstrzelany.

— A co z podwodami?

— Po załadowaniu furmanek na każdą z nich wsiadł Niemiec. Kazali nam jechać na żydowski cmentarz. Tam ustawiono nas w głębi, pod murem. Z boku widzieliśmy długi głęboki rów. Byliśmy przerażeni. Przekonani, że teraz nas zastrzelą i wrzucą do tego rowu. Żołnierze, którzy z nami jechali, mówili, aby się nie bać. Pocieszali, że wrócimy jeszcze dzisiaj do domu. Czekaliśmy ze trzy godziny. Około południa podjechało kilka samochodów z żołnierzami i osobowe z oficerami.

— Czy wszyscy mieli trupie główki na czapkach?

— Tak. To byli gestapowcy z Bradomska. Dowodził nimi wysoki oficer w skórzanym płaszczu. Obejrzał dokładnie rów, podszedł do naszych furmanek i sprawdzał, ile wapna przywieźliśmy. Do paru z nas zagadał po polsku, a nawet poczęstował papierosami.

— Czy u tego oficera świadek widział jakiś znak szczególny?

— zapytał prokurator.

— Tak. Miał na policzku jakby stare rozcięcie, lekko czerwone.

— Czy takie samo jak na twarzy oskarżonego? — zapytał prokurator. — Proszę się przyjrzeć.

— Może takie samo — świadek ostrożnie sformułował odpowiedź — myśmy wszyscy bardzo się bali i nikt się Niemcom dokładnie nie przyglądał. Wydaje mi się jednak, że nie takie wyraźne i nie tak czerwone.

— Proszę zeznawać dalej — polecił przewodniczący.

— Żołnierze ustawili przed tym rowem karabin maszynowy. Cały teren cmentarza został obstawiony. Nam kazano siedzieć na furmankach i nie ruszać się. Niedługo potem zajechały na cmentarz dwa samochody ciężarowe, z których wyładowano Żydów. Mężczyzn i kobiety. To byli młodzi ludzie, a wśród nich więcej mężczyzn. Ustawiono ich na skraju rowu i rozstrzelano z

karabinu maszynowego. Potem gestapowcy dobijali ich z rozpylaczy. Nigdy nie zapomnę tego straszego widoku. Kto nie wpadł do rowu, tego ciało butami spychano do dołu.

— Kto kierował egzekucją?

— Rozkazy wydawał ten wysoki oficer ze szramą. On też kazał, aby dwie furmanki podjechały pod samą krawędź grobu i żebyśmy zrzucali na leżące ciała to wapno, które przywieźliśmy z Bradomska. Ludzie ze strachu o własne życie musieli to robić. Ja sam też pracowałem wtedy łopata. A ten oficer sprawdzał, czy wapno jest dobrze rozrzucone i czy przykryło wszystkie zwłoki. Ciężarówki odjechały puste i za niecałą godzinę wróciły z nowym transportem. Straszna scena rozstrzeliwania ludzi powtórzyła się. Znowu ten oficer kazał podjeżdżać naszym furmankom i sypać wapno na zwłoki. Pięć razy samochody obracały i przywoziły nowe ofiary. Nawet niektórzy żołnierze mieli dosyć tej makabry i ukradkiem pili wódkę. Z naszych to Franek Przewoźniak dwa razy zemdlał. My reszta, byliśmy ledwie żywi. Kiedy zakończono tę masową egzekucję, nam kazano zasypać grób piaskiem. Na ten piach musieliśmy także narzucać sterty gałęzi i ściętych młodych drzewek, które rosły pod murem cmentarza. Część żołnierzy odjechała, ale część wraz z tym oficerem, który nimi dowodził, zostali aż do końca naszej roboty. Robiło się już ciemno, gdy pozwolono nam odjechać do Gosławic. Dowódca mówiący po polsku powiedział, że dobrze pracowaliśmy i nazajutrz mamy przyjechać do miasta, do niego do biura, to wtedy nam wypłaci po sto złotych za dniówkę. Ja tak byłem szczęśliwy, że uszedłem z życiem i po te judaszowskie pieniądze nie zgłosiłem się. O ile wiem, nikt z naszych do miasta nie pojechał.

— Oficer, który dowodził akcją, był w mundurze? — zapytał prokurator.

— Był w skórzanym płaszczu, długich butach z cholewami i w czapce z trupią główką. Mówił po polsku jak każdy z nas, ale trochę twardziej. Tak, jak mówią Ślązacy.

— Widzieliście go z bliska?

— Stał przy mojej furmance i poganiał, abym równo rozrzucał wapno na zabitych. Był bliżej niż pan prokurator.

— Miał jakiś znak szczególny?

— Takie zacięcie na policzku.

— Czerwone?

— Protestuję — sprzeciwił się adwokat — w pytaniu pana prokuratora jest od razu zawarta odpowiedź. Świadek sam powinien opisać wygląd i kolor tego zacięcia.

— Zwracam uwagę panu prokuratorowi — interweniował sędzia przewodniczący.

— Świadek był konfrontowany z oskarżonym? — zapytał jeden z ławników.

— Byłem.

— Świadek poznał w oskarżonym tego oficera z egzekucji?

— Poznałem.

— Po czym?

— Już przed tym mówiono w mieście, że Baumvogella złapali i przywieźli do nas. Ci, którzy go oglądali przede mną, opowiadali, że poznali go po tej czerwonej bliźnie na prawym policzku. Kiedy ujrzałem w rzędzie takiego mężczyznę z czerwoną krechą, stwierdziłem, że jest on podobny do tamtego gestapowca. Tamten miał także takie oczy rozwodnione na niebiesko.

— A fotografię tego gestapowca publikowaną w prasie świadek widział? — zapytał adwokat.

— Ja prenumeruję tylko tygodniki rolnicze. Tam tej fotografii nie było. Dopiero po konfrontacji jeden znajomek pokazał mi to zdjęcie w gazecie, którą sobie schował.

Mieczysław Ruszyński podał świadkowi swoją odbitkę zdjęcia znajdującego się w aktach.

— Ta fotografia jest chyba lepsza? — zapytał.

— Dużo lepsza, panie mecenasie.

— Świadek nie rozmawia z adwokatem, lecz jest przesłuchiwany przez sąd — przewodniczący zwrócił uwagę Wacławowi Jezierskiemu.

— Lepsza, wysoki sędzie.

— Ten oficer podobny jest do tamtego z cmentarza?

— Podobieństwo jest. I ta krecha na policzku. Tę tutaj lepiej widać.

— Czy świadek przypomina sobie — znowu zapytał adwokat — tych dwóch pozostałych gestapowców? Widział pan ich wtedy na cmentarzu, w czasie egzekucji?

— Nie. Tamtych bandytów do końca życia będę pamiętał — zapewnił Jezierski — ale tych dwóch tam nie było.

— A nie wie świadek, kim jest ten więzień?

— Tego to gdzieś widywałem, ale gdzie? Nie wiem.

— Niech sobie świadek to przypomni.

— Twarz znajoma.

— Świadek go już widział po wojnie?

— Nie umiem tego powiedzieć. Wiem, że widziałem tego człowieka. Nie przypominam sobie jednak gdzie i kiedy to mogło być.

— To ktoś z miasta czy ze wsi?

— Z naszej wsi na pewno nie. Z Bradomska chyba także. Tam się na ogół wszystkich zna. Jeżeli nie po nazwisku, to chociaż z widzenia.

Przez następne cztery dni rozprawy, przed sądem przesunęło się przeszło dwudziestu świadków oskarżenia. Ich zeznania nie wniosły do sprawy żadnych nowych elementów. Jedyne potwierdzały zarzuty aktu oskarżenia. Wszyscy ci świadkowie przez pewien czas mieszkali w czasie okupacji w Bradomsku. Widywali tam Baumvogella. Niektórzy z nich byli aresztowani i torturowani w areszcie gestapo, skąd zesłano ich do obozów koncentracyjnych. Inni mieli ofiary terroru Baumvogella wśród swoich najbliższych. Stracili mężów, ojców, bądź dzieci. Opisywali szczegółowo krzywdy, jakie ich spotkały. Za najmniejsze wykroczenie przeciwko drakońskim hitlerowskim zarządzeniom, Baumvogell stosował wyłącznie dwie kary: rozstrzelanie lub obóz koncentracyjny.

Prokurator zyskał solidną podbudowę aktu oskarżenia. Obronie wielokrotnie udawało się podważyć wyniki przeprowadzanych konfrontacji świadków z oskarżonym. Jednakże tak dobry adwokat, jakim był Mieczysław Ruszyński, doskonale rozumiał, że jego małe sukcesiki nie znaczą zbyt wiele w oczach sędziów i ławników. Pomimo wysiłków mecenasu jeden fakt był w tej sprawie bezsporny. Oficer gestapo na fotografii był tym

samym człowiekiem, który za siadał na ławie oskarżonych. Toteż dla Ruszyńskiego było rzeczą jasną, że w tym procesie obrona ma do wygrania jedynie wysokość kary, jaką sąd wymierzy oskarżonemu.

Sam Stanisław Wróblewski czy raczej Richard Baumvogell pozornie nie brał udziału w rozprawie. Siedział prawie bez ruchu, zdawało się, że nie słucha zeznań świadków. Nigdy nie zadawał im pytań. Tylko od czasu do czasu wstawał i stwierdzał: — Nie jestem Richardem Baumvogellem, nigdy nie byłem w Bradomsku.

XI

O Baumvogellu inaczej

Długa lista świadków oskarżenia została wreszcie wyczerpana. Z kolei przed sądem stanęła pierwsza z nielicznych osób powołanych przez obronę. Był nim dyrektor Państwowego Gospodarstwa Rolnego spod Legnicy, Tomasz Samieński.

— Co świadkowi wiadomo w tej sprawie?

— Człowiek siedzący na ławie oskarżonych, w którym poznaję Richarda Baumvogella, ocalił mi życie, a przynajmniej dał mi szansę przeżycia. Być może był to chwilowy: kaprys szefa gestapo w Bradomsku, albo zrobił to na złość swoim kolegom w Piotrkowie. Faktem jednak jest, że gdyby nie Baumvogell, nie stałbym dzisiaj przed wysokim sądem na tej sali.

Oświadczenie Tomasza Samieńskiego wywołało zrozumiałą sensację wśród publiczności. Odezwały się różne szmery. Przewodniczący kompletu sędziowskiego musiał sięgnąć po dzwonek.

— Proszę sądowni dokładnie opowiedzieć.

— Byłem zawodowym oficerem — wyjaśniał świadek.

— Brałem udział w bitwie pod Kutnem. Usiłowaliśmy się przedrzeć do Warszawy. Nie udało się. Ale nie chciałem iść do niewoli. U jakiegoś chłopca zamieniłem swój mundur na cywilne ubranie. Miałem stopień porucznika, ale w czasie bitwy awansowano mnie na kapitana. W tym zresztą stopniu zostałem zweryfikowany po wojnie. Początkowo wróciłem do Warszawy i rozglądając się za jakąś pracą oraz za możliwością dalszej walki z okupantem, próbowałem zająć się handlem. Bez większego zresztą powodzenia.

— Świadek mieszkał wtedy z rodziną?

— Byłem jeszcze kawalerem. Służbę pełniłem w pułku piechoty w Siedlcach. Tam też mieszkałem do czasu, kiedy nasza jednostka została odkomenderowana do armii generała Bortnowskiego i zajęła wyznaczone jej miejsce na Pomorzu. Po powrocie do Warszawy zamieszkałem u rodziców. Gdzieś w

grudniu, czy też w styczniu, już dokładnie nie pamiętam, Niemcy ogłosili, że wszyscy oficerowie służby czynnej i rezerwy mają się stawić w określonym dniu na Dworcu Gdańskim w Warszawie i pojadą do oflagów. Kto się nie zgłosi, podlegać będzie karze śmierci. Ponieważ hitlerowcy rozporządzali nie tylko księgami meldunkowymi ludności, ale także wpadły w ich ręce archiwa wojskowe, mieli pełne listy oficerów. Trzeba było się ukrywać. Dla -mnie tak się szczęśliwie złożyło, że miałem dokumenty Jana Majora, plutonowego z mojej kompanii. Major był chyba jedną z pierwszych ofiar drugiej wojny. Poległ pierwszego września zaraz po piątej rano. Wtedy jeszcze mogliśmy mu zrobić wojskowy pogrzeb. Książeczkę wojskową zmarłego i jego dowód osobisty zabrałem, aby przesłać rodzinie. Major pochodził spod Słonima, więc nie udało mi się zawiadomić rodziny o jego bohaterskiej śmierci i papiery zostały w moich rękach. Postanowiłem zniknąć z Warszawy i wcielić się w postać mojego podkomendnego. Sądzę, że sam plutonowy, jeśli istnieje życie pozagrobowe, pochwaliby mój zamiar.

— Na pewno — dorzucił jeden z ławników.

— W ten sposób, już jako Jan Major — zeznawał świadek — znalazłem się w Piotrkowie i rozpocząłem pracę w hucie szkła „Hortensja”. Tam wkrótce powstały różne komórki konspiracyjne. Należałem do jednej z nich. Uprawialiśmy sabotaż, jaki istniał wtedy, w czasie okupacji, w każdym polskim zakładzie przemysłowym. Zwalnianie tempa produkcji, obniżanie jakości, opóźnianie dostaw przeznaczonych dla wermachtu. W „Hortensji” pracowałem przeszło dwa i pół roku. Pewnego dnia ostrzeżono mnie, że hitlerowcy zwrócili uwagę na moją osobę i że grozi mi aresztowanie. Trzeba było znowu zniknąć. Dano mi kontakt do formującego się oddziału partyzanckiego w lasach pod Kamieńskiem. Tam znalazłem schronienie, ciągle jako były plutonowy Jan Major.

— Dlaczego świadek nie ujawnił swojego prawdziwego nazwiska i stopnia wojskowego? — zapytał prokurator.

— Nazwisk w partyzantce w ogóle nie używano, a po-

sługiwno się pseudonimami. Ja się nazwałem „Ligeza”. A ujawnienie stopnia mogło uchodzić za chęć objęcia dowództwa nad oddziałem, którym komenderował były starszy sierżant. Nie chciałem być uczestnikiem rozgrywek personalnych.

— Chyba słusznie — mruknął przewodniczący.

— Nasza grupka była nieliczna. Liczyła około dwudziestu ludzi. Jej skład zresztą był dość płynny. Chłopcy z okolicznych wsi często wracali do swoich domów i potem znowu zjawiali się w oddziale. Z uzbrojeniem także było nietęgo. Kilka starych, polskich karabinów pięcioprzęłowych, dwa niemieckie schmeissery, reszta to najrozmaitsza broń ręczna i po cztery granaty na każdego. Z amunicją do tej broni także było krucho. Planowaliśmy poprawienie stanu uzbrojenia przez rozbrajanie żołnierzy niemieckich i napady na i mniejsze posterunki żandarmerii. Kilka takich akcji rzeczywiście nam się udało, nie przyniosło jednak większych zdobyczy. Ale za to zwróciło uwagę hitlerowców na nasz oddział. Muszę jeszcze podkreślić, że mieliśmy stały kontakt z Piotrkowem, gdzie się mieściło dowództwo okręgu wojskowego.

— Armii Krajowej? — zapytał przewodniczący.

— Tak. W Piotrkowie także zaopatrywaliśmy się w odzież i potrzebne nam w obozie rzeczy. Mieliśmy kilku zaufanych dostawców, którzy dostarczali zamówione towary do punktu kontaktowego. Dużą rolę w partyzantce leśnej odgrywało dobre zaopatrzenie w sprzęt elektryczny: latarki i baterie. Nasz zaopatrzeniowiec sprowadzał latarki z jakiejś fabryczki z Częstochowy, zaś baterie z Warszawy. Do dziś pamiętam nazwę tych baterii. Nazywały się „Carbo”.

— Co to ma za znaczenie? — wtrącił prokurator Szczypiorski.

— Wyjaśnię to dalej wysokiemu sądowi. W sierpniu 1942 roku nasz maleńki oddziałek został zaskoczony akcją żandarmerii. Niepostrzeżenie podeszli pod nasz obóz i nagle o świcie uderzyli na nas. Była w tym niewątpliwie i nasza wina. Może zbytńia pewnoś bezpieczeństwa w lesie, może niedoświadczenie dowódcy? W strzelaninie, jaka się wywiązała, poległ starszy sierżant i kilku żołnierzy. Zawładnałem jego bronią i samozwańczo objąłem dowództwo nad pozostałymi

kolegami. O odparciu przeważającego wroga nie mogło być nawet mowy. Pozostawał odwrót. Jakoś udało się nam przebić z okrążenia, ale znowu kilku naszych poległo. Z ciągle topniejącą grupką wycofywaliśmy się w stronę Bradomska. Liczyliśmy, że uda się nam odskoczyć od nieprzyjaciela i dotrzeć do punktu kontaktowego w tym mieście. Mogliśmy tam znaleźć choćby chwilowe schronienie. Niestety, tuż pod samym miastem, zupełnie przypadkowo natknęliśmy się na patrol żandarmerii. Wywiązała się nowa strzelanina, w której zostałem ranny i straciłem przytomność. Jak się później dowiedziałem, reszcie mojego oddziału udało się jednak wycofać w bezpieczne miejsce.

— Nie mogli pana zabrać ze sobą? — zapytał jeden z ławników.

— To było niemożliwe. Raczej powinni byli mnie dobić. Sądzę jednak, że uważali mnie za zabitego. Kiedy odzyskałem przytomność, zrozumiałem, że jestem w areszcie w gestapo, w Bradomsku. Pielęgowano mnie nader troskliwie. Doskonale rozumiałem powody tej opieki. Byłem jednak tak pilnowany, że nie miałem możliwości popełnienia samobójstwa, co w mojej sytuacji byłoby najlepszym wyjściem. Przy moim łóżku stałe siedział wartownik, zaś kurował mnie niemiecki lekarz, na którego pomoc nie mogłem liczyć. Na moje nieszczęście rana goiła się szybko i z każdym dniem odzyskiwałem siły. Bodaj dwunastego dnia doktor uznał, że jestem już na tyle zdrowy, aby gestapo mogło mnie wziąć w swoje obroty. Musiałem się ubrać i dwóch wartowników zawlokło mnie do gabinetu Richarda Baumvogella. Zobaczyłem go wtedy po raz pierwszy. Siedział za swoim wielkim biurkiem w koszuli z krótkimi rękawami. Kiedy mnie wepchnięto do gabinetu i kiedy ślaniając się ze zmęczenia stałem pod ścianą, Baumvogell obrzucił mnie stekiem przekleństw.

— Po polsku?

— Tak. Rozmawiał ze mną tylko po polsku. Nie potrzebował tłumacza, znał nasz język nie gorzej ode mnie. — „No i co Ligęza? — powiedział — Nigdy nie marzyłeś nawet o tym, że tutaj się znajdziesz. Już ja ci zrobię przyjęcie.” Milczałem. Cóż

innego mogłem zrobić? On nawet znał mój pseudonim i wszystko wiedział o naszym oddziale. „Nic nie mówisz. Ale my ci rozwiążemy ten twój ozór. Będiesz śpiewał. Wszystko powiesz, co tylko wiesz. Zawszone brudasy, partyzantki wam się zachciewa. Damy wam partyzantkę. Będiesz długo umierał.” Ogarnęła mnie dzika pasja. Gdybym nie był taki słaby, na pewno rzuciłbym się na tego gestapowca z gołymi rękoma. Niestety, ledwie się trzymałem na nogach. Powiedziałem więc z godnością: „Jestem oficerem wojska polskiego. Kapitanem. Może pan mnie zabić, ale obrażać się nie pozwolę”. Moje słowa odniosły magiczny skutek. Baumvogell natychmiast się uspokoił. „Pan jest oficerem, kapitanem? W jakim pułku i w jakiej bitwie brał pan udział?” Konwencja genewska pozwala żołnierzowi wziętemu do niewoli wyjawić nazwę swojej jednostki i miejsce bitwy, gdzie się dostał do niewoli. Powiedziałem zatem, w jakim pułku służyłem i że nasza formacja została rozbita w bitwie pod Kutnem. „Rozumiem — powiedział Baumvogell — ukrywał pan się w partyzantce, aby nie pójść do niewoli”. „Nikt mnie nie zwolnił z przysięgi. Przegraliśmy pod Kutnem i na innych polach bitew, ale wojna trwa nadal” — odpowiedziałem.

Następnie Hauptsturmführer zapytał mnie o kilka szczegółów dotyczących operacji armii „Poznań” i „Pomorze” oraz manewru zaczepnego wykonanego przez generała Kutrzebę. Nie stanowiło to wówczas żadnych tajemnic wojskowych. Odpowiadałem na te pytania zgodnie z tym, jak to było w rzeczywistości. Najwidoczniej moje odpowiedzi przekonały Baumvogella, że naprawdę ma do czynienia z zawodowym oficerem, bo nagle zrobił się uprzejmy. Posunął się nawet do tego, że zaprosił mnie do zajęcia miejsca przed biurkiem.

„Doskonale pana kapitana rozumiem — powiedział — gdybym mógł, kazałbym pana odesłać do oflagu jako jeńca wojennego, ale nie jestem wszechmocny. Tak daleko moja władza nie sięga. Dwóch naszych ludzi z patrolu zostało ciężko rannych, wśród tych z Piotrkowa jest kilku zabitych. Gestapo w Piotrkowie codziennie bombarduje mnie telefonami, aby przekazać pana w ich ręce. Jedno mogę zrobić dla pana, wysłać

go do obozu. Nie do Oświęcimia, lecz do Dachau. Tam podobno jest trochę lepiej. Daję więc panu szansę przeżycia wojny. Pojedzie pan do obozu jako człowiek złapany na nielegalnym handlu. A z tymi z Piotrkowa jakoś sobie poradzę.”

— Słuchałem tych zapewnień jak bajki o żelaznym wilku — zeznawał Tomasz Samieński — i do dnia dzisiejszego nie rozumiem, czemu zawdzięczam tę łaskawość. Przygotowany byłem przecież na śmierć. Co do tego nie mogłem się łudzić. Partyzant ujęty z bronią w rękę mógł się tylko modlić o szybki i jak najłagodniejszy zgon. W pewnym momencie naszej przyjacielskiej rozmowy z Baumvogellem, Hauptsturmführer nacisnął na guzik dzwonka. Kiedy zjawił się wartownik, szef gestapo polecił: „zabrać więźnia z powrotem do celi, gdzie leżał. Dobrze go karmić i niech lekarz codziennie mu zmienia opatrunek”.

— To było jedyne zetknięcie się świadka z Baumvogellem? — zapytał prokurator.

— Nie. Rankiem, bodaj czwartego dnia, drzwi mojej celi otworzyły się i stanął w nich dzisiejszy oskarżony...

— Nie ja — zaprotestował gwałtownie człowiek siedzący pomiędzy dwoma milicjantami. — Nie jestem Baumvogellem.

— Drzwi się otworzyły — ciągnął dalej świadek — i stanął w nich Baumvogell. „Jak się pan czuje, kapitanie — zapytał — dzisiaj jedzie pan w transporcie. Tak, jak mówiłem, do Dachau. Proszę pamiętać, był pan handlarzem żywnością. Tak trzeba mówić w Politische Abteilung w Dachau. Jeszcze jedno — dorzucił wychodząc już z celi — dla partyzantów byłoby lepiej, aby w lesie siedzieli po ciemku.”

— Udało mi się — zakończył swoje zeznanie kapitan Samieński — przeżyć obóz. Dzięki istniejącej tam organizacji, zdołałem nawet zawiadomić kogo trzeba, gdzie szukać konfidenta gestapo w Piotrkowie i w jaki sposób nastąpiło rozbitcie naszego oddziału.

— Świadek na początku swoich zeznań stwierdził — zabrał głos prokurator — że rozpoznaje w oskarżonym Richarda Baumvogella.

— Tak jest, wysoki sędzie.

— Po czym?

— Po ogólnym podobieństwie rysów twarzy, bardzo jasnoniebieskich oczach, takim samym czole, chociaż lata robią swoje. Wtedy Baumvogell był nordyckim blondynem o bujnych włosach.

— Po bliźnie na policzku także go świadek poznał? — zapytał adwokat.

— Ten znak szczególnie uszedł wtedy w Bradomsku mojej uwadze. Rozmawiałem przecież z Baumvogellem zaledwie dwa razy i obie te rozmowy miały dla mnie ogromny ładunek emocji. Trudno mi było uważnie obserwować mojego rozmówcę.

— A jednak pan go poznał? — powątpiewał Ruszyński.

— Jestem dość dobrym fizjonomistą. Twierdzę, że pomiędzy tamtym Baumvogellem, a siedzącym na ławie oskarżonych człowiekiem, zachodzi duże podobieństwo.

— Podobieństwo to nie znaczy identyczność — adwokat nie dawał za wygraną.

— O tym chyba zadecyduje wysoki sąd — odciął się świadek.

Mecenas Ruszyński niezadowolony z tych odpowiedzi, usiadł na swoim miejscu. Wprawdzie Tomasz Samieński był świadkiem obrony i rzeczywiście w swoich zeznaniach mocno wybielił Baumvogella, który, jak widać, czasami nie był pozbawiony zwykłych ludzkich odruchów. Niemniej adwokat sądził, że i z tą identyfikacją świadek obrony będzie trzymał stronę oskarżonego.

— Proszę wezwać na salę świadka Krystynę Piechaczek

— przewodniczący polecił woźnemu sprowadzić następnego świadka obrony.

Przed sądem stanęła postawna, może nieco zbyt tęga pani po pięćdziesiątce. Wyjaśniła, że pochodzi z Częstochowy, obecnie pracuje jako główna księgowa w jednej z tamtejszych spółdzielni pracy. W czasie okupacji, aby się uchronić przed wywiezieniem na przymusowe roboty do Niemiec, przyjęła posadę na poczcie w Bradomsku.

— Świadek zna siedzącego na ławie oskarżonych Richarda Baumvogella?

— Raz się z nim zetknęłam, ale nigdy tego nie zapomnę.

— Proszę o tym opowiedzieć.

— Mieszkałam wtedy u jednego z miejscowych notariuszy, pana Klemensa Wysockiego. Zajmował on wraz z rodziną — żoną, dwiema córkami i synem duże, pięciopokojowe mieszkanie przy ulicy Piotrkowskiej. Wynajmowałam tam pokój położony tuż przy drzwiach wejściowych. Z Wysockimi i jego dziećmi, a byłam w wieku ich starszej córki, łączyła mnie dość duża zażyłość, nie taka jednak, abym się orientowała czy młodzi ludzie biorą udział w jakiejś konspiracji. Pewnej nocy, a właściwie późnym wieczorem, kiedy już leżałam w łóżku w swoim pokoju, do mieszkania państwa Wysockich wtargnęło gestapo. Słyszałam doskonale głosy w przedpokoju. Rozmowa prowadzona była po polsku. Ktoś z przybyłych informował Klemensa Wysockiego, że jego syn Andrzej został zabity w Częstochowie. Grupa młodych ludzi usiłowała tam dokonać zamachu na miejscowego szefa Urzędu Pracy, czyli tak zwanego Arbeitsamtu. Zamach udał się częściowo, bo hitlerowca jedynie zraniono. Natomiast uciekającym bojowcom zagroził drogę patrol żandarmerii. Dwaj młodzi ludzie ostrzeliwali się w jednej z bram, ale nie udało się im przedrzeć przez siły wroga i obaj polegli. Jednym z tych zamachowców był właśnie Andrzej Wysocki.

„Pana syn — słyszałam głos za drzwiami — poległ jak żołnierz. Z bronią w rękę walcząc do ostatniego naboju”.

— Ten mówiący po polsku gestapowiec to był właśnie Baumvogell? — zapytał sędzie.

— Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Słyszałam, jak przeprowadzano rewizję w całym mieszkaniu i jak pan Wysocki informował, że pokój przy wejściu zajęty został przez pracowniczkę poczty, czyli mnie. Rewizja chyba była dość pobieżna, bo po upływie jakiejś godziny, w czasie której leżałam na łóżku jak sparaliżowana ze strachu, gestapowcy ! zbierali się do odejścia. Z odgłosów zza drzwi domyślałam się, że niczego nie znaleziono i nikogo nie zabierają do aresztu.

— Czy tak się stało?

— Nikogo wtedy rzeczywiście nie zatrzymano. Byłam coraz

spokojniejsza, kiedy nagle drzwi do mojego pokoju otworzyły się i wszedł jakiś wysoki blondyn. Powiedział grzecznie „dobry wieczór”, podszedł do szafy, otworzył ją i chwilę przyglądał się wiszącym tam moim sukienkom i leżącej na półkach bieliznie. Sięgnął na jedną z półek, aby sprawdzić czy pod bielizną, tym tradycyjnym kobiecym schowku, nic się nie znajduje. Potem ten cywil zamknął szafę i podszedł do mojego łóżka. Dopiero wtedy przypomniałam sobie, że w szufladce nocnego stolika, na samym wierzchu, leży najnowszy numer „Rzeczypospolitej”.

— Organu delegatury rządu? — zapytał prokurator.

— Tak. Dostałam tę nielegalną gazetę od koleżanki z poczty i miałam ją jej nazajutrz odnieść. Byłam prawie nieprzytomna ze strachu. Przecież miałam czas, aby tę gazetkę sto razy zniszczyć. Zupełnie mi wyleciało z głowy, że ją mam. Gestapowiec najwidoczniej zrozumiał moje zmieszanie i przerażenie. Podszedł do nocnego stolika i wysunął szufladę. Przez moment patrzył na „Rzeczpospolitą”, później spojrzął na mnie i powiedział „Głupia, na drugi raz to w tej szufladzie trzymaj prezerwatywy”. Zamknął szufladkę i wyszedł z pokoju. Za chwilę w mieszkaniu została tylko rodzina Wysockich oplakująca śmierć syna i brata. A przecież za taki nielegalny druk jechało się do obozu albo i szło pod ścianę.

— Pani dobrze widziała tego gestapowca?

— Bardzo dobrze. Stał przecież przy moim łóżku. O pół metra ode mnie. Potem od pana Wysockiego dowiedziałam się, że to był sam szef gestapo, Richard Baumvogell.

— Czy ten człowiek miał znamię na policzku? — dopytywał się jeden z ławników.

— Miał podłużny, czerwony znak na prawym policzku, na dole, nieco nad szczęką.

— Czy panią konfrontowano z oskarżonym? — to pytanie zadał przewodniczący sądu.

— Nie.

— A pani go poznaje? Proszę się dokładnie przyjrzeć oskarżonemu.

— Raczej nie poznaje. Nie mam zbyt dobrej pamięci twarzy. Zresztą upłynęło tyle lat — w głosie świadka można się było

dosłuchać pewnej nieszczerości. Tamten człowiek wtedy ocalił jej wolność, a może i życie. Dlaczego dzisiaj miałyby go topić swoimi zeznaniami? Rozumiał to dobrze przewodniczący sądu, dlatego też ponowił pytanie:

— Chodzi mi o tę czerwoną szramę czy też znamię na twarzy. Przecież musiała pani to zauważyć wtedy u Richards Baumvogella.

— Tamta chyba była mniejsza i na pewno nie tak czerwona — broniła się pani Piechaczek. Za nic na świecie nie chciała obciążyć swoimi zeznaniami oskarżonego.

Kolejnym świadkiem obrony był rolnik z Wielgomłynów, Damazy Niedzielski. Starszy siwy pan o imponującym wyglądzie senatora rzymskiego. Miał regularne rysy twarzy, orli nos, siwe oczy i krzaczaste brwi oraz sumiasty wąs. Świadek wyjaśnił, że do obecnego roku prowadził gospodarstwo specjalizujące się w produkcji mleka. Obecnie przekazał ziemię najmłodszemu synowi, który rzucił pracę w Cementowni pod Częstochową i powrócił na wieś. Pan Damazy zaś przeszedł na emeryturę.

— Czy świadek znał Richarda Baumvogella? — zapytał przewodniczący.

— Znać, to nie znałem. Ale go widziałem.

— W Wielgomłynach czy w Bradomsku?

— W Bradomsku. W więzieniu, jak mnie zamkli za niedostarczenie kontyngentów.

— Proszę, niech świadek opowie szczegółowo.

— W 1942 roku był w naszych stronach duży nieurodzaj. Najpierw zboże wybiły grady. Później, na jesieni przyszły takie deszcze, że ziemniaki i buraki zmarnowały się i nie było co zbierać. A Niemcy kazali odstawiać kontyngenty. A z czego, jak ani w stodole, ani w oborze prawie nic nie było. Jeździli my do Bradomska, do Liegenschaft i do samego Landrata, to po ichniemu starosta, żeby nas zwolnili albo przynajmniej zmniejszyli kontyngenty. Ale nic nie pomagało. Niemiec 'twardo mówił „Dawaj, a nie dasz, do więzienia i do obozu”. A myśmy mogli odstawić najwyżej jedną trzecią tego, co przykazywali.

— Aresztowali świadka?

— Do Nowego Roku było jakoś cicho. Już myśleliśmy, że zrozumieli i dali nam spokój. Ale zaraz po Trzech Królach żandarmi najechali na Wielgomłyny. A także na inne wsie. Mieli listy tych, którzy najczęściej zalegają, chodzili od domu do domu i wybierali ludzi, jak ryby z sieci. Zabrali i mnie. Popędzili nas do Bradomska i zamkli w gestapo.

— Bili was, torturowali?

— Tak pojedynczo to nas, chłopów, nie brali do bicia. Ale każdy dobrze dostał żelazem. Codziennie wypędzali z celi na „gimnastykę” i tam walili, ile weszło. Powiadali też, że pojedziemy do obozu, gdzie będą nas trzymać tak długo, aż kontyngenty ze wszystkich wsi nie zostaną w pełni odstawione. A jeżeli i to nie pomoże, to w każdej wsi powieszą po pięciu ludzi. W piwnicy było tyle luda, że nie znalazło się miejsce, aby w nocy chociaż się położyć na podłodze. Tak nas trzymano cały tydzień. A jeść dawali zaledwie po pół kilograma chleba i wodę. Już myśleliśmy, że przyjdzie skonać w tym lochu albo na sznurku, kiedy raptem jednego poranka wpadł do naszej celi ten Baumvogell. Stał w drzwiach, pociągnął nosem i zaczął krzyżeć: „Jakie tu brudy, jaki smród”. Faktycznie było brudno, przecież przez ten tydzień nawet twarzy nie można było umyć, bo nie było gdzie i nie było wody. A kible pozwalali wynosić tylko dwa razy, rano i wieczorem. Zaś Baumvogell darł się nadal: „Wyrzucić zaraz to polskie bydło za bramę. Wszarże przekłete, jeszcze mi tu tyfus zaprowadzą.” Wpadli inni gestapowcy z żelazami i kablami w rękach i wypędzili nas, tak jak rozkazał Baumvogell, na ulicę. Bili przy tym każdego, gdzie popadło. Frankowi Łobodzie tak głowę rozciąli żelazem, że aż doktor musiał zszywać. Ale każdy z nas był rad nawet z tego bicia, bo wrócił zdrowy i cały do domu.

— Skąd świadek wie, że ten gestapowiec, który was zwolnił, to był Richard Baumvogell? Przecież świadek sam zeznał, że go przed tym nigdy nie widział. A potem?

— Potem też go nie widziałem, ale inni mówili, że to Baumvogell i że w kilka dni później pojechał na front.

— Czy świadek poznaje Baumvogella w osobie siedzącej na

ławie oskarżonych?

— Nie poznaję, wysoki sędzie. Kiedy on wpadł tam do nas, do celi, z krzykiem, nikt mu się nie przyglądał. Każdy bał się, że już wybiła jego ostatnia godzina.

— Czy był w mundurze?

— Tego nie przyświadczę. Tyle, że krzyczał, kazał bić, i wyrzucić na ulicę.

Ostatnim świadkiem powołanym przez obronę był pułkownik w stanie spoczynku Bronisław Teodorowicz. Szczupły pan, w którym pomimo cywilnego ubrania z każdego ruchu można było poznać zawodowego 'wojskowego. Po złożeniu swoich personaliów, pułkownik opowiedział, jak zetknął się ze Stanisławem Wróblewskim.

— Na drugi dzień po wkroczeniu naszej jednostki do Lublina zameldowano mi, że jakiś człowiek chce się ze mną widzieć. Ujrzałem młodego mężczyznę, biednie ubranego, powiedziałbym po prostu obdartego. Ten chłopiec wyjaśnił, że jest jednym z nielicznych partyzantów AK, którzy ocaleli po bitwie w Janowskich Lasach. Ukrywając się, gdzie było można, dotrwał do momentu wyzwolenia Lubelskiego przez Pierwszą Armię Wojska Polskiego i Armię Radziecką i teraz zgłasza się z prośbą o przyjęcie go do naszej jednostki. Nie miał żadnych dokumentów. Jedynym, świadectwem prawdziwości jego słów był sten, piękny pistolet maszynowy angielskiej produkcji. Taką broń otrzymywały ze zrzutów nieliczne jednostki akowskie. Chociaż było to trochę nieformalne, zawierzyłem słowom tego człowieka i prośbom, że chce pomścić śmierć rodziców z ręki hitlerowskiego okupanta. Do dziś dnia nie żałuję tego, nie zawiodłem się na Stanisławie Wróblewskim.

— Czy to ten sam, który siedzi na ławie oskarżonych? — przewodniczący sądu po raz nie wiadomo który powtórzył zasadnicze., pytanie.

— Ten sam. Poznaję go po rysach twarzy i po tym znamieniu na prawym policzku. Mógłbym także powiedzieć, gdzie na ciele tego człowieka znajdują się blizny po ranach. Odniósł je służąc w mojej kompanii. Po krótkim postoju w Lublinie nasza jednostka wzięła udział we wrześniu, w walkach o wyzwolenie

przedmieścia Warszawy, Pragi. W tych pierwszych bojach przekonałem się, że Wróblewski jest odważnym, karnym żołnierzem, zahartowanym w walkach i nie bojącym się świstu kuli, wybuchu granatu lub nalotu nieprzyjacielskich samolotów. Nasza kompania, wraz z innymi oddziałami obsadziła Saską Kępę i na rozkaz dowódcy rozpoczęliśmy desant przez Wisłę dla przyścia z pomocą walczącej Warszawie. Powstanie na Powiślu już wtedy dogorywało. Przyczółek, jaki uchwyciliśmy na Płycie Czerniakowskiej, był zbyt wąski i zbyt płytki, aby go można było utrzymać. Opowiadam zresztą znane rzeczy. Po kilku dniach walk na warszawskim brzegu musieliśmy się wycofać ponosząc ogromne straty. Wróblewski wraz z dwoma strzelcami osłaniał ostatnie pontony odbijające z warszawskiego brzegu Wisły. Walczył, kiedy już wszyscy odpłynęli i kiedy jeden z jego towarzyszy broni został zabity. Dopiero wtedy z tym drugim wskoczyli z zatopionego tam wraku statku „Bajka” do wody, aby przepłynąć na Saską Kępę. Kolega Wróblewskiego w czasie tej przeprawy wpław został ranny. Jednak Stasiak zdołał go doholować do brzegu. Wtedy na plaży otrzymał pierwszą, zresztą niegroźną ranę. Z czystym sumieniem postawiłem wniosek o mianowanie Wróblewskiego kapralem i nadanie mu Krzyża Walecznych. Bez osłony ogniem zaporowym prowadzonym przez tę trójkę, nasze oddziały poniosłyby znacznie większe straty. Nie pamiętam, czy Wróblewski potem w ogóle zgłosił się do szpitala. Kiedy przerzucono nas na Pomorze, był w mojej kompanii. Chyba przed tym skierowano go na kurs podoficerski.

— Tak jest, panie pułkowniku. W Rembertowie — dodał oskarżony.

— W ciężkich walkach o przełamanie Wału Pomorskiego znowu kapral, a raczej już plutonowy Wróblewski, dokonał nowego bohaterskiego czynu. Na ochotnika zgłosił się wraz z innym żołnierzem do wysadzenia w powietrze niemieckiego bunkra, ryglującego stanowisko wroga. Bez zdobycia tego bunkra nie było mowy o dalszym forsowaniu pozycji nieprzyjacielskich. Obciążeni silnym ładunkiem wybuchowym,

ci dwaj podpełzli pod sam bunkier, gdzie założyli tę minę.

— Jak pan Kmicic w „Potopie” — uśmiechnął się jeden z ławników.

— Tak jest, proszę wysokiego sądu — przytaknął pułkownik — aby to podobieństwo było jeszcze większe, dodam, że ich obu znaleziono na poboju rannych i ogłuszonych eksplozją, która dosłownie rozsadziła potężne betony. Po przełamaniu Wału Pomorskiego uderzyliśmy na Kołobrzeg. W tych walkach Wróblewski nie uczestniczył. Leżał w szpitalu. Wymieniono go w rozkazie dziennym i otrzymał Krzyż Walecznych po raz drugi. Stach jednak nie był zbyt długo na kuracji. Po prostu uciekł lekarzom i dołączył do mojej kompanii jeszcze przed zdobyciem Kamienia Pomorskiego.

— To było przed zdobyciem Szczecina?

— Tak. Kamień Pomorski był kluczową pozycją walk o Szczecin, szturmowanym przez Armię Radziecką. Utrzymanie Kamienia w polskich rękach uniemożliwiało hitlerowcom wykonanie uderzenia z lewego brzegu Odry i z Wyspy Wolin, które mogłyby okrążyć wojska atakujące Szczecin i starające się o uchwycenie przyczółków za Odrą na wysokości Słubic. Wtedy nie znaliśmy tych planów nieprzyjaciela i Kamień Pomorski był obsadzony stosunkowo słabymi siłami. Między innymi część mojej kompanii ulokowała się w dużym browarze usytuowanym na wysokim brzegu nad samym zalewem. Raczej spodziewano się jakiejś akcji nieprzyjaciela bardziej na północ, w Dziwnowie, gdzie rzeka Dziwna jest stosunkowo wąska i gdzie operacje lądowe wojsk hitlerowskich mogłyby być wspierane ogniem okrętów wojennych. Dlatego tam skupiono znacznie większe siły niż w Kamieniu Pomorskim, położonym przecież na wysokim, stromo opadającym brzegu i przy dość szerokim zalewie.

— A tymczasem stało się inaczej?

— Na wojnie często tak bywało. Nieprzyjaciel postanowił nas zaskoczyć uderzeniem w najbardziej nieprzewidzianym miejscu. Nie wiedzieliśmy także, że browar i sąsiednie domy położone tuż nad zalewem są podminowane. Pewnej nocy hitlerowcy wysadzili te obiekty rozpoczynając jednocześnie

lądownie na prawym brzegu Dziwny. Zaskoczenie było całkowite. W browarze zginęła większość mojej kompanii. Zanim zdołano się zorientować o co chodzi i ściągnąć odwody oraz zażądać jak najszybszego przysłania posiłków, nieprzyjacielowi najprawdopodobniej udało się zająć miasto i dalej rozwijać swoje uderzenie. Plutonowy Wróblewski także był w browarze. Zasypany gruzem i ranny, zdołał jednak wydostać się z zawalonego budynku. Nie dopuścił do powstania paniki wśród tych nielicznych, którzy także ocalili i z tą garstką zaczął organizować obronę ruin browaru. Udało im się uruchomić dwa karabiny maszynowe. Ich ogniem zaczęto razić zbliżające się do brzegu łodzie desantowe nieprzyjaciela. Tych, którzy już wylądowali, ostrzeliwano z pepesz i obrzucano granatami, tak że nie mogli rozwinąć natarcia. A wszystko to działo się pod huraganowym ogniem artylerii. Z drugiego brzegu zalewu ostrzeliwała ona browar i miasto. Wtedy właśnie spłonęły stare kamieniczki na rynku, a ratusz został bardzo poważnie uszkodzony pociskami z armat.

Pułkownik na chwilę zamilkł. Z wyrazu jego twarzy nietrudno było się domyśleć, że powtórnie przeżywa ten epizod z drugiej wojny światowej.

— Odsiecz nadeszła w ostatnim momencie. Nieprzyjacielowi już udało się uciszyć jeden karabin maszynowy. obrońcy ruin browaru stopnieli do kilkunastu osób. Nie było wśród nich ani jednego, który nie odniósłby przynajmniej lekkiej rany. A na założenie nawet prowizorycznego opatrunku brakło czasu. Dopiero po pięciu godzinach ciężkich walk, nieprzyjaciel został ponownie odrzucony za zalew. Sytuacja została uratowana. Hitlerowcy ponieśli ogromne straty w ludziach i w sprzęcie.

— A wasze straty? — zapytał adwokat Ruszyński.

— Także były bardzo poważne. Zwłaszcza w pierwszym okresie walk, kiedy pod gruzami browaru zginęła większość jego obrońców. Przez cały czas trwania bitwy o browar, plutonowy Wróblewski, dowodził ocalałymi resztkami kompanii, obsługiwał też karabin maszynowy. Właśnie ten, który został potem trafiony pociskiem artyleryjskim. Jakim cudem ten człowiek wtedy nie zginął, do dziś dnia nie rozumiem.

Kiedy go nieprzytomnego zabrano na punkt sanitarny, lekarz znalazł na jego ciele kilkanaście ran od odłamków i trzy postrzały. Nie licząc obrażeń spowodowanych przez zawałające się ściany browaru. Myśmy już skończyli wojnę zatknięciem polskiej flagi na posągu Nike w Berlinie, a w szpitalu lekarze nadal walczyli o życie plutonowego. Srebrny krzyż *Virtuti Militari* słusznie był ukoronowaniem jego szlaku bojowego od Warszawy do Kamienia Pomorskiego. Nigdy nie uwierzę — zakończył swoje zeznania pułkownik Bronisław Teodorowicz — żeby człowiek, którego znam tylko z jak najlepszej strony i którego uważam za prawdziwego polskiego bohatera, mógł popełnić czyny zarzucane mu przez akt oskarżenia. To jakaś potworna historia. To się musi wyjaśnić.

— Na sali — zabrał głos adwokat Ruszyński — znajduje się pani Krystyna Wróblewska. Proszę wysokiego sądu o przesłuchanie jej jako świadka.

— Nie! — krzyknął oskarżony.

— Sprzeciwiam się — oponował prokurator — pani Wróblewska była przeze mnie wzywana i zgodnie z kodeksem postępowania karnego, skorzystała z prawa odmowy zeznań.

— Jeśli pani Wróblewska nie zechce składać zeznań, sama potrafi to powiedzieć wysokiemu sądowi — replikował adwokat.

— Czy pani chce zeznawać? — zapytał głośno przewodniczący.

Z jednej z ław podniosła się wysoka, przystojna brunetka.

— Chcę — odpowiedziała.

Przewodniczący chwilę naradzał się z ławnikami.

— Sąd postanowił dopuścić dowód z przesłuchania świadka Krystyny Wróblewskiej. Proszę podejść bliżej. Co z przyrzeczeniem?

— Zwalniamy — jednocześnie odpowiedzieli prokurator i obrońca.

— Co świadkowi wiadomo w tej sprawie? — padło tradycyjne pytanie.

— Wysoki sądzie, to jakaś koszmarna pomyłka. Znam przecież Stanisława od prawie dwudziestu lat. Od osiemnastu

jestem jego żoną. Nie powiem, ma swoje wady. Jest trudny w pożyciu. Nieraz nawet zbyt surowy i niesprawiedliwy dla dzieci. Ma swoje różne słabostki. Ale nigdy nie uwierzę, żeby mój mąż miał być mordercą w gestapo.

— Pan prokurator?

— Nie mam pytań — Szczypiorski doskonale się orientował, że żona nie powie złego słowa o mężu.

— Pan mecenas?

— Czy mąż opowiadał o swoich przeżyciach wojennych?

— Wszystkim aż do znudzenia. Nieraz tłumaczyłam mu, żeby się bardziej mitygował, bo inni uważają to za śmieszne przechwałki. Ale on ciągle do tego wracał. Zwłaszcza do swoich wyczynów w partyzantce. A Kamień Pomorski, to chociaż tam nigdy nie byłam, znam lepiej niż ulicę Topiel w Warszawie, chociaż tu mieszkam od urodzenia.

Oskarżony słuchał tych zeznań bez entuzjazmu.

— Czy mąż pani zna język niemiecki?

— Nie. Na pewno nie. Kiedyś na wakacjach, na Mazurach poznałam pewne małżeństwo niemieckie. Z Berlina. Pisywali do mnie. Ja także nie znam na tyle tego języka, żeby móc odczytać list, czy też odpisać na niego. Musiałam prosić o pomoc kolegów w pracy. Przecież nie byłby aż tak przebiegły. Znać jakiś obcy język, to nie żadna zbrodnia.

— Czy byliście kiedyś w Krakowie?

— Tak. Byliśmy. Z wycieczką z naszej fabryki. Zabrałam też i męża.

— Znał Kraków?

— Zupełnie się nie orientował w tym mieście. Kiedy odeszliśmy od autobusu, nie potrafił do niego z powrotem wrócić. Dobrze, że zapamiętałam ulicę i mogłam się zapytać przechodniów.

— Richard Baumvogell — stwierdził adwokat — musiał często bywać w Krakowie, gdzie urzędowali jego zwierzchnicy. Na pewno znał to miasto i orientował się w układzie jego ulic.

— Bardzo łatwo jest udawać, że się nie zna jakiegoś miasta lub języka — atakował prokurator.

— Łatwo. Ale po co? Przed własną żoną i dziećmi? Co to

miało za znaczenie? Przecież nie byłoby w tym nic dziwnego, żeby Wróblewski studiując na Politechnice Gdańskiej, właśnie wybrał naukę niemieckiego, a nie angielskiego, jak to zrobił oskarżony. Znajomość Krakowa nie jest zbrodnią. Oskarżony mógł tam być wielokrotnie po wojnie.

— Czy państwo śpią w jednym pokoju? — znowu pytanie zadał adwokat.

— Tak. Mamy podwójny tapczan.

— Czy mąż mówi przez sen. Zdarza mu się to?

— Ostatnio już nie. Ale przed tym, w pierwszych latach naszego małżeństwa, nieraz dręczyły go koszmary senne. Wykrzykiwał, że idzie do ataku. Rzucił jakieś rozkazy. Kiedy go budziłam, drżał cały i spocony był jak mysz pod miotłą.

— Czy mówił czasem coś po niemiecku?

— Nie. Nigdy. Przysięgam na życie naszych dzieci. Nigdy, nigdy.

— A w jakimś innym języku nie mówił?

— Czasem zdarzało mu się coś powiedzieć po rusku.

— Chyba po białorusku — wtrącił się oskarżony.

— Czy oskarżony zna język rosyjski? — zapytał przewodniczący.

— Bardzo słabo. Tyle, ile uczyłem się przed maturą. A robiłem ją zaraz po wyjściu z wojska.

— A język białoruski?

— Ten znam dobrze. Przecież wsie w powiecie nieświeskim były albo czysto białoruskie, albo z ludnością mieszaną polsko-białoruską. Taka była i moja rodzinna Brzeźnica. Białoruski więc znam od maleńkości.

— Czy oskarżony jest Białorusinem, czy Polakiem? — zapytał jeden z ławników.

— Cała moja rodzina była zawsze polską.

— Co świadek może jeszcze powiedzieć o mężu?

— Kochałam go i kocham nadal. Nigdy nie uwierzę w jego winę. Nawet gdyby go sąd skazał.

— Nie mam więcej pytań — adwokat wołał nie ryzykować. Pani Krystyna Wróblewska mogła w zapale obrony męża narazić się wysokiemu sądowi i w ten sposób osłabić wymowę

swoich zeznań.

Jako ostatni zeznawali biegli. W czasie trwania śledztwa przeprowadzili oni badania oskarżonego, a w czasie rozprawy byli obecni na sali. Stwierdzili, że Stanisław Wróblewski vel Richard Baumvogell jest normalnie zbudowanym mężczyzną. Jego zdrowie fizyczne i psychiczne jest zgodne z normami wieku. Pamięć dobra, wzrok nieco osłabiony, słuch dobry, inteligencja ponad przeciętną. Reasumując, zdaniem biegłych oskarżony jest w pełni odpowiedzialny za swoje czyny.

Z kolei zarówno prokurator, jak i obrońca przedkładali wysokiemu sądowi różne dokumenty prosząc o przyjęcie ich w poczet dowodów procesowych. Między innymi adwokat Ruszyński złożył opinię o Stanisławie Wróblewskim z jego miejsca pracy i z tych stowarzyszeń, do których oskarżony należał i brał w nich aktywny udział. A także załączył odpis wykazu służby wojskowej i fotoodbitki legitymacji Krzyża Walecznych nadanego dwukrotnie i legitymacji Srebrnego Krzyża Virtuti Militari. Sąd postanowił przyjąć wszystkie dokumenty przedstawione zarówno przez prokuratora, jak i przez adwokata.

Wobec wyczerpania listy świadków, przewodniczący ogłosił zamknięcie postępowania dowodowego. Na prośbę obu stron, sąd odroczył dalszy ciąg rozprawy na dwa dni, aby dać możliwość prokuratorowi i obronie przygotowania przemówień.

XII „Gorzko mi”

Prokurator Władysław Szczypiorski zaczął swoje przemówienie od stwierdzenia, że polityka hitlerowskiego okupanta dążyła do wyniszczenia narodu polskiego. Dlatego też na ziemiach polskich zapanował terror. A jednocześnie okupant rabował, co tylko się dało i podporządkował całą gospodarkę celom wojennym. Dla przeprowadzenia swoich zamiarów musiał więc rozporządzać silnym, bezwzględny aparatem władzy. Tym aparatem było przede wszystkim gestapo. Odpowiednie ustawy Hitlera, czy też „rządu” Generalnej Guberni dawały gestapo nieograniczoną władzę co do życia i śmierci każdego Polaka. Ale nawet w tej sytuacji, chociaż nie było „dobrych” gestapowców, byli źli i bardziej źli. Tacy, którzy wykonywali otrzymywane rozkazy i tacy, którzy w niszczeniu narodu polskiego, a przede wszystkim inteligencji, wykazywali własną inicjatywę i szli jeszcze dalej, niż tego od nich wymagano.

Jednym z takich nadgorliwców był — zdaniem prokuratora — Richard Baumvogell. Z pochodzenia pół-Polak, obawiający się ciągle, że to właśnie będzie mu przeszkadzało w karierze, z pasją i nienawiścią rozpoczął politykę eksterminacji od pierwszych chwil znalezienia się w Bradomsku. Pod każdym względem starał się naśladować swojego protektora Richarda Heydricha. Tamten, pół-Żyd z pochodzenia, całą swoją energię kierował na unicestwienie Żydów. Ten z Bradomska, mając w sobie krew polską chciałby wymordować wszystkich Polaków. Nie mogąc tego dokonać w wielkiej skali, usiłował przeprowadzić swój cel na terenie jednego powiatu. Stąd represje w Bradomsku były bardziej okrutne, niż choćby w sąsiednich miastach Częstochowie lub Piotrkowie, mimo że i tam prześladowania nasilały się z każdym rokiem wojny.

Richard Baumvogell sam nikogo nie zastrzelił. Żaden ze świadków, byłych ofiar tego człowieka, nie obciążał go tym

oskarżeniem. Szef gestapo nawet nikogo nie uderzył. Tym bardziej był niebezpieczny. Nie mordował na ślepo. Obmyślał plany i dopilnowywał, aby inni je bezwzględnie wykonywali. W tej swojej zapiekłej nienawiści do wszystkiego co polskie, Baumvogell był jak najbardziej konsekwentny. Osobiście wybierał miejsca na rozstrzeliwanie Polaków.

— Charakterystyczna dla tego człowieka — mówił prokurator — jest rozmowa ze świadkiem Marią Jakubiak. Los aresztowanych w fabryce mebli był z góry przesądzony. A pomimo to Baumvogell, nie mogąc fizycznie zniszczyć żony jednego z aresztowanych, stosuje wobec niej torturę nadziei. Przyjmuje ją w swoim gabinecie, częstuje kawą, wykazuje troskę o zdrowie jej dzieci. Kiedy zaś kobieta nabiera otuchy, że jej interwencja będzie skuteczna i że w ten sposób ocali życie i wolność męża, gestapowiec brutalnie przywołuje ją do rzeczywistości. Z tryumfem oznajmia o egzekucji przygotowanej na następny dzień.

Po omówieniu szczegółowym zbrodni Baumvogella, część swojego przemówienia prokurator poświęcił eksterminacji Żydów w Bradomsku.

— Takie małe obozy pracy — przypomniał oskarżyciel — istniały w wielu miastach. Niemieccy kierownicy fabryk, pragnąc sobie zapewnić bezpłatną siłę roboczą postarali się, aby spośród Żydów wywożonych na stracenie do obozów śmierci, wybrać kilkaset osób do pracy w ich zakładach. Tak na przykład działo się w Częstochowie, gdzie stosunkowo liczny, bo kilkutysięczny obóz doczekał godziny wyzwolenia. Tak było również w Radomiu i jeszcze kilku innych miastach. Baumvogell stosunkowo szybko zorientował się, że ta wojna nie może być wygrana przez Hitlera. Obawiał się, że nieliczna grupka Żydów, jaka pozostała w mieście, może przeżyć i doczekać ostatecznej klęski Hitlera. Samowolnie zlikwidował tę grupę w taki sposób, w jaki likwidował przedtem setki obywateli polskich. Za ten zbiorowy mord Baumvogell ponosi osobistą odpowiedzialność. Inni Niemcy, nie powodując się bynajmniej litością, a wyłącznie własnym interesem, chcieli ocalić tych ludzi. To jedyny przypadek, kiedy szef gestapo sam

uczestniczy w egzekucji. Zapewne słusznie się obawiał, że rozstrzelanie trzystu osób jest ponad siły nawet jego dobranej ekipy oprawców, że może okazać się zbyt „mięki” i pozwolią którejś z ofiar uniknąć śmierci. Baumvogell drobiazgowo przygotowuje tę egzekucję. Nie zapomniał o sprowadzeniu wagonu wapna i ludzi, którzy by to wapno rozsypywali na świeże zwłoki. Osobiście dopilnowuje tych chłopów, aby dokładnie pracowali. O ileż gorszy był taki kat w rękawiczkach od zwykłego hitlerowskiego mordercy.

Następnie prokurator zajął się zeznaniami świadków obrony. Nie negował prawdziwości tych zeznań. Stwierdził jednak, że i wtedy Baumvogellem kierowało nie jakieś ludzkie uczucie litości, lecz zarozumiałość, chęć pokazania swojej władzy i zaimponowania innym.

— Partyzant złapany z bronią w rękę, a w dodatku oficer zawodowy, który ukrywał się, aby nie trafić do oflagu, nie ma oczywiście najmniejszych nawet szans ujęcia z życiem. Ten człowiek dobrze o tym wie. Szef gestapo w Bradomsku także wie, że jego obowiązkiem jest przekazać więźnia do Piotrkowa. Ale zarówno tamtym z Piotrkowa, jak i nieszczęśliwemu wepchniętemu do jego gabinetu chce pokazać swoją władzę. Zademonstrować, że istotnie tam, w Bradomsku, tylko on jest panem życia i śmierci. Dlatego też okazuje kapitanowi łaskę i jak sam powiada „daje mu szansę przeżycia”. Szansę, której w tej szczególnej sytuacji nie miał zasadniczo prawa mu dać. Ze wszystkich zbrodni Baumvogella ta, gdyby kazał rozstrzelać Jana Majora, mogłaby być przypisana całemu zbrodniczemu reżimowi, a nie wyłącznie szefowi gestapo. I dlatego Baumvogell jej nie popełnił.

— Co do ocalenia życia świadka Piechaczek — dowodził prokurator — tutaj mamy do czynienia z wyjątkowym szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Baumvogell nie mógł sobie odmówić satysfakcji zawiadomienia rodziny Wysockich o śmierci ich syna. Widokiem rozpaczy tych ludzi nakarmił swoje sadystyczne uczucia. Cóż więc dla niego znaczyło złowienie takiej małej płotki, jaką była w jego oczach młoda dziewczyna? Jako doświadczony gestapowiec, wiedział dobrze, że to nie

żadna konspiratorka. Taka nie trzymałaby gazetki na samym wierzchu nocnego stolika, a także nie straciłaby głowy i zdążyła zniszczyć nielegalny druk. To nie honor dla potężnego szefa gestapo łowić drobne rybki. Dlatego też zamyka szufladkę nocnego stolika i wychodzi z pokoju. I w tym czynie Baumvogella nie mogę się dopatrzeć żadnego ludzkiego odruchu.

— Wreszcie to masowe zwolnienie więźniów z piwnic gestapo — prokurator z żelazną logiką oskarżał kata z Bradomska. — Zwolnienie, które w tym mieście zdążyło już przejść do legendy. Ale to także nie nagle nawrócenie dotychczas błądzącego człowieka. Ewangeliczny Szaweł nawrócił się i przemienił w apostoła Pawła. Richard Baumvogell nadal pozostał takim samym, jakim był. Ale on dobrze wie, że dni jego władzy w Bradomsku są policzone. W tym momencie jego nienawiść do tych, którzy go odwołują ze stanowiska i posyłają na front wschodni, na prawie pewną śmierć, jest silniejsza od nienawiści, jaką żywi do Polaków. Dlatego też postanawia tamtym swoim wrogom z Berlina zrobić ostatni kawał. Zresztą nie Baumvogell pierwszy tak się zemścił za usunięcie go od władzy. Podobnie przecież postąpił Hidegvary, wielkorządca Węgier, kiedy po upadku powstania węgierskiego w 1848 roku cesarz Austro-Węgier odwoływał go ze stanowiska. Hidegvary również na kilka godzin przed swoją dymisją ulaskawił wszystkich powstańców skazanych na śmierć i oczekujących w więzieniach wykonania wyroku. Nie wiemy dokładnie, ilu więźniów wtedy Baumvogell wypuścił z lochów gestapo. Może było ich trzydziestu, może aż czterdziestu. To jednak garstka w porównaniu z tymi, którzy z tych samych lochów wyjeżdżali w ostatnią podróż do lasu nad Wartą.

— Trzeba się również zająć — mówił prokurator Szczypiorski — bohaterskimi czynami Baumvogella w Wojsku Polskim. Nie neguję tych czynów. Ale należy bardzo dokładnie przeanalizować, co spowodowało takie, a nie inne zachowanie się oskarżonego. Richard Heydrich nie żyje. Baumvogell stracił opiekuna i protektora. Hitlerowska banda rządząca Niemcami i prawie całą Europą, nigdy nie była towarzystwem wzajemnej

adoracji czy też związkiem najserdeczniejszych przyjaciół. Wewnątrz tej grupy wrzała walka o władzę i wpływy na śmierć i życie. Ta walka nie ustała do ostatnich godzin agonii Trzeciej Rzeszy. Mając więc w Heydrichu potężnego przyjaciela, Baumvogell także miał wielu wrogów. Gdy Heydricha zabrakło, przeciwnicy mieli wiele atutów w ręku, aby wykończyć wszechmocnego szefa gestapo w Bradomsku. Odwołany stamtąd, jedzie na front wschodni. Posyłają go wszędzie tam, gdzie grozi największe niebezpieczeństwo. Baumvogell wie, że tak będzie aż do końca. Aż do momentu, kiedy dosięgnie go jakaś kula. Kto wie, czy nie wystrzelona w plecy? Ten człowiek rozumie, że pozostała mu tylko jedna droga ocalenia. Dezercja! Przygotowuje ją równie starannie, jak uprzednio przygotowywał egzekucje w Bradomsku. Ale gdzie może uciec dezertergestapowiec? Nie przejdzie, nawet gdyby mógł, linii frontu, bo i tam, po drugiej stronie, musi odpowiadać za swoje czyny. Jego nazwisko figuruje na liście zbrodniarzy wojennych. Schronienia w jeszcze hitlerowskich Niemczech także nie znajdzie, jak nie znaleźli go sprawcy nieudanego zamachu na Hitlera, których za kilkaset czy kilka tysięcy marek sprzedawano gestapo. Gdzie więc można się bezpiecznie ukryć? Na to pytanie Baumvogell umiał sobie bezbłędnie odpowiedzieć i dlatego znalazł się w partyzanckim oddziale porucznika Rysia.

— Badaliśmy — przyznał prokurator — czy w tym postępowaniu oskarżonego nie kryła się większa podłość. Czy nie trafił do partyzantki jako wysłannik gestapo? Nie wysuwamy jednak takiego oskarżenia, ale tylko dlatego, że nie mamy na to dowodów, chociaż zbieg wypadków jest raczej zastanawiający. Gdzie nie zjawi się ten partyzant, Stanisław Wróblewski, tam zaraz jego śladem idzie kłęska. Tak było pod Parczewem, to samo zdarzyło się w Janowskich Lasach.

Oskarżony chciał w tym momencie zerwać się z miejsca i coś powiedzieć, ale adwokat Ruszyński przytrzymał go i jakoś uspokoił.

— Po oswobodzeniu Lubelszczyzny Baumvogellowi, a wtedy już Stanisławowi Wróblewskiemu, nadal groziła dekon-

spiracja. Każdy byłby mieszkaniec Bradomska mógł go rozpoznać. Trzeba znaleźć następną, wygodną kryjówkę. Dlatego też był szef gestapo na ochotnika zgłasza się do Wojska Polskiego. Nie przypadkiem wybiera taką jednostkę, która swój szlak bojowy zaczynała pod Lenino. Są w niej żołnierze nie znający okupacji na ziemiach Generalnej Guberni. O krwawym kacie Bradomska nie mogli słyszeć, a tym bardziej nigdy nie widzieli tego człowieka.

— Im większe są rozmiary totalnej klęski Trzeciej Rzeszy, tym bardziej wzrasta „bohaterstwo” Baumvogella. Ten człowiek już wie, że będzie musiał na tych ziemiach pozostać długo. Może nawet żyć tu aż do samej śmierci? Musi zatem zdobyć mocną pozycję. Wtedy nikt nie będzie śmiał go o nic posądzić. A ktoś by ośmielił się robić jakiegokolwiek zarzuty bohaterowi odznaczonemu dwukrotnie Krzyżem Walecznych i najwyższym polskim odznaczeniem bojowym Virtuti Militari?

— Po zakończonej wojnie, Richard Baumvogell także nie może wrócić do Niemiec. Nawet do Niemiec Zachodnich, czyli obecnej Niemieckiej Republiki Federalnej. Tam żyje i działa liczna grupa byłych esesmanów. Mają swoje związki, obchodzą swoje święta, organizują zjazdy. Te sieroty po Hitlerze nie dałyby spokoju dawnemu dezterterowi. O wypadek samochodowy czy spadającą z balkonu doniczkę zupełnie łatwo. Bezpieczniej żyje się w Polsce. I gdyby nie pech, przypadkowe odnalezienie przez Józefa Barańskiego zapomnianej w archiwach Głównej Komisji Badania zbrodni Hitlerowskich, starej fotografii, Baumvogellowi nadal żyłoby się bezpiecznie w tym kraju.

Z kolei prokurator omówił taktykę stosowaną przez oskarżonego zarówno w czasie śledztwa, jak i podczas rozprawy sądowej. Oczywiście oskarżony może się bronić tak, jak uważa za stosowne. Przyznanie do winy wcale nie jest konieczne. Natomiast zaprzeczenie przez oskarżonego, że nie jest Richardem Baumvogellem i nigdy nie był szefem gestapo w Bradomsku, po prostu śmieszny. Dwie ekspertyzy wykonane przez dwa różne, niezależne od siebie instytuty naukowe stwierdzają, że nie może być żadnych wątpliwości — osoba na

zdjęciu nosząca mundur Hauptsturmführera i człowiek podający się za Stanisława Wróblewskiego, jest jedną i tą samą postacią. O jakiegokolwiek omyłce nie ma mowy. Zarówno w śledztwie, jak i później przed sądem przewinęła się liczna grupa osób, które miały nieszczęście zetknąć się osobiście z Baumvogellem w czasie okupacji. Prawie wszyscy poznali swojego kata pomiędzy dziewięcioma innymi osobami. Rozpoznawali go zarówno po tej charakterystycznej czerwonej szramie na prawym policzku, jak też i po jego niebieskich oczach, wyrazie twarzy, mocno zarysowanym podbródku i kształcie czoła. Prokurator wykpił obronę stale przyczepiającą się do faktu, że świadkowie mówili „blizna” zamiast „znamię”. Nic dziwnego, że mówili o bliźnie. Prawie wszyscy ci świadkowie siedzieli w gestapowskim więzieniu. Baumvogell sam stworzył legendę blizny odniesionej w toczonych przez niego bohaterskich walkach pod Częstochową w 1939 roku. Takemu pupilkowi Heydricha po prostu nie wypadało nie odnieść rany na wojnie. Paradował przecież z Żelaznym Krzyżem rzekomo przypinany mu do munduru przez samego Hitlera. Dla imponowania swoim podwładnym, Baumvogell łatwo zamienił noszone od urodzenia znamię na bliznę wojenną. Stale powtarzając to kłamstwo, zapewne sam w nie w końcu uwierzył. Nawet w rozmowie z Polką Marią Jakubiak, powtórzył ten mit.

— Naród polski — zakończył swoje przemówienie oskarżyciel publiczny — nie szuka pomsty na swoich katach, ale wymierza przestępcom sprawiedliwość. O taki właśnie surowy, ale sprawiedliwy wyrok na Richardzie Baumvogellu mam zaszczyt prosić wysoki sąd.

Po przemówieniu prokuratora sąd zarządził półgodzinną przerwę zapowiadając jednocześnie, że po wznowieniu rozprawy głos zabierze obrona. Na korytarzach gmachu sądów publiczność i liczni przedstawiciele prasy gorąco komentowali wystąpienie prokuratora. Przeważało zdanie, że obrona stanęła przed ogromnie trudnym, jeżeli nie wręcz beznadziejnym zadaniem. W świetle dowodów, zeznań świadków oraz wywodów oskarżyciela publicznego wyrok skazujący nie ulega

wątpliwości. Bywalcy sal sądowych dziwili się jednak, że prokurator Szczypiorski nie zdefiniował wysokości kary, i nie zażądał wyroku śmierci. To raczej nie leżało w zwyczajach tego wybitnego prawnika. Czyżby i on miał pewne wątpliwości? Bo chociaż logicznie tłumaczył zachowanie się oskarżonego w szeregach Wojska Polskiego, czy uważał je jednak za okoliczność tak łagodzącą, że nie pozwalającą oskarżeniu żądać orzeczenia kary głównej?

Z tym większą ciekawością oczekiwano występu mecenasa Ruszyńskiego.

Początek przemówienia sławnego adwokata mocno rozczarował jego wielbicieli. Mecenas Ruszyński powtarzał na razie to, co już wielokrotnie mówił w czasie przesłuchiwania świadków. Twierdził, że nauka nie rozporządza żadnymi przekonywającymi dowodami, iż nie może być dwóch ludzi, o takiej samej budowie czaszki i takim samym znamieniu na prawym policzku. To, że takich dwóch identycznych osobników dotychczas nie wykryto, nie dowodzi, że oni w ogóle nie mogą istnieć. Właśnie ten proces wskazuje, że tak rzadki fakt zaistniał. Dlatego też, zdaniem adwokata, nie wolno oprzeć wyroku na ekspertyzach. Sumienności tych ekspertyz obrona nie podważa, ale sądzi, że nie można na tak kruchym i niepewnym dowodzie budować aktu oskarżenia i skazywać oskarżonego na więzienie lub nawet na karę główną.

Przeciwnie, istnieją niezbite dowody, że Richard Baumvogell poległ w bitwie na Łuku Kurskim, w lipcu 1943 roku. Są nimi oficjalne stwierdzenia amerykańskich władz okupacyjnych z 1947 roku i późniejsze zaświadczenie władz Niemieckiej Republiki Demokratycznej z 1961 roku. Jest nekrolog w niemieckich gazetach i wreszcie jest w Berlinie grób Baumvogella. Szef gestapo był wszechmocny w Bradomsku, gdyż miał oparcie w swoim przyjacielu, Richardzie Heydrichu, ale po śmierci tego opiekuna został niczym. Wysłano go na front wschodni, co równało się po prostu eleganckiemu wyrokowi śmierci. Jakim więc sposobem ten człowiek, pozbawiony wpływów, protekcji i znaczenia, już tylko zwykły oficer jednej z dywizji SS, mógłby tak zorganizować swoją

dezercję, aby i w aktach służbowych znalazła się szczegółowa data śmierci i ciało zostało przewiezione na cmentarz w Berlinie?

Następnie adwokat rozprawiał się z konfrontacjami przeprowadzanymi przez milicję. Uznał je za całkowicie bezwartościowe. Świadkowie, którzy w czasie tych konfrontacji rozpoznawali oskarżonego jako Richarda Baumvogella, byli pod wpływem oglądanych zdjęć. A w szczególności wiedzieli, że były szef gestapo miał bliznę na prawym policzku.. Widząc człowieka ze szramą, bezbłędnie rozpoznawali go wśród innych ludzi. Tamci. także mieli wymalowane czerwoną farbą jakieś znaki, ale wystarczyło trochę uwagi, aby rozpoznać, prawdziwą bliznę, czy też zręczną charakteryzację. Ludzie, codziennie oglądający jakiś film lub sztukę w telewizji, dobrze orientują się, kiedy aktorzy przy charakteryzacji posługują się pędzelkiem i farbą.

— Z tych wszystkich powodów — powiedział Mieczysław Ruszyński — stwierdzam, że oskarżenie nie potrafiło udowodnić aktu oskarżenia. Ponieważ wszelkie wątpliwości muszą być tłumaczone na korzyść oskarżonego, wnoszę o uwolnienie go od winy i kary z braku dowodów.

Tu adwokat zrobił krótką przerwę, aby znowu podjąć swoje przemówienie.

— Jestem obrońcą z urzędu, obrońcą mianowanym przez wysoki sąd, a nie wybranym przez oskarżonego. Dlatego też z ostrożności procesowej muszę się zająć także i sytuacją, gdyby wysoki sąd nie podzielił moich dowodów i wbrew mojemu stanowisku uznał jednak identyczność oskarżonego z Richardem Baumvogellem. Pozwoli więc wysoki sąd, że zajmę się także tamtą postacią.

Syn matki Polki i ojca Niemca, wychowany w szkole hitlerowskiej, wcześniej wciągnięty w tryby hitlerowskiej maszyny, od małego chłopca uczył się nienawiści do wszystkiego, co polskie. Blondyn o nordyckich rysach odpowiadał wszelkim obłądnym teoriom rasistowskim. Nic w tym dziwnego, że jego nauczyciele gorliwie zajęli się tak obiecującym uczniem. Sam Heydrich, druga po Himmlerze postać

w aparacie hitlerowskiego terroru, zainteresował się młodym człowiekiem. Otwiera przed nim drogę wielkiej kariery. Na razie daje dwudziestoczteroletniemu mężczyźnie stanowisko szefa gestapo w Bradomsku. Tutaj młody gestapowiec powinien się wyróżnić. W jaki sposób? Naturalnie tępiąc i wyniszczając Polaków i Żydów. Heydrich nie zawiódł się na swoim protegowanym. Ten młody człowiek rzeczywiście nienawidzi Polaków, niszczy inteligencję, posyła na śmierć ludność żydowską Bradomska. Czyni to zarówno z przekonania, jak i dla kariery.

Bywalcy sądowi słuchali mecenasa Ruszyńskiego w pełnym skupieniu. To przemówienie, te słowa wygłasza znakomity adwokat z dawnym temperamentem i dawną pasją. Teraz już sam wierzył w to, co mówił.

— Minęły przeszło dwa lata. Inteligentny szef gestapo, a inteligencji przecież Baumvogellowi nie odmówił nawet pan prokurator, spostrzega, że ci tak przez niego początkowo nienawidzeni Polacy są zupełnie inni, niż to Baumvogellowi wykładano w szkołach i na specjalnych uczelniach dla wyższych dowódców SS. Zaczyna się interesować narodem swojej matki. Już przedtem, może nawet podświadomie, chętnie używa języka polskiego. Później, co podkreślali świadkowie oskarżenia, dużo czyta po polsku. Studiuje polską literaturę klasyczną. Sienkiewicz, Prus, Żeromski, to tylko niektóre nazwiska autorów z jego lektur. Ale machina gestapo jest nieubłagana i kręci się nadal. W jej trybach znajduje się także szef gestapo w Bradomsku. Nie może się nagle zmienić. Zresztą te zmiany w jego duszy na pewno nie są nagłe i dawne przekonania jeszcze nieraz będą brały górę.

— Zeznawali tutaj trzej świadkowie — przypomniał obrońca — którzy wyłącznie Baumvogellowi zawdzięczają zdrowie i życie. Pan prokurator określił postępowanie Baumvogella jako chęć pokazania swojej władzy oraz zaimponowania tym ludziom swoją łaską. A trzeba pamiętać, że każdy z tych czynów szefa gestapo narażał go nie tylko na utratę stanowiska, ale kto wie, czy nie postawienia przed sądem wojennym? Wysłanie partyzanta do obozu w Dachau z fałszywymi papierami, iż jest

on zwykłym handlarzem żywnością, nie tłumaczmy jako demonstrację władzy. To ze strony Baumvogella krok nader ryzykowny. Tym ryzykowniejszy, że już wtedy potężny protektor, Heydrich, nie żył. Prokurator równie błędnie ocenił zachowanie się Baumvogella w domu notariusza. Nie przyszedł tam, aby się sadystycznie sycić rozpaczą rodziców po śmierci syna, ale żeby im raczej przynieść pociechę. Przecież pani Piechaczek wyraźnie słyszała słowa „pański syn zginął jak żołnierz, z bronią w ręku”. Te słowa w tamtych czasach pogardy były prawdziwą pociechą. Z domu zabitego bojownika nikogo nie zabrano. Nie aresztowano nawet dwóch młodych dziewcząt, siostr poległego. Rewizja była, według zeznań świadka, bardzo pobieżna. Pan prokurator doskonale wie, że takie naloty gestapo na domy, w których mieszkały rodziny bojowców zazwyczaj kończyły się zupełnie inaczej. A incydent z panią Piechaczek? Komu to Baumvogell miał imponować? Tej umierającej ze strachu młodziutkiej dziewczynie? Również i w tym czynnie Baumvogella trzeba widzieć zwykłą ludzką litość. Trzeba uznać, że w tym człowieku dobro zaczynało powoli zwyciężać zło. A zwolnienie wszystkich więźniów, to nie czyn na złość tym, którzy Baumvogella odwołali ze stanowiska, lecz jeszcze jeden ludzki odruch. Ten człowiek doskonale wiedział, ile zła wyrządził w Bradomsku. Odchodząc stamtąd pragnął polepszyć swoją opinię, a także chciał ocalić kilkudziesięciu ludzi. Pozostawienie więźniów w piwnicach gestapo zapewne równałoby się wydaniu na nich wyroku śmierci. Baumvogell kazał ich wypuścić i w tym ryzykownym postępku trzeba widzieć pierwszy krok na jego drodze do rehabilitacji.

— Zupełnie błędna jest ocena pana prokuratora czynów wojennych w szeregach Wojska Polskiego — skonstatował mecenas Ruszyński. — Także niesłusznie uznaje pan prokurator dezercję z dywizji SS, i jako postępek mający na celu jedynie ocalenie własnego życia. Wcale nie jest powiedziane, że Hauptsturmführer musiał zginąć na froncie wschodnim. Tam nie wszyscy esesmani, niestety, zginęli. Te upiory do dziś dnia straszą na Zachodzie. Uważam, że większym niebezpieczeństwem było być dezserterem, niż oficerem SS. A

jednak Baumvogell idzie na to ryzyko. Po prostu ten człowiek zrywa ze swoją .dawną, zbrodniczą przeszłością. Krew matki bierze w nim ostatecznie górę. Dlatego walczy w szeregach partyzantów, a później zgłasza się jako ochotnik do Wojska Polskiego. Ten czyn pan prokurator nazywa kamuflażem. Gdyby chodziło jedynie o dobrą kryjówkę, łatwo się było przecież dekować na tyłach. Ale co to za kamuflaż, jeśli z kilkudziesięcioma kilogramami ładunku wybuchowego pełnie się pod nieprzyjacielski bunkier? Jeden nieostrożny ruch, jedna przypadkowa kula i ten pana prokuratorowski kamuflaż zamieniłby się w głęboki lej, w którym nikt by nie odnalazł szczątków po człowieku tak przemyślnie ukrywającym się przed hitlerowcami. A bohaterska obrona browaru w Kamieniu Pomorskim? To także najlepsza, zdaniem prokuratora, kryjówka przed wrogiem?

Argumenty obrony były celne. Zrobiły wrażenie nie tylko na publiczności, ale również na wysokim sądzie. Prokurator miał w tym momencie niezbyt pewną minę. Gdzieniegdzie rozległy się śmiechy.

— Czyny wojenne oskarżonego — kończył swoje przemówienie adwokat — należy ocenić jednoznacznie. To czyste bohaterstwo człowieka, który świadomie wybrał nową drogę życia i na tej drodze krwią swoją okupywał dawne winy. Całe późniejsze życie Stanisława Wróblewskiego świadczy, że z tej drogi już nigdy nie zбочył. Chociaż sam jestem ofiarą terronu hitlerowskiego i przeszło cztery lata spędziłem w różnych obozach koncentracyjnych, mam uznanie i szacunek dla tego człowieka, który potrafił zerwać ze swoją zbrodniczą przeszłością. Nie wahając się narażać własnego życia, umiał stanąć po drugiej stronie barykady. Tam, gdzie stał cały naród polski, którego pełnoprawnym członkiem czuł się wtedy Stanisław Wróblewski. Czy swoim bohaterstwem i swoją własną krwią zdołał wyrównać rachunki z naszą ojczyzną, ta ocena należy już tylko do wysokiego sądu.

W swoim ostatnim słowie oskarżony jeszcze raz stwierdził, że nie był nigdy Richardem Baumvogellem i nigdy też nie pełnił funkcji szefa gestapo. Dlatego też nie uznaje aktu oskarżenia, a

nawet nie może się zgadzać z argumentami swojego obrońcy. Nigdy nie chciał się rehabilitować, bo nigdy nie był zdrajcą swojego narodu i państwa. Dlatego też w tym ostatnim słowie oskarżony nie prosił o uniewinnienie czy łagodny wyrok, a żądał sprawiedliwości.

Narada sądu trwała przeszło godziną. Nikt jednak nie opuścił sali. Wreszcie wysoki sąd powrócił na podium i przewodniczący w absolutnej ciszy zaczął czytać sentencję wyroku, który wszyscy wysłuchali stojąc. Po długich wstępach padło wreszcie „...i postanowił skazać oskarżonego na dziesięć lat więzienia”. Dalej następowały orzeczenia o pozbawieniu praw honorowych i obywatelskich oraz o kosztach sądowych.

— Proszę usiąść — przewodniczący złożył odczytywany wyrok i rozpoczął ustne uzasadnienie decyzji sądu.

Sąd uznał, że oskarżony podający się za Stanisława Wróblewskiego jest w rzeczywistości Richardem Baumvogellem i w czasie okupacji pełnił obowiązki szefa gestapo w Bradomsku. Na tym stanowisku oskarżony odznaczał się wyjątkowym okrucieństwem i nienawiścią wobec obywateli polskich. O tożsamości oskarżonego z Baumvogellem świadczą ekspertyzy fotografii oraz zeznania świadków, którzy zidentyfikowali go zarówno w czasie konfrontacji, jak i później na sali sądowej. Sąd także uznał za udowodnione wszystkie przestępstwa, o jakich mówili świadkowie. W szczególności egzekucje Polaków i Żydów, wysyłanie masowo ludzi do obozów koncentracyjnych, często bez najmniejszego powodu. W tych działaniach oskarżony wykazywał się nadgorliwością.

Jednocześnie sąd przyjął za słuszne twierdzenie obrony, że w latach 1942 i 1943 w psychice oskarżonego zaczęła zachodzić zasadnicza zmiana. Związek krwi z narodem polskim, jaki łączył Baumvogella przez matkę, zaczynał brać górę nad jego złymi instynktami. Sąd podziela tezę obrony, że oskarżony zrozumiał swoje winy i pragnął je okupić nawet za cenę własnego życia. Zgłoszenia się do partyzantki, a później do szeregów Wojska Polskiego, sąd nie uznał za taktyczny manewr i poszukiwanie przez oskarżonego bezpiecznego azylu, ale za próbę rehabilitacji. Doceniając w całej pełni bohaterskie czyny

oskarżonego na polach bitew, sąd jednak uważa, że nie mogły one w pełni zrównoważyć przestępstw popełnionych przez oskarżonego uprzednio, zwłaszcza że nie mogły powrócić życia ludziom, którzy zginęli na rozkaz szefa gestapo w Bradomsku. Z tych przeto względów sąd uznał za stosowne orzec karę dziesięciu lat więzienia.

Obecni wysłuchali w skupieniu słów uzasadnienia. Jedyne oskarżony zdawał się nic nie widzieć ani słyszeć. Tylko z oczu spływały jedna za drugą łzy. Ten człowiek nie płakał. Łzy płynęły same, bez jego woli i świadomości.

Wyrok, jak to często bywa, nie zadowolił nikogo. Ani obrony, ani oskarżenia, ani też przedstawicieli prasy, a nawet publiczności. Jedni uważali go za zbyt łagodny, inni mieli w ogóle wątpliwości, czy w tych okolicznościach celowe było orzekanie jakiegokolwiek kary. Na każdym jednak zachowanie się oskarżonego wywołało wstrząsające wrażenie.

Sędziowie już dawno opuścili salę rozpraw. Prokurator nie wyszedł razem z nimi, tylko nerwowymi ruchami zbierał swoje papiery, a później nie skierował się w stronę małych drzwi za podium, tylko przeszedł przez całą salę. Przywitał się z podpułkownikiem Kaczanowskim i powiedział do niego półgłosem:

— Obawiam się, pułkowniku, czy w tej sprawie zrobiliśmy wszystko, co można było uczynić? Czy tu nie zachodzi jakaś straszna pomyłka? Niech pan jutro wstąpi do mnie. Musimy to na spokojnie przemyśleć i przedyskutować.

Wychodząc z sali rozpraw, mecenas Mieczysław Ruszyński także zetknął się twarzą w twarz z podpułkownikiem Januszem Kaczanowskim.

— Zadowolony pan pułkownik? — powiedział adwokat.

— Zamknęliście faceta na dziesięć lat. Przy jego wieku i jego zdrowiu ma niewielkie szanse wyjścia na wolność.

Prędzej opuści więzienie nogami do przodu. Winszuję sukcesu.

— Powiem szczerze, mecenasie, gorzko mi. Wcale nie uważam się za zwycięzcę. To pan raczej jest nim. Sąd przecież podzielił pański tok rozumowania. Dziesięć lat więzienia. To

chyba najniższy wyrok, jaki kiedykolwiek otrzymał w Polsce zbrodniarz wojenny.

— Mnie także jest bardzo gorzko na duszy. Obawiam się, że źle i bez przekonania broniłem tego człowieka. Dopuszcili, aby niewinny został skazany na dziesięć lat. I jak tu mówić o sukcesie?

— Aż do momentu ogłoszenia wyroku byłem absolutnie pewien winy oskarżonego. Kiedy jednak potem go obserwowałem, doznałem wstrząsu. Czy nie skazano niewinnego?

— A więc, pułkowniku?

— Musimy tę sprawę doprowadzić do końca. Nie uważam, aby ją dzisiejszy wyrok ostatecznie rozstrzygnął. Wierzę, że jeśli się do tego razem zabierzemy, zdołamy rozwiązać tę przedziwną zagadkę. Czy pan się na to zgadza, mecenasie.

— Czekałem na takie słowa.

Obaj mężczyźni serdecznie uścisnęli sobie ręce. Dawne animozje, wzajemne żale i pretensje zniknęły.

Milicja wyprowadziła z opróżnionej już przez publiczność sali oskarżonego. Szedł jak niewidomy. Nie spojrzał na szlochającą na ławce w korytarzu żonę. Z wyrazu twarzy obu milicjantów łatwo było poznać, że dużo by dali, aby nie znajdować się w tym miejscu i w roli konwojentów.

XIII

Tajemnica starej fotografii

— No, Januszk, nareszcie się ta sprawa Baumvogella skończyła — pułkownik Niemirowicz na drugi dzień po zakończeniu procesu witał swojego podwładnego, podpułkownika Kaczanowskiego. — Podobno mecenas Ruszyński wygłosił wspaniałe przemówienie. Wykreślił tego faceta zaledwie dziesięcioma latami.

— Wkopał go na dziesięć lat, co, praktycznie biorąc, jest wyrokiem na dożywocie.

— To dobrze.

— Wcale nie dobrze.

— Dlaczego?

— Bo facet jest niewinny. Jestem tego więcej niż pewien.

— Przecież sam prowadziłeś dochodzenie. Były ekspertyzy i konfrontacje.

— Wszystko diabła warte.

— Nie poznaję cię.

— Ja sam siebie nie poznaję. Wstydzę się oglądać swoją twarz w lustrze. Spartoliłem całe śledztwo. Dałem się zasugerować wynikiem ekspertyzy, i z góry założyłem, że ten Wróblewski musi być Richardem Baumvogellem. Pod tym kątem prowadziłem dochodzenie. W rezultacie niewinnego człowieka skazano na dziesięć lat. — Sądysz, że te ekspertyzy były błędne?

— Na pewno były dobre. Nasz błąd tkwi gdzie indziej.

— Ale gdzie?

— Żebym to ja wiedział?

— A pan prokurator?

— Jeszcze nie rozmawiałem z nim. Ale i on ma wątpliwości.

— Skąd to przyszło ci do głowy? Masz jakieś nowe dane?

— Widok tego człowieka po wyroku. Jego twarz. Nie płakał, łzy same płynęły mu z oczu. A później dwóch milicjantów musiało go prowadzić pod ręce jak niewidomego. To nie była gra. Wierzaj mi, widziałem setki ludzi, którym odczytywano

wyroki. Nawet wyroki śmierci. Czytałem w ich twarzach rozpacz, strach i nienawiść. Ale mieć taką twarz i tak zareagować na wyrok, mógł tylko człowiek, którego niewinnie skazano.

— To żaden dowód.

— Wiem o tym. Ale znajdę i dowody.

— Przecież śledztwo jest zamknięte. Nie ma żadnych realnych podstaw do jego wznowienia.

— Będziemy je prowadzili prywatnie. Poza moją urzędową robotą. Chyba mi nie zabronisz? Poświęcimy na nie cały swój wolny czas.

— Tyś chyba zwariował? A już się cieszyłem, że teraz będziesz się mógł wziąć za sprawę „krwawego Macieja” i jego bandy.

— Wezmę się za nią. Powiedziałem ci przecież, że to będzie nasze prywatne dochodzenie dla wykazania niewinności Stanisława Wróblewskiego.

— Jakie „nasze”?

— Moje i mecenasa Ruszyńskiego.

— Wy będziecie działać razem?

— Dlaczego nie? To świetny adwokat i już nieraz oddał nam nieocenione wprost usługi. Wierzę, że i tę zagadkę potrafimy rozplątać i wyciągnąć z więzienia niewinnego człowieka.

— Ty i Ruszyński, dwóch wspólników? Świat się kończy.

— Nie możemy dopuścić do tego, aby Stanisław Wróblewski cierpiał w więzieniu za cudze grzechy. Między innymi i moje. Obawiam się, że załamany wyrokiem targnie się na swoje życie.

— Takie prywatne śledztwo... Co na to powiedzą władze? Prokuratura będzie wściekła, że przekraczamy swoje kompetencje. Jeżeli Ruszyński ma wątpliwości, niech zakłada rewizję.

— Rewizja nic tutaj nie da. Wyrok jest oparty na pozornie niewzruszonych faktach. Trzeba te fakty podważyć. A co do naszego działania, niczego się nie obawiaj. Mógłbym ci o tym nic nie mówić. Ostatecznie to nikogo nie obchodzi, co robię ze swoim wolnym czasem. Zapewniam cię, że nie będę korzystał z pomocy ludzi z aparatu. Nawet nie użyję służbowych telefonów. Wszystko na mój koszt. Gdybym musiał gdzieś

wyjechać, zrobię to w ramach mojego urlopu. Również Ruszyński nie będzie ci się naprzykrzał z jakimiś wnioskami i żądaniami.

— Wyście obaj zwariowali. Ty i twój adwokat.

— Nie dopuścimy do niesprawiedliwości.

— Róbcie, co chcecie. Tylko tyle powiem, że jeżeli mnie przekonacie, zrobię wszystko, aby wam ułatwić zadanie. A jeżeli będziesz potrzebował kogoś do pomocy, postaram się to załatwić. Jednakże stawiam warunek. Twoja normalna praca nie może na tym waszym prywatnym śledztwie ucierpieć.

— To jasne. Bądź o to spokojny. I bardzo dziękuję obywatelowi pułkownikowi — Kaczanowski poderwał się do postawy zasadniczej — już biorę się za „krwawego Macieja”.

Obaj panowie: podpułkownik Kaczanowski i mecenas Ruszyński spotkali się jeszcze tego wieczoru. Tym razem nie poszli do ulubionego przez nich obu „Szanghaju”, ale skromnie usiedli w cichym barku kawowym nad filiżaneczką czarnego płynu. Kaczanowski streścił swoją rozmowę z pułkownikiem.

— Niemiroch to porządny gość — przyznał adwokat — od razu wiedziałem, że nie będzie nam czynił wstretów. Cały dzień myślałem dzisiaj o tej przekłętej sprawie. Klientów zbywałem byle czym. Moim zdaniem sedno zagadnienia leży w tej fotografii.

— I ja tak sądzę. Niemniej fotografia jest prawdziwa. Ani śladu jakiegokolwiek fotomontażu. Bo i to mi przyszło na myśl. Pytałem naszych fachowców. Wykluczają taką robotę.

— Oczywiście. Zresztą, kto by chciał specjalnie zrobić Wróblewskiego w taką aferę? Ten, kto znalazł fotografię, Józef Barański, nie miał żadnego interesu, aby topić Wróblewskiego. Ani go znał, ani go widział.

— A jednak Wróblewski jest na tym zdjęciu. Ekspertyza to potwierdza bezbłędnie. O omyłce nie może być mowy.

— Wiem o tym — zgodził się mecenas — zresztą, kiedy, po raz pierwszy zobaczyłem to zdjęcie, byłem pewien, że się nie mylę. Tak, to Wróblewski.

— A jednocześnie Richard Baumvogell. Świadców nie mieli wątpliwości. Nawet ci powołani przez pana mecenas.

— Te świadectwa są mało ważne dla sprawy. Uważam, że musimy pójść śladami fotografii. Skąd się ona wzięła w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, kto ją wykonał i kiedy?

— To nam nic nie da, mecenasie. Niczego tam nie znajdziemy. Badałem to prowadząc śledztwo. Nikt nic na ten temat nie wie. Moim zdaniem trzeba zidentyfikować pozostałych ludzi, którzy figurują na zdjęciu. Tych dwóch innych gestapowców.

— Chyba pułkownik ma rację. Poślę jutro mojego aplikanta do archiwum Komisji. Niech przegląda wszystkie znajdujące się tam fotografie. To zdolny i bystry młody człowiek. Na jego spostrzegawczości można polegać. A nuż coś znajdzie?

— Mam dostęp do różnych zbiorów zdjęć archiwalnych. W redakcjach, w zbiorach kroniki filmowej, a nawet w zbiorach wojskowych. Postaram się tam trochę poszperać. Człowiek ma wszędzie jakichś przyjaciół. Pomogą mi.

— To ważne — zgodził się Ruszyński — wiem, że w Krakowie istnieją bardzo bogate zbiory. Jeszcze z dawnego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” i następnie z wychodzących tam w czasie okupacji gadzinówek. Nie licząc naturalnie zdjęć zgromadzonych po wojnie. Mam w Krakowie serdecznego przyjaciela. Także adwokata, ale już na emeryturze. Jeszcze dzisiaj poślę do niego to zdjęcie. Myślę, że chętnie nam pomoże.

— Doskonały pomysł — zgodził się Kaczanowski — ja także mam trochę znajomości w różnych miastach Polski. Tych znajomków zaprzęgnę do roboty. Miałem nosa, kiedy kazałem zrobić pięćdziesiąt odbitek tej fotografii. Wystarczy dla naszej akcji.

— Musimy być w stałym kontakcie — zaproponował mecenas — jeżeli nie osobistym, to przynajmniej telefonicznym. To ważne. Od razu widać skutki takiego kontaktu. Ledwieśmy się spotkali, sprawa ruszyła z miejsca.

— Żeby tylko w dobrą stronę.

— Jeżeli to ślepa uliczka, znajdziemy inną — Miecio był jak zwykle optymistą — takich, jak nas dwóch razem, to nie ma ani

jednego w całej Polsce. Kiedy zaczniemy wspólnie myśleć, na pewno coś wymyślimy.

Kiedy się żegnali, podpułkownik po cichu zapytał.

— Mecenasiu, co to za szalowa blondynka, z którą ostatnio pana widują?

— Prawda, że ładna? — puszył się Miecio. — Ale nic panu pułkownikowi nie powiem, aby mi pan jej nie poderwał. No, na mnie już czas. Zatem do jutra. Zadzwońię koło dwunastej.

Jednak nie pomagały ani telefony, ani osobiste spotkania dwóch nowych przyjaciół. Ich prywatne śledztwo przynosiło tylko negatywne wyniki. Nie pomogło przeglądanie setek czy tysięcy zdjęć z czasów okupacji, szperanie po starych czasopismach. Nikt z pomocników, czy to Ruszyńskiego, czy Kaczanowskiego nie znalazł twarzy, która choćby trochę była podobna do osób na fotografii z archiwum głównej komisji.

Dopiero po jedenastu dniach Ruszyński bardzo podniecony zadzwonił do pułkownika.

— Muszę się z panem zobaczyć. Jak najprędzej.

Kaczanowski właśnie zajęty był przesłuchiowaniem jednego z członków bandy „Krwawego Macieja” i panowie mogli umówić się dopiero za dwie godziny. W bufecie sądowym, bo i adwokat miał jakiś termin, którego nie mógł opuścić. Pojawienie się przy jednym stoliku Ruszyńskiego i Kaczanowskiego wywołało prawdziwą sensację wśród adwokatów, prokuratorów i sędziów, właśnie cała ich gromada poszła do bufetu na szklankę herbaty lub kawy. O nieporozumieniach pomiędzy tymi dwoma krążyły przecież w tym gmachu prawdziwe legendy. A tymczasem dwaj wrogowie pochyleni ku sobie coś szeptali.

— Jestem skończonym idiotą — zaczął Miecio — w dodatku ślepym idiotą. Oglądałem to zdjęcie chyba z tysiąc razy. Na rozprawie przez wszystkie dni miałem je przed sobą i nic nie widziałem.

To mówiąc Miecio wyjął ze swojej zniszczonej teczki zdjęcie trzech gestapowców znęcających się nad więźniem.

— Mecenasiu — uśmiechnął się podpułkownik — znam przecież to zdjęcie. Nie musi mi go pan pokazywać.

— Niech pan jednak patrzy. Nie widzi pan tu niczego nadzwyczajnego?

— Nie widzę.

— Ten więzień jest w pasiaku.

— No to co z tego?

— W aresztach gestapowskich, a nawet w zwykłych więzieniach Polacy nie nosili pasiaków. Pasiaki były tylko w obozach koncentracyjnych. Jeżeli kogoś z obozu wysyłano do jakiegoś gestapo poza lagrem, ubierano go w cywilny garnitur.

— Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie?

— To bardzo proste. Takie zdjęcie mogło powstać jedynie w jakimś obozie.

— To całkiem możliwe.

— To niemożliwe, pułkowniku. Baumvogell według stanu jego służby nigdy nie był funkcjonariuszem jakiegokolwiek obozu koncentracyjnego.

— Mógł tam pojechać na przesłuchanie więźnia.

— Gdyby nawet tak było, to nie on byłby główną osobą przesłuchania, a jakiś inny gestapowiec z miejscowego Politische Abteilung. Ci panowie byli zazdrośni o swoje kompetencje. Baumvogell mógłby jedynie siedzieć z boku i przysłuchiwać się przesłuchaniu. A poza tym, to nie jest obóz koncentracyjny.

— Dlaczego?

— W tym pokoju nie ma krat. Wszystkie pomieszczenia w obozie były zawsze okratowane. To było regułą.

— Mogło to być jakieś biuro leżące w pobliżu obozu.

— Nigdy by do takiego biura nie wypuścili więźnia poza teren lagru. Niech pan pułkownik wierzy mojemu smutnemu doświadczeniu. Przez cztery lata oglądałem wiele koncentraków od wewnątrz. Znam zwyczaje, jakie w nich panowały.

— Jaki stąd wniosek?

— Jeszcze nie wiem. Ale stwierdzam, że to zdjęcie jest co najmniej dziwne. Myślę nad tym nieustannie i zapraszam też pana pułkownika do ruszania głową.

Janusz Kaczanowski zastanawiał się długo.

— Pana spostrzeżenie — powiedział wreszcie — zmienia

sytuację. Sądzę, że posunęliśmy się o duży krok w naszej akcji. Tylko nie wiem w jakim kierunku.

— Dlaczego ten pasiak? — upierał się Miecio. — Jeżeli to potrafimy wytłumaczyć, rozwiążemy całą zagadkę. A bez tego nie ruszymy z miejsca.

— Gotowy jestem posłać to zdjęcie do Muzeum w Oświęcimiu. Może tam znajdą wytłumaczeni^ zagadki.

Ruszyński nie poparł tego pomysłu:

— Jeżeli my tego nie rozwiążemy, oni na pewno też.

— Żeby znaleźć choć jednego z tych pozostałych dwóch gestapowców — westchnął podpułkownik.

— Marzenie. — Nie znajdziemy. Przynajmniej tutaj w Polsce. Może siedzą teraz w jakiejś piwiarni w Monachium, lub w Kolonii i wspominają dawne czasy, jak to się im pięknie żyło w Generalnej Guberni? Gdybym ich chociaż tam mógł odszukać, nie zawahałbym się pojechać do nich.

— Nic by panu mecenasowi nie powiedzieli. Nie lubią tych tematów.

— A gdyby jeszcze raz porozmawiać ze Stanisławem Wróblewskim?

— Kto to ma zrobić, ja czy pan mecenas? Rozmawiałem z nim dziesiątki razy. Za każdym razem słyszałem „nie jestem Baumvogellem”.

— Mnie on powtarzał to samo. Zresztą teraz wierzę, że nim nie jest. Nie mogę jednak zrozumieć tego zdjęcia.' Wielokrotnie wypytywałem się o nie. Skutek był taki, że żądał przerwania widzenia i strażnik odprowadzał go do celi. Adwokat nie może zatrzymać na widzeniu więźnia, który nie chce z nim rozmawiać. Co innego pan. Oficerowi! milicji nie można zrobić takiej sztuczki.

— Ale można milczeć, jak to właśnie Wróblewski nieraz i robił. Kolejne spotkanie z nim uważam za bezcelowe. Zresztą w tej chwili i tak byłoby to niemożliwe. Wróblewski ciężko się rozchorował i przebywa w więziennym szpitalu.

— Co mu jest?

— Ostry kryzys nerwowy. Reakcja na wyrok.

— Zaczynam wierzyć, że rzeczywiście ten człowiek był

sobowtorem Baumvogella. Inaczej nie potrafię sobie tej sprawy wytłumaczyć.

— To nonsens. Można takiego argumentu używać na sali w czasie procesu, jak już się nie ma niczego innego do powiedzenia, ale nie w naszej rozmowie.

— Wiem o tym, ale jak to wytłumaczyć w inny sposób?

— Na pewno nie mamy tutaj do czynienia z cudem.

— A więc?

— Pan mecenas już zrobił jedno bardzo ważne spostrzeżenie. Z tym pasiakiem. Jak się myśli, to się zawsze coś wymyśli.

— Na tej zasadzie Chińczycy wynaleźli proch. Niestety, ubiegli nas.

— Prochu nie wymyślimy. To pewne. Może jednak panu mecenasowi znowu coś wpadnie do głowy? Ja także spróbuję pogłówkować. Na szczęście moje akta podręczne są prawie kompletne, bo prawie wszystkie dokumenty sporządzałem przynajmniej w dwóch egzemplarzach. Przestudiuję je po raz już nie wiem który.

— To nic nie da — powiedział adwokat — znam te akta prawie na pamięć. Nie raz i nie dwa szukałem w nich czegoś, co mogłoby podważyć oskarżenie.

— Narobił nam pan jednak bigosu, mecenasie, z tym przedwczesnym opublikowaniem w prasie fotografii. Mocno pan podważył prawdziwość wyników konfrontacji.

— Bo w ogóle nie wierzę w konfrontacje dokonywane po upływie wielu lat. To zawsze jest raczej zgadywanką niż identyfikacją opartą na podobieństwie. Jak można bezbłędnie rozpoznać człowieka, którego nie widziało się przez czterdzieści lat? Przecież i on się zestarzał i, co tu gadać, własna skleroza także daje znać o sobie.

— A jednak świadkowie rozpoznawali w oskarżonym Baumvogella.

— To właśnie jest dla mnie koronnym argumentem przeciwko wartości konfrontacji. Przecież obaj jesteśmy obecnie przekonani, że Wróblewski nie jest Baumvogellem. Inaczej nie męczylibyśmy się nad tą sprawą. Na takich konfrontacjach ludzie przypominają sobie, że przestępca miał na przykład

zielone oczy, niskie czoło czy też zadarty nos.

Jeżeli wśród okazywanych im osobników jest ktoś choć trochę podobny i mający opisane cechy, zawsze go „poznają”. Widziałem i brałem sam udział w takich fałszywych konfrontacjach. Na najrozmaitszych procesach. Wcale nie przeczę, że Wróblewski mógł być dość podobny do Baumvogella. Niektórzy świadkowie szczerze mówili, że go poznają po bardzo jasnoniebieskich oczach czy wysuniętym podbródku.

— Idealnych sobowtórów nie ma — a jednak to zdjęcie na pewno przedstawia Wróblewskiego — upierał się podpułkownik.

— Jeszcze przed procesem — wyjaśnił Ruszyński — pytałem mojego klienta, czy w czasie, kiedy przebywał w oddziałach partyzanckich, nie przebierali się za hitlerowców? Takie rzeczy często się zdarzały. Ale on kategorycznie zaprzeczył.

— Prokurator także go to wypytywał.

— Sądzę, pułkowniku, że należałoby wykonać dodatkową ekspertyzę.

— Nic ona nam nie da. Potwierdzi wyniki dwóch poprzednich.

— Nie idzie mi o badania antropologiczne oskarżonego. Uważam, że nie zaszkodzi zbadać samą fotografię. Nie nasze odbitki, ale ten oryginał z Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich.

— Po co?

— Może uda się ustalić, czy to przypadkiem nie fotomontaż? A także przypuszczalną datę powstania tego zdjęcia. Chyba badania papieru, na którym sporządzono odbitkę, pozwolą na takie ustalenia.

— Nie wiążę z tym żadnych nadziei.

— Tonący brzytwy się chwyta.

— Dobrze. Postaram się o taką ekspertyzę. Trzeba będzie załatwić trochę po kumotersku. Ale mam przyjaciela w Zakładzie Kryminalistyki. On mi pomoże. Odetnę z oryginału fotografii malutki ścinek marginesu. Niech go zbadają. Natomiast co do fotomontażu, nie ma potrzeby wracać do tego zagadnienia. Jak już wspomniałem nasi fachowcy z komendy

wypowiedzieli się w tej sprawie kategorycznie. To nie jest fotomontaż.

— A gdyby zdobyć jakieś inne zdjęcie Baumvogella. Takie, które nie budziłoby żadnych wątpliwości? — Miecio był jak zawsze pełen najrozmaitszych pomysłów.

— To także beznadziejne. W aktach personalnych SS i gestapo takie zdjęcie się nie zachowało. Zginęły w czasie wojny także archiwa w Gliwicach, gdzie młody Baumvogell uczęszczał do szkół. Niech pan nie myśli, mecenasie, że nie prowadziliśmy śledztwa w najrozmaitszych kierunkach. Nie zdobyliśmy takich zdjęć i zapewne ich w ogóle już nie ma. Gestapowcy nie lubili się zbyt często fotografować.

— Nawet na grobie Baumvogella, który udało mi się odnaleźć w Berlinie, nie zrobiono „porcelanki”, tak popularnego w Niemczech zdjęcia wypalonego na porcelanie.

— Najwidoczniej ci, którzy zajmowali się pogrzebem byłego szefa gestapo, także nie rozporządzali żadnym jego zdjęciem. ,

— A więc?

— Rozchodzimy się, ale nie powiem, że z niczym. Jedno, dwa takie odkrycia, jak to dzisiejsze pana mecenas, a sprawa ruszy w stronę szczęśliwego końca. Co do mnie, jestem teraz optymistą.

— A ja nim byłem zawsze — zapewnił Miecio.

XIV

Sukces prywatnego śledztwa

Sprawę zbadania zdjęcia z archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich podpułkownik Janusz Kaczanowski załatwił bardzo szybko. Sam się wybrał do archiwum. Obciął kawałeczek marginesu fotografii i ten skrawek zawiózł w Aleje Ujazdowskie. Fachowcom wystarczyło porównać ten papier z odpowiednimi tabelami, aby orzec, że jest to produkcja niemiecka z czasów wojny, gdyż wykazuje brak pewnych składników, o które wówczas było trudni. Analiza potwierdziła zatem autentyczność fotografii i nie dopomogła prywatnemu śledztwu obu panów.

Oficer milicji zastosował więc jeszcze raz swoją ulubioną metodę, która mu -już przyniosła tyle sukcesów. Wczytywanie się wielokrotne w zgromadzony materiał. Może uda się tam znaleźć, jakiś drobiazg, na jaki przedtem nikt nie zwrócił uwagi, a mogący okazać się kluczem do rozwiązania zagadki? I tym razem kolejne szczegółowe prześledzenie materiału śledczego nie zawiodło podpułkownika. Po kilku dniach, zaprosił on adwokata Mieczysława Ruszyńskiego na konferencję.

— Ja także — pochwalił się Kaczanowski — zrobiłem pewne spostrzeżenie. Pozazdrościłem mecenasowi jego więźnia w pasiaku i badając akta ciągle je przymierzałem do tego człowieka.

— Zbyt wiele uwagi śledztwo mu nie poświęciło. Ja także, jako obrońca oskarżonego, nie widziałem tutaj żadnego punktu zaczepienia.

— Ja jednak coś znalazłem. Drobiazg. Może bez znaczenia, a może to ten kamyk, który ruszy lawinę.

— Umieram z ciekawości. Niech wreszcie pan pułkownik przestanie być taki tajemniczy.

— Zarówno w czasie śledztwa, jak i w czasie procesu, kiedy

wielu świadkom okazywano to zdjęcie, stwierdzali że twarz więźnia nie jest im obca. Ale jednocześnie zaprzeczali, że był to ktoś z Bradomska. Twierdzili, że znają tę twarz, ale nie mogą sobie przypomnieć, skąd znają.

— Tak. Racja. Chyba jeden ze świadków obrony tak twierdził, prawda?

— Nie tylko on. Byli i inni. Niektórzy dodawali, że tę twarz widzieli już po okupacji.

— Rozumiem. Ten człowiek przeżył okupację. Może uda się go nam odnaleźć. To pułkownik miał na myśli?

— Przyjemnie mieć do czynienia z kimś, kto od razu wszystko w lot pojmuje.

— Ma się tę trochę lat na karku — Miecio wprawdzie zawsze twierdził, że jego największą zaletą jest skromność, ale przede wszystkim lubił pochwały — trochę się w życiu widziało i słyszało.

— Wiem, wiem.

— Pańska uwaga jest bardzo cenna, pułkowniku — adwokat zrewanżował się oficerowi milicji — może to klucz do całej sprawy? Musimy znaleźć tego człowieka. Nawet jeśli on nie żyje, odnajdziemy przecież kogoś, kto go znał.

— To nie takie proste.

— Prasa, telewizja.

— Dzięki manewrom pana mecenas, cała prawie prasa opublikowała to zdjęcie. Nie licząc tych pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy książki, w których także pojawiła się nasza fotografia. To nie dało żadnego skutku. Zgłaszali się tylko świadkowie, którzy znali Baumvogella. Nikt nie zainteresował się więźniem.

— Bo był on postacią drugoplanową. Wszyscy oglądali zdjęcie kata Bradomska. Na nikogo innego nie zwracano uwagi. Jeżeli panu w telewizji pokazują na przykład prezydenta Reagana, czy zwraca pan uwagę, jak wyglądają jego goryle? Jeżeli jednak teraz pokażemy tylko więźnia i poprosimy o pomoc w jego identyfikacji powinniśmy spotkać się z odzewem.

— To nie jest takie proste — powtórzył podpułkownik.

— Przecież nieraz społeczeństwo wam pomogło. Zdjęcia

listów gończych umieszczane w prasie i telewizji przyczyniały się do ujęcia przestępców.

— Ale tutaj także mamy do czynienia z upływem prawie czterdziestu lat. Poza tym ludzie są trochę zmęczeni tymi ciągłymi wezwaniami do pomocy. Nie tylko milicja do niedawna wołała „Pomóżcie”. To hasło bardzo się zdewaluowało.

Zapadło milczenie. Obaj panowie zastanawiali się, co zrobić. Pełny pomysłów Miecio nagle zawołał:

— Mam, mam. Trzeba ogłosić konkurs.

— Jaki konkurs?

— Może w prasie, może w telewizji? Chyba lepiej w telewizji.

— Niechże pan powie jaśniej, mecenasie.

— Konkurs „twarze z dawnych lat”. Weźmie się fotografie, powiedzmy, dziesięciu bardzo znanych ludzi nauki, sztuki, literatury, można nawet i jakiegoś adwokata. Te fotografie będą sprzed trzydziestu lat. Między innymi przemycimy i naszą twarz. Twarz tego więźnia. Przy odpowiedniej reklamie i kilku cennych nagrodach skutek musi nastąpić. Publiczność połknie ten haczyk.

— Skąd weźmiemy nagrody? — podpułkownik był praktycznym człowiekiem.

— To nieważne — Miecio promieniował optymizmem — trzeba zręcznie podsunąć jakiemuś facetowi z telewizji ten pomysł, aby go uznał za własny. Wtedy z nagrodami nie będzie kłopotów. Telewizja urządza stale najrozmaitsze quizy. Mają na to miejsce w programie i mają odpowiednie fundusze na nagrody. Zresztą dla reklamy firmy chętnie dają nagrody bezpłatnie. Gotów jestem sam ofiarować jakąś nagrodę. Na przykład cenny japoński magnetofon.

— Skąd go pan weźmie? Nawet w komisach nie ma.

— Ja mam. Niedawno otrzymałem taki prezent od wdzięcznego klienta, którego przed paru laty wyciągnąłem z poważnych kłopotów. Facet wrócił z Tokio i przywiózł mi to cacko. Nie jest mi ono potrzebne i mogę się z nim rozstać.

— Pomysł jest dobry. Tylko jak go zrealizować?

— Ja to załatwię. Zaproszę kilku dziennikarzy do „Szanghaju”. Podrzucę im jakąś ciekawą historyjkę. Adwokat z moją

praktyką zawsze coś takiego ma na podorędziu. Oni już to załatwią w telewizji. Przecież to dziennikarskie bractwo zna się jak łyse konie. Reszta sama poleci.

— Nie jestem tego taki pewien.

— Ja podejmuję się swoje zrobić. A pan pułkownik zajmie się stroną techniczną. Dostarczy mi pan samą główkę naszego więźnia w odpowiednio dużym powiększeniu. Inne zdjęcia znajdzie ten, kto kupi mój pomysł. Postawię warunek, że wśród tych zdjęć musi być i nasze.

— A jeśli nikt nie odgadnie, kim jest ten człowiek?

— To nasze zmartwienie. Organizatorzy konkursu rozlosują nagrody pomiędzy te osoby, które odgadły największą ilość pokazanych zdjęć. Ale niech się pułkownik nie martwi. Ludzie lubią takie imprezy. Są one oglądane przez miliony widzów.

— Nie wiem, czy pułkownik Niemirowicz nie zmyje mi porządnie głowy za taką samowolę. Zorganizowanie przez milicję tego rodzaju akcji wymaga co najmniej zgody samego komendanta, jeżeli nie komendy głównej.

— Niech się pan, pułkowniku o nic nie martwi. Zwycięzców się nie sędzi. A my tym razem zwyciężymy.

Jak to Ruszyński załatwił, pozostało jego tajemnicą. Dość, że już na czwarty dzień podpułkownik został przez adwokata zaproszony do „Szanghaju”, gdzie także zjawili się dwaj panowie z telewizji. Miecio krótko zagaił, kiedy panowie uporali się z przekąskami, a kaczka „w czterech smakach” dopiero miała się zjawić na stole.

— Drogi pułkowniku, panowie mają świetny pomysł nowego quizu. Dlatego pozwoliłem sobie pana zaprosić, bo tak się przypadkowo zdarzyło, że ten pomysł i nas będzie interesować w wiadomej sprawie. Ale najlepiej niech panowie sami o tym opowiedzą.

— Przyszło nam na myśl — zaczął jeden z redaktorów — aby zabawić publiczność telewizyjną pokazaniem im na ekranie starych zdjęć sławnych ludzi.

— Polityków? — zapytał Kaczanowski.

— To byłoby może dość ryzykowne — zastrzegł się dziennikarz — raczej kogoś z przedstawicieli literatury, sztuki,

byłego słynnego, sportowca, wybitnego aktora.

— Rewelacyjny pomysł — entuzjazmował się Ruszyński

— na pewno wzbudzi ogromne zaciekawienie. Jak panowie na to wpadli?

— Ma się tę rutynę — skromnie zaznaczył jeden z zaproszonych — umiemy wyczuwać, czego publiczność oczekuje od telewizji.

— No tak, poziom naszej telewizji jest bardzo wysoki — Miecio łął bez zmrżenia oka — macie doskonałych fachowców w różnych dziedzinach.

— Tak — przyznał Kaczanowski — to na pewno będzie bardzo ciekawe.

— Kiedy zupełnie przypadkowo dowiedziałem się o tym nowym quizie od panów redaktorów, zaraz pomyślałem o pułkowniku. Czy by nie włączyć do zadań konkursu pańskiej fotografii.

— Jakiej fonografii? — zdziwili się dziennikarze.

— Pułkownik poszukuje jednego z więźniów z obozu koncentracyjnego. Wie, że ten człowiek przeżył okupację, ale nie zna jego nazwiska.

— Muszę panom w tajemnicy powiedzieć, że odnalezienie tego człowieka — podjął temat podpułkownik — ma dla nas ogromne znaczenie. Gdybyśmy mogli z nim porozmawiać, być może zdobylibyśmy nowe dowody przeciwko różnym zbrodniarzom wojennym.

Dwaj panowie z telewizji nie byli zbyt zachwyceni pomysłem Kaczanowskiego, ale Miecio szybko zamówił następną butelkę „Soplicy”, co pozwoliło na lepsze zapoznanie się z planami milicji.

— Pan pułkownik ma tę fotografię? — zapytał adwokat.

Kaczanowski wyjął z teczki uprzednio przygotowane zdjęcie. Samej głowy człowieka w pasiaku. Dziennikarze pochylili się nad odbitką.

— Przystojny facet — zauważył jeden z nich — mam wrażenie, że go gdzieś widywałem.

— Mnie także ta twarz nie jest obca — przyznał drugi.

— No, widzicie sarni, że pułkownik nie wymaga od panów

jakichś cudów. Jeżeli panowie znają tego człowieka, to musi on być także znany wielu telewidzom. I to nie z czasów okupacji, bo wy obydwaj jesteście na to za młodzi.

— Więc jak? — zapytał Kaczanowski i dodał — Bardzo się cieszę z poznania panów. Często w mojej pracy zawodowej mam takie przypadki, że dobry dziennikarz zrobiłby z tego prawdziwą bombę. Czy to w telewizji, czy w jakimś tygodniku. Dlatego chętnie nawiązałbym kontakt z kimś, na kim można polegać.

— Lepszych ludzi pułkownik na pewno nie znajdzie — gorąco zapewniał Miecio.

— Ubijemy interes?

— Kupujemy — odpowiedział redaktor chowając zdjęcie.

— Jak szybko taki quiz może się ukazać na małym ekranie?

— Mamy jeden już gotowy, ale dość słaby. Ten jest dużo ciekawszy i puścimy go jako pierwszy. Za dziesięć dni będziemy gotowi.

Sprawa była zasadniczo załatwiona. Ruszyński szybko zmienił temat i kieliszki na te do koniaku. W pół godziny później całe towarzystwo było już na „ty” i znało się od wieków. Kiedy przyszło do płacenia rachunku, okazało się, że Miecio zdążył to przedtem dyskretnie załatwić. A gdy Kaczanowski zaprotestował, adwokat (tylko ręką machnął.

’ — Tak już jest w naszym fachu — powiedział. — Do jednego klienta się dokłada, za to z innego skórę obedrę. Naturalnie w ramach taksy.

Quiz w telewizji udał się doskonale. Jak wiele innych, tak i ten pomysł został odpowiednio udziwniony. Stare ramy, nieodzowny (gramofon z tubą, kilka tańczących dziewczyn, może nie za ładnych, ale za to zupełnie nie zgranych, jakieś śpiewaczki bez dykcji i głosu, którym w zamian za pełny biust dobry Bóg poskąpił słuchu. Słowem normalka.

Ale skutek był. Panienci dyżurujące przy białych telefonach odbierały rozwiązania. Dzwoniono z całej Polski. Potem nadchodziły listy. Ogółem aż sto dwadzieścia dziewięć osób bezbłędnie odgadło wszystkie dziesięć pokazanych portretów. Pomiędzy nich rozlosowano nagrody. Poza tym zdobyli je także

telewizjowcy, którzy pierwsi zadzwonili z prawidłowym rozwiązaniem.

Podpułkownika Kaczanowskiego i adwokata Ruszyńskiego interesowała wyłącznie jedna stara fotografia. Dużo widzów zidentyfikowało ten portret. To po prostu popularny wrocławski aktor, pan Antoni Mirecki. Dawniej był on częstym gościem na małym ekranie. Dziś już nie to zdrowie, i na deskach teatrów we Wrocławiu występuje dużo rzadziej, nie zabiega o różne chałturki w radio i w telewizji. Kaczanowski aż się w czoło pukał.

— Przecież ja tego Mireckiego widziałem zarówno na scenie, jak i na ekranie chyba z dziesięć razy. Że też mi do głowy nie przyszło, iż możemy mieć do czynienia z aktorem.

— Ale skąd się on wziął na fotografii razem z Wróblewskim?

— Jutro jadę do Wrocławia. Już to uzgodniłem z Niemirochem.

— Pojadę z panem. Wprawdzie mam dwie sprawy w sądzie, ale koledzy mnie zastąpią. Pojedziemy moim wozem.

Mirecki był trochę zaskoczony i tym, że zrobiono go jednym z bohaterów quizu, jak i wizytą dwóch mężczyzn: oficera milicji i znanego adwokata. Kiedy zaś pokazano mu fotografię, od razu ją poznał.

— Będę to zdjęcie pamiętał do śmierci. Przecież wówczas omal wszyscy nie zginęliśmy. Nigdy nie byłem w takim bezpośrednim niebezpieczeństwie. Pamiętam tę naszą paniczną ucieczkę z ostrzeliwanego przez artylerię hitlerowską Kamienia Pomorskiego.

— To zdjęcie zrobione zostało w Kamieniu Pomorskim?

— Tak. Grałem wtedy w teatrze wojskowym. Dawaliśmy przedstawienia dla żołnierzy. No, nie na pierwszej linii frontu, ale i nie za daleko od niego. Kamień Pomorski był rzekomo bardzo spokojnym miastem. Od nieprzyjaciela oddzielał go szeroki zalew. Wysłano nas więc do miasta, abyśmy zorganizowali kilka przedstawień dla znajdujących się tam jednostek Wojska Polskiego. W jednej ze szkół znalazła się duża sala gimnastyczna nawet ze sceną. W tej sali wygodnie się rozlokowaliśmy. Było cicho i spokojnie. Jedyne nie radzono

nam wychodzić na brzeg zalewu. Graliśmy między innymi patriotyczną sztukę „Dla ciebie ojczyzno”. Już nie pamiętam kto ją napisał. Bodajże któryś z kolegów. Nie było tam wiele treści. Po prostu sztuka składała się z różnych scenek powiązanych albo konferansjerką, albo piosenkami. W dniu przedstawienia jeden z kolegów nagle zachorował. Tyfus brzuszny. Żeby mógł wystąpić, nie było mowy. Ale dzięki naszemu kierownikowi, kapitanowi Dalczowi, znaleźliśmy dublera. Jednego z żołnierzy o urodzie, którą sam Himmler uznalby za wzór nordyckości. Jak zaznaczyłem, wiele tekstu w tej sztuce nie było, chłopak inteligentny, szybko się nauczył kilkunastu zdań roli, mundur gestapowca leżał na nim jak ulał. Sala była nabita do ostatniego miejsca. W pierwszym rzędzie wyżsi dowódcy, dalej oficerowie i za nimi brać żołnierska. Wielu z nich, być może, pierwszy raz znalazło się w prawdziwym teatrze. Powodzenie mieliśmy ogromne. Nie chciano nam pozwolić zejść ze sceny. Znaleźli się jacyś dziennikarze i fotograf z Czołówki Filmowej. To on zrobił zdjęcie. Niestety, biedak 'zginął w miesiąc po tym pod Berlinem.

— Teraz wszystko rozumiem — uradował się Ruszyński.

— Przedstawienie skończyło się wcześniej. Jeszcze za dnia. Miało być powtórzone nazajutrz. Siedzieliśmy przy kolacji i co tu dużo mówić, oblewaliśmy nasz sukces, kiedy nagle zaczęło się piekło. Powietrzem targnął potworny huk, z okien wyleciały szyby i zaraz potem nieprzyjacielska artyleria otworzyła huraganowy ogień na miasto. Między innymi na naszą szkołę.

— Hitlerowcy rozpoczęli kontrofensywę?

— Właśnie. Usiłowali zdobyć Kamień Pomorski. Uciekaliśmy z płonącego gmachu szukając jakiegoś bezpiecznego schronienia. Wokoło wszystko stało w ogniu. Płonęły domy na rynku, parę pocisków trafiło w dach starej katedry. W końcu nasza teatralna grupka znalazła schronienie w jakiejś piwnicy. Kilku kolegów zostało rannych. Na szczęście lekko. Bój trwał kilkanaście godzin, zanim wreszcie nieprzyjaciela odparto i z powrotem zepchnięto na drugi brzeg zalewu. O dalszych przedstawieniach nie było już mowy. Nasze samochody, w których woziliśmy kostiumy i coś w rodzaju dekoracji, bardzo

zresztą prymitywnych, zostały poważnie uszkodzone. Ale wojsku udało się odwieźć nas do Białogardu, gdzie mieliśmy względne warunki stałego miejsca postoj.

— A ten żołnierz, który dublował chorego pańskiego i kolegę?

— Nic o nim nie wiem. Natychmiast po przedstawieniu wrócił do swojej jednostki. Chociaż go zatrzymywaliśmy, nie został na kolacji. Twierdził, że ma służbę w nocy. Wiem tylko jedno, że fotograf, autor zdjęcia, ocalał. Widziałem zdjęcie z tego przedstawienia w którymś z numerów „Żołnierza Wolności”, czy też innej gazety frontowej. Ale jak już mówiłem hitlerowska kula trafiła naszego fotografa w ostatniej fazie wojny. Nie wiem, jaki był później los jego zdjęć.

— A zdjęcie, które panu pokazywaliśmy?

— Chyba to samo. A może trochę inne? Dużo tego wtedy naprzytykał. Obiecał przysłać odbitki, ale już nie zdążył słowa dotrzymać.

— A „tego zdjęcia nie widział pan niedawno w prasie? Choćby w „Przekroju”?

— Ostatnio długo chorowałem. Później leczyłem się w sanatorium. Prasy prawie nie czytałem.

Antoni Mirecki na prośbę podpułkownika złożył oficjalne zeznanie i oczywiście potwierdził, że na żądanie sądu zjawi się na rozprawie. W powrotnej drodze Miecio, który uwielbia szybką jazdę, gnał jak szatan mając pewność, że jeśli go nawet drogówka zatrzyma za przekroczenie przepisów ruchu, obecność w samochodzie wyższego oficera milicji, pozwoli odjechać bez mandatu.

— Nareszcie sprawa wyjaśniona — podpułkownik zęgnął przyjaciela. — Jutro idę do prokuratora. Jutro też Szczypiorski przesłucha Stanisława Wróblewskiego i prześle do Sądu Najwyższego wnioski o uchylenie aresztu. Rozprawa przed Sądem Najwyższym musi się odbyć, ale to już czysta formalność. Że też ten facet mógł zapomnieć o wzięciu udziału w przedstawieniu.

— Nic dziwnego. W godzinę potem zaczęła się bitwa, po której Wróblewski powędrował na kilka miesięcy do szpitala z wieloma ranami. Taka przerwa w życiorysie wcale nie nie

dziwi. Każdemu się zdarza.

— Na szczęście nie po odniesieniu rany i nie z takimi skutkami — roześmiał się podpułkownik.

Miecio, nie byłby tym Miecikiem, jakiego wszyscy znali, żeby nazajutrz, jeszcze przed milicją i prokuratorem nie dotrzeć do więzienia i nie zakomunikować swojemu klientowi radosnej wiadomości. Ale nawet wówczas Stanisław Wróblewski nie przypomniał sobie występu na deskach teatru, w mundurze gestapowca.

Za dwa dni wrota więzienia otworzyły się przed człowiekiem z małym zawiniątkiem pod pachą. Klucznik starannie przypilnował, aby ten człowiek przypadkiem nie powiedział „do widzenia”, zamiast „żegnajcie”.

Tego też wieczoru wesoło było przy pewnym stoliku w „Szanghaju”. Dwaj przyjaciele oblewali sukces swojego prywatnego śledztwa. Nie byli zresztą sami.

Ale to już zupełnie inna historia.

Powieść sensacyjna, której akcja rozgrywa się współcześnie w Polsce. Główna postać powieści, człowiek o nazwisku Wróblewski, inżynier mieszkający w Warszawie z bogatą bohaterską przeszłością wojenną, odznaczony orderem Virtuti Militari, zastaje pewnego dnia na biurku w pracy książkę, zawierającą wspomnienia obozowe, a w niej swoje zdjęcie w mundurze gestapowca...

ISBN 83-216-0405-6



tesiojot